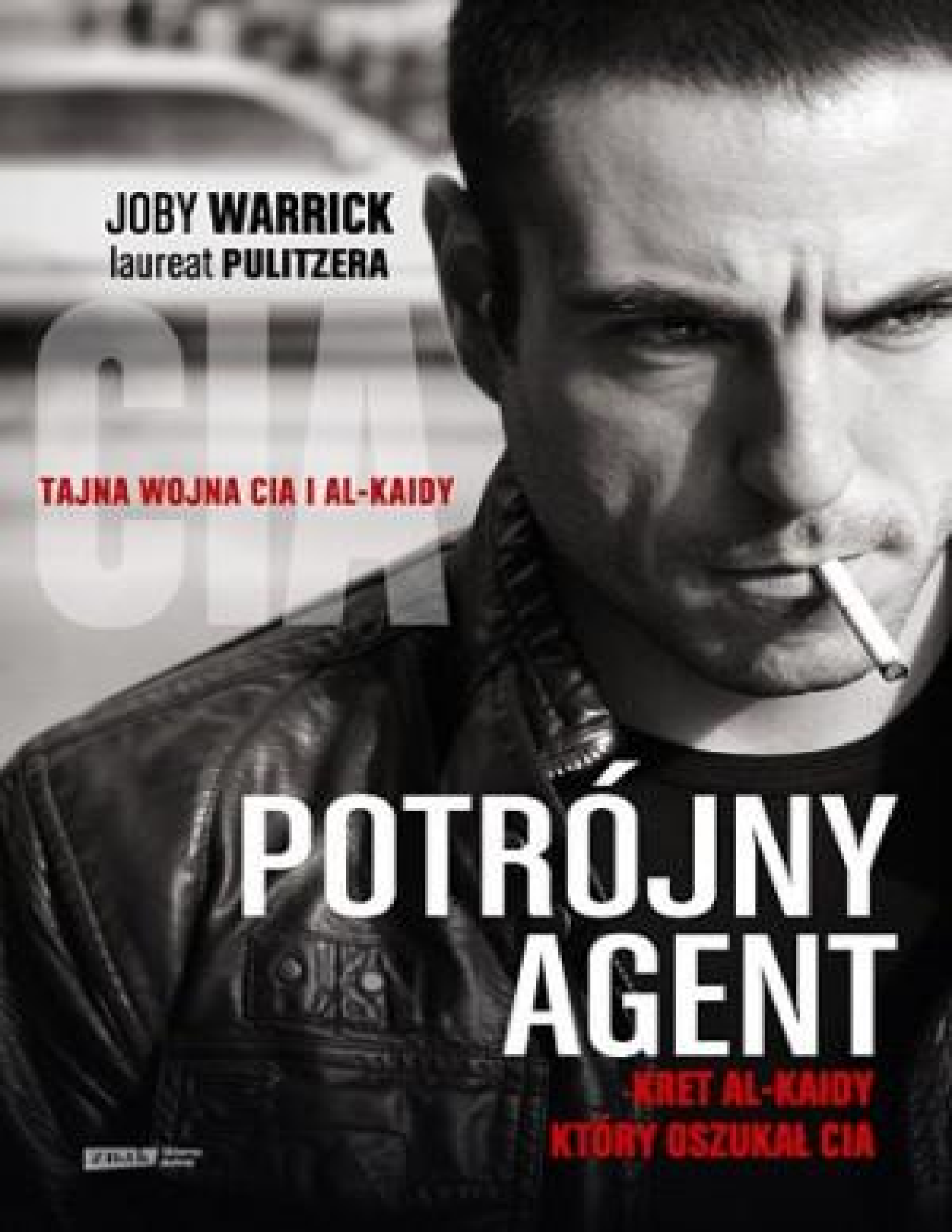
JOBY WARRICK
laureat PULITZERA
TAJNA WOJNA CIA I AL-KAIDY
POTRÓJNY AGENT
KRET AL-KAIDY KTÓRY OSZUKAŁ CIA

Joby Warrick

POTRÓJNY AGENT KRET AL-KAIDY, KTÓRY OSZUKAŁ CIA

Tytuł oryginalny:

The Triple Agent: The Al-Qaeda Mole Who Infiltrated the CIA

SPIS TREŚCI

SŁOWO OD AUTORA
GŁÓWNI BOHATEROWIE
PROLOG
ROZDZIAŁ 1 OBSESJA
ROZDZIAŁ 2 UDRĘCZONA
ROZDZIAŁ 3 LEKARZ
ROZDZIAŁ 4 UPOKORZENIE
ROZDZIAŁ 5 INFORMATOR
ROZDZIAŁ 6 CELE
ROZDZIAŁ 7 DŻIHADYSTA
ROZDZIAŁ 8 PRESJA
ROZDZIAŁ 9 SZEFOWA
ROZDZIAŁ 10 PODWÓJNY AGENT
ROZDZIAŁ 11 GRA
ROZDZIAŁ 12 PRÓBA GENERALNA
ROZDZIAŁ 13 POTRÓJNY AGENT
ROZDZIAŁ 14 NIE MA BOGA PRÓCZ ALLAHA
ROZDZIAŁ 15 MĘCZENNIK
ROZDZIAŁ 16 POLEGLI
ROZDZIAŁ 17 DETERMINACJA
ROZDZIAŁ 18 DZIEŃ PAMIĘCI
PODZIĘKOWANIA
O ŹRÓDŁACH

Rodzinom poległych i mojej rodzinie

Każda wojna opiera się na podstępie.
Sun Zi

SŁOWO OD AUTORA

Cytaty ujęte w cudzysłów to relacje osób, które słyszały te słowa, gdy je wypowiadano. Kursywa została użyta tam, gdzie źródło nie było w stanie przypomnieć sobie dokładnych słów lub gdy przekazywało treść rozmów czy myśli, którymi podzieliła się z nim osoba uczestnicząca w opisywanych wydarzeniach.

GŁÓWNI BOHATEROWIE

Biały Dom:

- Prezydent Barack Obama,
- James L. Jones, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego,
- John Brennan, główny prezydencki doradca antyterrorystyczny,
- Rahm Emanuel, szef kancelarii Białego Domu.

Kwatera Główna Centralnej Agencji Wywiadowczej, Langley, Wirginia:

- Michael V. Hayden, dyrektor CIA, maj 2006 - luty 2009,
- Leon Panetta, dyrektor CIA, luty 2009 - czerwiec 2011,
- Stephen Kappes, wicedyrektor CIA,
- Dennis C. Blair, koordynator amerykańskich służb wywiadowczych.

Amman. Jordania:

- Darren LaBonte, oficer prowadzący z CIA, baza w Ammanie,
- szef bazy CIA w Ammanie (tożsamość utajniona; nazwisko niejawne),
- Ali bin Zeid, kapitan jordańskiego Generalnego Departamentu Wywiadu (GDW), znanego jako Muchabarat,
- Ali Burdżak, alias Czerwony Ali, szef antyterrorystów w Muchabaracie, przełożony bin Zeida,
- Humam Chalil Al-Balawi, lekarz i bloger,
- Chalil Al-Balawi, ojciec Humama,
- Defne Bayrak, żona Humama.

W Afganistanie

- Jennifer Matthews, szefowa bazy CIA, Wysunięta Baza Operacyjna Chapman („Chost”)

- Harold Brown junior, oficer prowadzący CIA, Chost,

Scott Roberson, oficer CIA, szef ochrony w Choście Dane Paresi, ochroniarz kontraktowy, Xe Services LLC alias Blackwater, Chost,

- Jeremy Wise, ochroniarz kontraktowy, Xe Services LLC alias Blackwater, Chost,

- Arghawan, szef ochrony oddziału afgańskiego, Chost (nazwisko niejawne),

- wiceszef bazy w Kabulu (tożsamość utajniona; nazwisko niejawne),

- Elizabeth Hanson, targeterka, baza w Kabulu,

Al-Kaida i talibowle w Pakistanie

- Usama al-Kini (właśc. Fahid Mohammed Ally Msalam), wyższy rangą dowódca Al-Kaidy w Pakistanie,

- Abdullah Said alLibi, szef wydziału operacyjnego Al-Kaidy, dowódca „Armii Cieni” Al-Kaidy w Pakistanie,

- szejk Said al-Masri (właśc. Mustafa Ahmed Muhammad Uthman Abu al-Jazid), przywódca numer trzy w Al-Kaidzie,

- Bajtullah Mehsud, przywódca pakistańskiego sojuszu talibów, Tehriki Taliban Pakistan (TTP),

- Hakimullah Mehsud, zastępca dowódcy TTP, kuzyn Bajtullaha Mehsuda,

- Atija Abd Al-Rahman, jeden z przywódców Al-Kaidy, specjalista od islamu,

- Abu Musab azZarkawi (właśc. Ahmad Fadil al-Nazal al-Chalajla), urodzony w Jordanii przywódca Al-Kaidy w Iraku, zabity w amerykańskim ataku rakietowym w 2006 roku,

- Abu Zubajda (właśc. Zajn al-Abidin Muhammad Husajn), pierwszy „wysokowartościowy” tajny agent terrorystyczny schwytany przez CIA po atakach 11 września 2001 roku, a także pierwszy podejrzany torturowany metodą waterboarding,

- Osama Bin Laden, twórca Al-Kaidy i jej przywódca Ajman az-Zawahiri, numer dwa w Al-Kaidzie, zastępca Osamy Bin Ladena.

PROLOG

Chost, Afganistan - 30 grudnia 2009

Zespół CIA czekał na tajemniczego Jordańczyka dziesięć dni. Od ponurej połowy grudnia do przygnębiających świąt Bożego Narodzenia oficerowie dygotali z zimna pod kocami, opowiadali oklepane kawały, żłopali galony kiepskiej kawy i sączyli alkohol ze styropianowych kubków. Liczyli odległe wybuchy z moździerzy, studiowali raporty o szkodach poczynionych przez bomby, wsłuchiwali się w dudnienie helikopterów Black Hawk przewożących rannych. I czekali.

Nastał dokuczliwie wietrzny ranek Bożego Narodzenia, a oni siedzieli dalej. Skubali resztki pierników z paczek przysłanych z domu i przyglądali się ceramicznym postaciom z jasełek, które jeden z oficerów porozstawiał zamiast choinki. Wreszcie, 30 grudnia, na szarym końcu starego roku i w piętnastym dniu oczekiwania, podano, że jordański agent jest w drodze. Zmierzał na zachód samochodem przez góry skalistych północnozachodnich rubieży Pakistanu, w plemiennym stroju i ciemnych okularach, omijając patrole talibów wzdłuż zdradliwej autostrady prowadzącej do granicy afgańskiej.

Żaden z amerykańskich oficerów nie widział jeszcze tego człowieka, owego widmowego informatora zwanego „Wolf”, którego prawdziwe personalia znał ponoć niecały tuzin osób; tego krnąbrnego podwójnego agenta, który spenetrował Al-Kaidę i przysyłał Amerykanom zaszyfrowane komunikaty elektryzujące ludzi w centrali CIA. Około godziny 15.00

lokalnego czasu Humam Chalil Al-Balawi wyłonił się z mroku i przekroczył bramy zbudowanej ze zbrojonego betonu tajnej bazy CIA znanej jako Chost.

Na wiadomość o jego rychłym przybyciu analitycy w pośpiechu zabrali się za ostatnie przygotowania. Nowo przybyła szefowa bazy Jennifer Matthews, zaledwie od trzech miesięcy na swojej pierwszej afgańskiej placówce, od wielu dni zajmowała się szczegółami, a teraz zleciła współpracownikom sprawdzenie sprzętu wideo, wysłanie depesz oraz przećwiczenie poszczególnych etapów sesji sprawozdawczej, która miała trwać do wieczora.

Obserwowała ich przy pracy, zdenerwowana, ale pewna siebie. Krótkie kasztanowe włosy miała zaczesane na bok i rozdzielone praktycznym przedziałkiem. Czterdziestopięcioletnia Matthews była weteranką prowadzonych przez Agencję wojen z terroryzmem i rozumiała Al-Kaidę oraz jej aktorów, fanatycznych czcicieli śmierci, lepiej niż chyba ktokolwiek inny w CIA - a do tego lepiej nawet niż członków komitetu rodzicielskiego w szkole swoich dzieci we Fredericksburgu w Wirginii. Matthews, kobieta trzeźwo myśląca i poważna, była jedną ze wschodzących gwiazd w Agencji, ulubienicą kierownictwa. Skwapliwie skorzystała z szansy wyjazdu do Chostu, mimo wątpliwości zgłaszanych przez jej bliskich przyjaciół, którzy przekonywali ją, że to szaleństwo, zostawić rodzinę i wygodne życie na przedmieściach dla tak ryzykownej misji. Fakt, będzie musiała się wiele nauczyć; nigdy nie pracowała w strefie działań wojennych, nie prowadziła operacji inwigilacyjnej ani nie kierowała rutynową sprawą informatora, zwłaszcza tak skomplikowaną jak sprawa jordańskiego agenta. Nie brakowało jej jednak inteligencji ani pomysłowości, poza tym mogła liczyć na wydatną pomoc kierownictwa CIA, które pilnie śledziło rozwój wypadków z głównej siedziby Agencji w

Langley w Wirginii. Na razie szefowie radzili: traktuj Al-Balawiego jak znakomitego gościa.

Szefowa bazy zrezygnowała z uczestnictwa w opracowywaniu planu zabezpieczenia wizyty, co nie spodobało się niektórym weteranom Sił Specjalnych w jednostce ochroniarzy. Bała się nie tyle o fizyczne bezpieczeństwo agenta, ile o zabezpieczenie jego tajnej tożsamości. CIA nie mogła sobie pozwolić na to, aby zobaczył go którykolwiek z dziesiątek Afgańczyków zatrudnionych w bazie, z wyjątkiem zaufanego kierowcy, który właśnie po niego jechał. Nawet strażnicy przy bramie głównej mieli na rozkaz odwrócić się plecami, by żaden nie dostrzegł twarzy al-Balawiego choćby w przelocie.

Matthews wybrała bezpieczne miejsce na spotkanie: szary betonowy budynek w części bazy służącej CIA za schron, oddzielony wysokimi murami i strzeżony przez prywatnych zakontraktowanych ochroniarzy z karabinami szturmowymi. Budynek został zaprojektowany specjalnie na spotkania z informatorami i był osłonięty z jednej strony sporą markizą, mającą dodatkowo chronić tajnych agentów przed niepożądanymi spojrzeniami, gdy wchodzili i wychodzili. Tutaj, otoczony przez agentów CIA i pewny, że nie wykryją go szpiedzy Al-Kaidy, Jordańczyk miał zostać przeszukany na obecność broni lub urządzeń podsłuchowych oraz zlustrowany pod kątem ewentualnych oznak podstępu. Następnie miał przedstawić szczegóły swojej z gruntu nieprawdopodobnej opowieści, historii tak niesamowitej, że niewielu dałoby jej wiarę, gdyby agent nie poparł jej zaskakującym dowodem: Humam Al-Balawi widział się z nieuchwytnym człowiekiem numer dwa w Al-Kaidzie - egipskim lekarzem Ajmanem az-Zawahirim, jednym ze skrzywionych mózgów odpowiedzialnych za dziesiątki akcji terrorystycznych, między innymi ataki z 11 września 2001 roku. Teraz miał doprowadzić CIA wprost pod drzwi

Zawahiriego. Po zakończeniu sprawozdania Al-Balawi miał zostać przebadany przez lekarza wojskowego i wyposażony przez ekipę techniczną w sprzęt niezbędny do wykonania niebezpiecznej misji. Później wszyscy będą mogli się odprężyć, wrzucić coś na ząb, może nawet wypić drinka.

A na koniec niespodzianka - tort urodzinowy.

Jordańczyk w Boże Narodzenie skończył trzydzieści dwa lata - Matthews była autentycznie zadowolona, kiedy odkryła tę ciekawostkę. Właściwie za sprawą wyjątkowej daty urodzin o mało nie dostał na imię Isa - po arabsku Jezus - lecz rodzice ostatecznie zdecydowali się na Humam, co oznacza „dzielny”. Teraz ten właśnie Humam pędził do Chostu z czymś, co zapowiadało się na najwspanialszy prezent bożonarodzeniowy dla Agencji od wielu, wielu lat, gratkę tak niespodziewaną i spektakularną, że nawet powiadomiono o niej wcześniej prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czekając na Jordańczyka, Matthews zadawała sobie niezliczone pytania. Kim był ten człowiek? Jak komuś udało się tak zbliżyć do az-Zawahiriego, jednego z najbardziej samotniczych i pilnie strzeżonych ludzi na ziemi? W sprawie Al-Balawiego było tak wiele niewiadomych. Matthews miała jednak rozkazy i nie zamierzała zawieść ani cofnąć się przed ich wykonaniem.

Al-Balawi miał zostać przyjęty z honorami. W bazie CIA w ogarniętym przemocą wschodnim Afganistanie nie było świeczek urodzinowych, ale Jordańczyk dostanie swój tort.

O ile w ogóle się zjawi.

O 15.30 cały zespół, zwarty i gotowy, czekał przed budynkiem przesłuchań. Upłynęło kolejne niemiłosiernie długie trzydzieści minut, potem godzina, a teraz słońce zachodziło powoli za szczyty gór na zachód

od bazy Chost. Spadła temperatura, a nerwowe podniecenie zamieniło się w zwykłą nerwowość.

Czy coś się stało? Czy Al-Balawi się rozmyślił? Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Grupa mężczyzn i kobiet pod metalową markizą powiększyła się do czternastu osób, zaskakująco wielu jak na spotkanie z informatorem. Normalnie zasada chronienia tożsamości szpiega nakazuje, aby widziało go nie więcej niż dwóch trzech oficerów. Szybko jednak stało się jasne, że w sprawie Al-Balawiego nic nie jest normalne. Jak wspominał później jeden z uczestników tych wydarzeń, oficer CIA, wszyscy mieli poczucie doniosłości tego, co się miało wydarzyć, wrażenie, że na ich oczach tworzy się historia: „Wszyscy - powiedział - chcieli mieć w tym jakiś udział”.

Oficerowie podzielili się na grupki. Ochroniarze, dwóch pracowników CIA oraz para strażników zatrudnionych przez prywatnego zleceniobiorcę, Xe Services LLC, znanego jako Blackwater, stali w pobliżu bramy z przewieszonymi przez ramię karabinkami M4, rozmawiając przyciszonymi głosami. Trzej z mężczyzn byli weteranami wojennymi; wszyscy czterej się zakumplowali. Pykający z fajki Dane Paresi, były żołnierz Zielonych Beretów i jako czterdziestoszesciolatek jeden z najstarszych w grupie, zatrudnił się w Blackwater po pracy w wielu piekielnych miejscach, ostatnio w Afganistanie, gdzie za dzielność pod wrogim ostrzałem zdobył Brązową Gwiazdę. Weteran z Iraku Jeremy Wise, trzydziestopięcioletni ekszołnierz oddziałów Navy SEAL o nieodparcie uroczym uśmiechu, podpisał kontrakt z firmą ochroniarską, by mieć z czego płacić rachunki po wystąpieniu z czynnej służby, i zastanawiał się, co dalej robić ze swoim życiem. Dowódca zespołu ochroniarzy Harold E. Brown junior, trzydziestosiedmiolatek, był eksoficerem wywiadu wojskowego, zdeklarowanym domatorem i katolickim katechetą, który po godzinach

prowadził drużynę zuchów w Wirginii. Trzydziestoośmioletni Scott Roberson w poprzednim życiu był oficerem wydziału narkotykowego w Atlancie i za niecały miesiąc miał zostać ojcem.

Bliżej budynku dwóch mężczyzn w cywilnych dżinsach i bluzach khaki gawędziło ze sobą ze swobodą długoletnich przyjaciół. Byli w bazie Chost gośćmi i przylecieli do Afganistanu z Jordanii specjalnie po to, by wysłuchać raportu Al-Balawiego. Postawny mężczyzna o czarnych jak atrament włosach, kapitan jordańskiego wywiadu Ali bin Zeid był kuzynem jordańskiego króla Abdullaha II i jedynym człowiekiem w grupie, który kiedykolwiek spotkał się z Al-Balawim. Darren LaBonte, wysportowany były żołnierz formacji Army Rangers z kozią bródką i w bejsbolówce, był oficerem CIA przydzielonym do bazy w Ammanie. Obydwaj byli bliskimi przyjaciółmi, często razem pracowali, a czasem wyjeżdżali ze swoimi żonami na wspólne wakacje. Obydwaj byli zdenerwowani przed spotkaniem z Al-Balawim i przez sporą część poprzedniego dnia próbowali rozładować napięcie, pstrykając zdjęcia i wałęsając się po okolicy znalezionym gdzieś trzykołowym pojazdem.

Więcej osób skupiło się wokół Matthews. Jedna z nich, atrakcyjna blondynka o kobaltowo błękitnych oczach, została wezwana na spotkanie z bazy CIA w Kabulu ze względu na swoje wyjątkowe umiejętności. Elizabeth Hanson była jednym z najsłynniejszych tropicieli Agencji, ekspertką w wynajdywaniu przywódców terrorystycznych w ich kryjówkach i śledzeniu ich do momentu, aż jeden z oddziałów specjalnych CIA mógł wejść do akcji. Miała trzydzieści lat, ale wyglądała jeszcze młodziej, schowana w kurtce i w za dużej na nią flanelowej koszuli, dla ochrony przed grudniowym chłodem.

Coraz mocniej wiało, a popołudniowe cienie na asfalcie stopniowo się wydłużały. Dawała się odczuć pełna frustracji nuda. Oficerowie bawili się

swoimi telefonami komórkowymi.

Paresi odłożył broń i wystukał email do żony. Mindy Lou Paresi była właśnie w powietrzu; wracała samolotem do Seattle z Ohio z ich najmłodszą córką po świątecznych odwiedzinach u krewnych. Swoim zwyczajem Paresi zostawił wiadomość, którą żona miała przeczytać po wylądowaniu, prosty sygnał, że u niego wszystko OK.

„Wyślij mi maila, jak dojedziecie do domu - napisał. - Kocham Was obie bardzo”.

Pochodzący z Arkansas Jeremy Wise oddalił się na kilka kroków, żeby zatelefonować. Czuł się dziwnie podenerwowany, do tego stopnia, że zastanawiał się, czy nie złapał jakiejś choroby. Wystukał numer domowy, a kiedy odezwała się automatyczna sekretarka, w jego głosie pobrzmiewało wyraźne rozczarowanie. „Nie czuję się najlepiej - powiedział wolno i dodał po krótkim wahaniu: - Przekaż Ethanowi, że go kocham”.

Bin Zeid jako jedyny miał bezpośredni kontakt telefoniczny z Al-Balawim, ale jego telefon niepokojąco milczał. Ten wielkolud siedział teraz w ciszy, ściskając komórkę w grubych palcach. To on ustalił wszystkie szczegóły z agentem - bo w końcu to on go zwerbował - a teraz możliwość porażki wisiała nad nim jak ołowiana chmura. Na domiar złego zarówno on, jak i jego partner w CIA LaBonte mieli osobiste powody, by chcieć jak najszybciej wydostać się z Afganistanu. Cała rodzina LaBonte, między innymi żona i ich maleńka córeczka, czekała na Darrena we włoskiej willi, którą wynajęli na święta, a opóźnienia już pochłonęły większą część jego urlopu. Bin Zeid, świeżo upieczony mąż, planował spędzić sylwestra z żoną w Ammanie.

Kiedy jego komórka wreszcie zaćwierkała, okazało się, że to esemes od ciemnowłosej Fidy. Kobieta pytała męża, czy wieczorem następnego dnia

na pewno będzie w domu. Bin Zeid wystukał lakoniczną odpowiedź: „Jeszcze nie”.

Tuż po 16.40 telefon bin Zeida nareszcie zadzwonił. Wyświetlił się numer Arghawana, afgańskiego kierowcy wydelegowanego na przejście graniczne celem odebrania agenta. Głos w słuchawce należał jednak do Al-Balawiego.

Agent przepraszał: zranił się w nogę w wypadku i był spóźniony. Denerwował się przed swoim pierwszym spotkaniem z Amerykanami i jeszcze raz zapytał o procedury przy bramie wjazdowej. Nie chcę, by mną poniewierano, powtarzał.

Potraktujecie mnie jak przyjaciela, zgoda?

Tumany pyłu z czerwonego subaru outback Arghawana były już widoczne z wieżyczki strażniczej. Kierowca jechał szybko, żeby udaremnić ewentualny atak snajpera, który mógł akurat kierować swój celownik na drogę i zobaczyć cywilny pojazd zmierzający bez eskorty do bazy amerykańskiej. Zgodnie z instrukcjami CIA, a przy okazji i z życzeniem Balawiego, przy bramie miało nie być żadnego obszukiwania ani sprawdzania dokumentów tożsamości. Na umówiony znak afgańscy strażnicy wojskowi przy głównej bramie podnieśli szlaban na tyle, żeby Arghawan mógł śmignąć na teren bazy. Następnie afgański kierowca skręcił ostro w lewo i podążył wstęgą asfaltu wzdłuż skraju lotniska do drugiej, mniejszej bramy, przez którą również przepuszczono go bez zatrzymywania.

Matthews zobaczyła wreszcie kombi wjeżdżające na teren kompleksu, gdzie czekała razem z pozostałymi. Poprosiła wcześniej bin Zeida i LaBonte, aby przywitali Al-Balawiego. Ona i pozostali oficerowie mieli na razie zachować pełen szacunku dystans, ustawieni pod markizą w kolejce do powitania. Matthews ruszyła na przód kolejki, poprawiając ubranie.

Szef ochrony Scott Roberson i dwaj strażnicy z firmy Blackwater zdjęli karabiny i ruszyli przez żwirowy plac, ale subaru zajechało im drogę. Samochód stanął tak, że drzwi kierowcy znalazły się dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie stała Matthews. Arghawan siedział z przodu sam, jego twarz była prawie niewidoczna zza grubej warstwy pyłu oblepiającego okna. Osoba siedząca za nim na tylnym siedzeniu była lekko pochylona do przodu. Matthews usilnie próbowała rozpoznać jej twarz. Kierowca zgasił silnik, a Roberson bez ociągania otworzył tylne drzwi obok Al-Balawiego.

Mężczyzna w środku zawahał się, jakby studiował broń, którą mieli przy sobie strażnicy, po czym bardzo powoli przesunął się na sąsiednie siedzenie, wysiadł z samochodu po przeciwnej stronie i stanął obok.

Był niskim, krępym, około trzydziestoletnim mężczyzną o ciemnych oczach. Spod turbanu wystawało mu parę pozlepianych loków. Miał na sobie beżową tunikę typu kamiz, noszoną przez Pasztunów, i wełnianą kamizelkę, w której jego tors wydawał się nieco masywny. Na ramionach miał udrapowany długi, szary szal, który zasłaniał dolną część jego twarzy i brodę. Sięgnął do samochodu po metalową kulę inwalidzką, a tymczasem szal opadł, odsłaniając rzadką, rozwichrzoną brodę i minę tak pozbawioną wyrazu jak płyta grobowa.

Wszyscy patrzyli w pełnym zakłopotania milczeniu, jak obszedł samochód od przodu niezdarnym krokiem, zgarbiony, jakby uginał się pod wielkim ciężarem, mamrocząc coś pod nosem.

Bin Zeid pomachał do niego i nie otrzymawszy odpowiedzi, zawołał:

„Salem, achoja. Witaj, bracie. Wszystko OK!”.

Jednak nie wszystko było OK. Ochroniarze z firmy Blackwater, Paresi i Wise, instynktownie unieśli karabiny, kiedy przybysz nie zdecydował się wysiąść z samochodu po ich stronie. Paresi, były zielony beret, obserwował

z rosnącym niepokojem, jak Al-Balawi kuśtyka wokół pojazdu, z jedną ręką zaciśniętą na kuli inwalidzkiej, a drugą złowieszczo ukrytą pod szalem. Paresi spiął się, z palcem na spuście i oczyma utkwionymi w szalu, nauczony reagować instynktownie po dziesiątkach przeżytych walk ogniowych i bliskich potyczek. Mógł go powalić jednym strzałem. Jeśli jednak się mylił - a Al-Balawi nie miał na sobie bomby - byłby to największy błąd w jego życiu. Okrążył samochód, trzymając na muszce poruszającą się postać. Spokojnie. Czekaj. Tylko gdzie on ma rękę?

Teraz on i Wise krzyknęli niemal jednym głosem, gotowi do strzału: „Ręce do góry! Wyjmij rękę na wierzch!”.

Balawi coraz głośniej mamrotał coś po arabsku.

La ilaha Ula Allahl, powtarzał monotonnym głosem.

Me ma Boga prócz Allaha.

Bin Zeid usłyszał te słowa i wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, co oznaczają.

ROZDZIAŁ 1
OBSESJA

McLean, Wirginia - rok wcześniej

Miejsce pobytu Osamy Bin Ladena i jego najważniejszych zauszników było od prawie trzech lat codzienną obsesją Michaela V. Haydena, pulsującą migreną, która natarczywie przypominała o sobie w dziwnych nocnych porach. Gdy jednak powoli kończył swój ostatni miesiąc na stanowisku dyrektora CIA, sen z powiek spędzał mu nie Osama, lecz niejaki Usama. Do końca pierwszego dnia nowego roku będzie musiał zdecydować, czy człowiek ów zginie czy przeżyje.

Usama al-Kini był obiektem coraz bardziej gorączkowych poszukiwań[1]. Ten pochodzący z Kenii były piłkarz o chłopięcym wyglądzie piął się po szczeblach kariery w Al-Kaidzie - zaczynał jako kierowca ciężarówki i konstruktor bomb, a teraz awansował do rangi czołowego planisty operacji z zamiłowaniem do spektakularnych wyczynów. Właśnie gdy opracowywał listę celów fali ataków w całej Europie Zachodniej, CIA dopisało szczęście. Pod koniec grudnia Agencja zauważyła jednego z najwyższych zastępców Al-Kiniego w miasteczku w północnozachodnim Pakistanie i śledziła go teraz na ziemi i w powietrzu, za pomocą krążących bezgłośnie w górze samolotów robotów. Kamery rejestrowały, jak przechadzał się po bazarach, zasiadał do herbaty albo wspinał się stromą ulicą do opuszczonego budynku szkoły dla dziewcząt,

gdzie czasem zostawał na noc. Agenci obserwowali go całymi godzinami, a później całymi dniami, żeby ustalić, z kim się spotykał. Gdy w pierwszych minutach 2009 w siedzibie CIA w Langley w Wirginii rozpoczynała się nocna zmiana, obserwatorzy nie mogli oprzeć się wrażeniu, że wreszcie zbliżają się do celu.

W Nowy Rok Hayden próbował cieszyć się rzadkim przywilejem wolnego dnia. Próbował zrelaksować się z rodziną i nawet poszedł na kilka meczów futbolu amerykańskiego, ale został telefonicznie wezwany z powrotem na polowanie. W swoim biurze w suterenie, pilnowanym dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ochroniarzy i wyposażonym w bezpieczne połączenie telefoniczne z kwaterą główną, rozmyślał nad najświeższymi komunikatami z Pakistanu. Obserwujcie dalej, polecił. Wreszcie, kiedy nadszedł późny wieczór, a wiadomości ciągle nie było, zdecydował się skończyć na dzisiaj. Włączył telewizor i usiadł na łóżku. Transmitowano mecz Orange Bowl z Miami; Virginia Tech dawało wycisk Cincinnati. Wyciągnął się na łóżku i spróbował skupić się na meczu.

Sześćdziesięciotrzyletni Hayden bynajmniej nie wyglądał na zabójcę. Ten emerytowany czterogwiazdkowy generał służył najpierw jako zawodowy oficer wywiadu w siłach powietrznych i awansował na szefa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie nadzorował rozległą zagraniczną sieć wywiadowczą swojego kraju. W 2006 roku został mianowany przez prezydenta Georgea W. Busha trzecim dyrektorem CIA w ciągu dwóch lat, przejmując cierpiącą na spadek morale agencję szpiegowską, której potrzebny był mądry wujek, ktoś, kto wyciągnie ją z kłopotów i naprawi szkody. Najprościej mówiąc, zadaniem Haydena było przywrócić CIA stabilność, a nawet swego rodzaju biurokratyczną monotonię, po wielokrotnych skandalach związanych z domniemanymi porwaniami oraz torturowaniem podejrzanych o terroryzm. Jednym z jego

jasno określonych celów na wejściu było zrobić wszystko, żeby CIA zniknęła z pierwszych stron gazet. „Agencja musi zniknąć z serwisów prasowych, czy to jako źródło, czy jako temat” - tłumaczył w wywiadzie dla „The Washington Post”.

Hayden urodził się w rodzinie irlandzkich katolików w Pittsburghu i nie zerwał związków z tym miastem klasy robotniczej. W jesienne weekendy wracał do domu, żeby kibicować Steelersom albo drużynie futbolu swojej Alma Mater - Duquesne University. Lubił posługiwać się analogiami sportowymi i jako dyrektor CIA z przyjemnością gawędził w agencyjnej kawiarni z młodymi analitykami, a jego łysina i niewymuszony uśmiech sprawiały, że młodsi podwładni czuli się w jego towarzystwie raczej spokojni niż onieśmieleni. Techniki określania i eliminowania konkretnych zagrożeń terrorystycznych w naturalny sposób przypadały głównemu zastępcy Haydena Stephenowi R. Kappesowi, legendarnemu oficerowi prowadzącemu, który w przeszłości odznaczył się jako rywal intelektualny sowieckiego KGB w Moskwie.

Teraz jednak, w trzecim roku dyrektorowania, Hayden kierował najbardziej bezlitosną, zabójczą kampanią w historii Agencji. Po atakach terrorystycznych z 11 września 2001 CIA była pochłonięta tropieniem Bin Ladena oraz jego stronników, a jej głównym celem było wyłapywanie ich, osadzanie w więzieniach i poddawanie przesłuchaniom. Teraz miała inny priorytet: zabijać terrorystów i ich sojuszników wszędzie tam, gdzie się znajdą. Stworzyła krok po kroku flotę samolotów bezzałogowych zwanych predatorami, wystrzeliwujących zdalnie naprowadzane pociski. W połowie 2008 roku, w ostatnich miesiącach urzędowania Busha, CIA rzuciła do akcji samoloty potocznie określane jako drony - zaczęła się totalna wojna z Al-Kaidą.

Pociski CIA tydzień po tygodniu pustoszyły kryjówki terrorystów i ich obozy szkoleniowe, a palec na spuście trzymał Hayden.

Ta transformacja szykowała się od lat. W połowie dekady, kiedy administracja Busha wysyłała masowo żołnierzy i sprzęt do Iraku, Al-Kaida dała o sobie znać w górach północnozachodniego Pakistanu. Zdemoralizowane grupy arabskich bojowników, którzy masowo opuścili Afganistan pod koniec 2001 roku, przegrupowały się pod komendą swoich starych przywódców: Bin Ladena i jego prawej ręki Ajmana az-Zawahiriego, a kolejne pokolenie agresywnych dowódców zastąpiło tych, którzy zostali zabici lub schwytani. W nowych schronieniach na skalistych terenach ziemi niczyjej między dwoma krajami zaczęli po cichu otwierać na nowo obozy szkoleniowe, zbierać pieniądze i planować dalsze ataki na Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią. W przechwyconych przez Agencję trzeszczących komunikatach była mowa o niejasnych, ale złowieszczo brzmiących misjach zwiadowczych albo próbach generalnych ataków na samoloty pasażerskie, centra handlowe, kurorty turystyczne czy hotele. Większość Amerykanów nigdy nie usłyszała o tego rodzaju groźbach.

Do 2007 roku zdolność Al-Kaidy do siania spustoszenia prawie dorównała tej z kulminacyjnego okresu przed 2002. Pod pewnymi względami zagrożenie było jeszcze większe: Al-Kaida połączyła się z pewnymi grupami ekstremistów z Pakistanu, jednocześnie dając początek nowym filiom w Afryce Północnej, Iraku oraz na Półwyspie Arabskim. Propagandyści Al-Kaidy zaprzęgli do swoich celów imponujące możliwości przekazywania kipiącej nienawiścią doktryny milionom muzułmanów za pośrednictwem stron internetowych i chatroomów. Do północnozachodniego Pakistanu i oddziałów regionalnych od Jemenu po Azję PołudniowoWschodnią zaczęły napływać strumienie gotówki oraz chętnych do walki. Wielu nowo przybyłych, którzy zgłosili się do udziału w

dżihadzie, legitymowało się paszportami państw zachodnich i mogło dostać się do stolicy amerykańskiej i stolic europejskich niepostrzeżenie. Niektórzy mieli blond włosy i jasną karnację.

To, co widział Hayden, przyglądając się światu na początku 2008 roku, przerażało go nie na żarty. Dlatego na początku roku, podczas cotygodniowych briefingów w Białym Domu, zaczął przedstawiać swój punkt widzenia prezydentowi Bushowi.

„Jest to obecnie jedno z największych zagrożeń dla naszej ojczyzny" - powiedział prezydentowi podczas jednej z wizyt w Gabinecie Owalnym[2]. Dodał, że kolejne uderzenie terrorystów podobne do tego z 11 września jest nieuniknione i że dokonają go ludzie z plemiennych regionów Pakistanu.

Aby mu zapobiec - kontynuował Hayden - Stany Zjednoczone muszą przenieść walkę na terytorium wroga. Innymi słowy - zaatakować Al-Kaidę na jej własnym terenie, w obrębie granic Pakistanu, odcinając jej łączność, zabijając jej przywódców oraz dowódców polowych, a także pozbawiając ją kryjówek. Tylko CIA miała legitymację prawną do tego, aby dosięgnąć celów w samym sercu Pakistanu, i już teraz posiadała idealną broń w postaci predatora. Pora spuścić z uwięzi należącą do CIA flotę bezzałogowych samolotów tropicieli-zabójców, przekonywał Hayden.

Bush i jego doradcy słuchali życzliwie. Wszyscy wiedzieli, że problemem jest Pakistan. Islamabad był niezmiernie ważnym sojusznikiem USA i oficjalnie sprzeciwiał się zagranicznym atakom rakietowym na swoim terytorium, bez względu na ich cel. Pakistańscy oficjele dowodzili, że amerykańskie naloty tylko pogorszą problem terroru, radykalizując zwykłych Pakistańczyków i skłaniając jeszcze więcej z nich do przyłączenia się do ekstremistów - tę obawę podzielali zresztą niektórzy z amerykańskich ekspertów do spraw terroryzmu. W prywatnych rozmowach pakistańscy wysocy urzędnicy wywiadu ganili Amerykanów za ich zdaniem

dwie niebezpieczne obsesje: nadmierne uzależnienie od drogich nowinek technicznych oraz absurdalną fiksację na osobie Osamy Bin Ladena.

„Al-Kaida nie jest jakoś wyjątkowo silna, to wy zrobiliście z niej trzymetrowego olbrzyma - miał powiedzieć delegacji administracji Busha podczas jej wizyty w Pakistanie jeden z wyższych rangą urzędników pakistańskiego rządu. - Jak garstka przywódców Al-Kaidy może stanowić poważne zagrożenie dla największego imperium na świecie?”

Ostatecznie przywódcy Pakistanu pozwolili na ograniczoną liczbę ataków predatorami, a Waszyngton i Islamabad miesiącami brały udział w niezręcznych targach o termin ataku. Jeśli CIA wykryła potencjalny cel, mogła pociągnąć za spust dopiero po otrzymaniu pozwolenia od obu rządów. W praktyce zdarzało się to rzadko. „Jeśli musiałeś prosić o zgodę, dostawałeś jedną z trzech odpowiedzi: »Nie«, »Myślimy o tym« albo »Ojej, gdzie ten cel się nam podział?«„ - wspominał były amerykański urzędnik do spraw bezpieczeństwa narodowego, który brał udział w tamtych wydarzeniach[3]. Minął cały rok bez jednego znaczącego sukcesu w walce z Al-Kaidą na jej własnym terytorium. „Stan na rok ‘07 wynosi zero” - skarżył się Białemu Domowi Hayden.

Po wielomiesięcznych debatach w lipcu 2008 roku Bush zdecydował się dać CIA to, czego chciała. Doniesienia medialne określały później tę zmianę polityki jako nieformalną zgodę Pakistanu na naloty amerykańskie w odległych plemiennych rejonach znajdujących się w znacznej części poza kontrolą rządu w Islamabadzie. W rzeczywistości zmiana miała prostszy charakter: CIA przestała prosić o zgodę. Nowa linia w polityce, przedstawiona pakistańskim oficjelom na spotkaniu w tym miesiącu, przewidywała jedynie „jednoczesne powiadomienie”[4] w momencie ataku.

Na przestrzeni kolejnych sześciu miesięcy predatory wykonały trzydzieści nalotów na cele w Pakistanie - ponad trzy razy więcej niż sumarycznie w ciągu minionych czterech lat.

Wybory prezydenckie w listopadzie 2008 roku oznaczały rychły koniec kontroli Republikanów nad Białym Domem i najprawdopodobniej także pracy Haydena na stanowisku dyrektora CIA. Jednak w ostatnich tygodniach, gdy trwało odliczanie do końca prezydentury Busha, liczba ataków predatorów gwałtownie wzrosła, dając początek wewnętrznym spekulacjom w Agencji, czy aby Hayden nie próbuje wykurzyć samego Osamy Bin Ladena z kryjówki w ramach ostatecznego rewanżu administracji Busha za 11 września. To właśnie podczas kłótni o priorytetowe cele w ostatnich dniach 2008 roku w jednej z podsłuchanych przez Agencję rozmów telefonicznych pojawiło się znajome nazwisko.

Pochodzący z Afryki Wschodniej szejk Ahmed Salim Swedan był tajnym agentem średniego szczebla w Al-Kaidzie, zamieszanym w kilka terrorystycznych zamachów bombowych. Interesował CIA przede wszystkim ze względu na to, dla kogo pracował. Był bowiem podwładnym Usamy al-Kiniego, byłego piłkarza, obecnie wysokiej rangi dowódcy Al-Kaidy w Pakistanie. Obydwaj od dwóch lat oddawali się krwawemu szaleństwu, zabijając setki ludzi w serii coraz bardziej spektakularnych ataków w pakistańskich miastach. 1 stycznia 2009 roku szykowali się do zabrania swoich metod masowego zabijania w świat.

Sam Swedan zasługiwał na to, żeby stać się celem. Kiedy wpadł w sieć inwigilacji CIA, znajdował się na listach najbardziej poszukiwanych za terroryzm zarówno przez CIA, jak i FBI, a w Nowym Jorku postawiono go w stan oskarżenia za współudział w dokonanych w 1998 roku zamachach bombowych na ambasady Stanów Zjednoczonych w Kenii i Tanzanii. Jego domniemana kryjówka pod koniec 2008 roku - opuszczona szkoła dla

dziewcząt na obrzeżach wioski Karikot - także stała się obiektem żywego zainteresowania.

Informatorzy CIA zidentyfikowali ten budynek jako obóz szkoleniowy dla konstruktorów bomb z Al-Kaidy.

Hayden rozważył dostępne możliwości i postanowił zaczekać. Swedan, jakkolwiek ważny, był tylko zastępcą, poza tym nigdzie się nie wybierał. Rankiem 1 stycznia znajdował się pod ciągłą obserwacją, nie tylko tajnych agentów CIA na lądzie, lecz również dwóch krążących nad wioską predatorów. Prędzej czy później będzie musiał porozumieć się z szefem, a wtedy Haydenowi dostanie się dużo cenniejszy łup.

CIA czekała na taką możliwość od przeszło dekady. Usama al-Kini był, podobnie jak jego zastępca, kojarzony z zamachami bombowymi w Afryce i za jego głowę wyznaczono pięć milionów dolarów nagrody. Szczupły i wysportowany, z mocno kręconymi włosami, al-Kini należał do świty Bin Ladena od pierwszych dni i w drodze awansu został szefem planowania operacji. W 2007 roku był już najwyższym regionalnym dowódcą Al-Kaidy na obszar całego Pakistanu i dobrze wykonywał swoją robotę. Jego komórka terrorystyczna pomogła pakistańskim talibom zamordować byłą premier Benazir Bhutto i przeprowadziła zamachy bombowe i ataki samobójcze na posterunki policji, obozy wojskowe, sąd cywilny oraz akademię marynarki wojennej. We wrześniu 2008 roku al-Kini dokonał czegoś znacznie ambitniejszego - potężnego zamachu z użyciem samochodu pułapki na luksusowy hotel Marriott w Islamabadzie[5]. Wybuch zabił ponad pięćdziesięciu pracowników i gości, ranił dwustu innych i wylądował w czołówkach serwisów informacyjnych na całym świecie.

Al-Kini wdzierał się przebojem do elity Al-Kaidy, a jednocześnie odciskał na organizacji swoje osobiste piętno. Jako człowiek agresywny i

charyzmatyczny, był lubiany przez młodszych członków grupy i zaczynał stanowić wyzwanie dla bardziej doświadczonych przywódców Al-Kaidy, zwłaszcza szejka Saida al-Masriego[6], okrutnego Egipcjanina, który trzymał pieczę nad kiesą grupy i uważał się za najważniejszego po az-Zawahirim. Najbardziej niepokoiło to, że al-Kini szykował się do umiędzynarodowienia swojej działalności i wyprawiał niektórych ze swoich najzdolniejszych praktykantów do Europy Zachodniej. Wysocy urzędnicy CIA doszli do wniosku, że Kenijczyk próbował stworzyć podwaliny pod sieć komórek terrorystycznych w całej Europie - sieć, która mogłaby rozpocząć planowanie ataków na większe hotele i inne charakterystyczne miejsca.

Właśnie ta groźba ciążyła Mikebwi Haydenowi najbardziej, kiedy 1 stycznia czekał na wieści z północnozachodniego Pakistanu. Dyrektor CIA nie zdążył jeszcze zasnąć, kiedy o 22.30 zadzwoniono do niego z najświeższymi wiadomościami z polowania. Zwlókł się z łóżka i poszedł ciężkim krokiem do swojego biura w suterenie, żeby skorzystać z szyfrowanego połączenia. W Pakistanie było już po wschodzie słońca i jeden z predatorów CIA krążył w pobliżu, kiedy Swedan wyszedł ze swojej kryjówki w opuszczonej szkole, żeby udać się na poranne spotkanie. Obserwowany przez CIA, spotkał się z kimś, kogo najwyraźniej znał, i obaj przeszli z powrotem do szkoły dla dziewcząt. Twarzy drugiego mężczyzny nie było widać, ale pod każdym względem pasował on do opisu przywódcy terrorystów poszukiwanego przez CIA. Oficer dyżurny w Centrum Antyterrorystycznym ocenił sytuację i zadzwonił do Haydena z pytaniem o zgodę. Możemy uderzać?

Hayden miał standardowy zestaw pytań w tego typu sytuacjach i skorzystał z niego.

Jak długo obserwujecie to miejsce?

Co o nim wiecie i ile razy się mu przyglądaliście?

Czy kiedykolwiek widzieliście w tym kompleksie kobiety i dzieci?

Główny predator, który śledził obu mężczyzn z punktu obserwacyjnego osiemset metrów nad wsią, już namierzył budynek szkoły za pomocą systemu śledzenia wizyjnego i czekał na dalsze instrukcje. Ta dziwnie wyglądająca maszyna o wąskim kadłubie i rozpiętości skrzydeł równej długości alejki do kręgli zataczała leniwe koła nad miejscowością, poruszając się z prędkością niewiele większą od ruchu ulicznego. Z pełnym zbiornikiem i standardowym zestawem pocisków mógł jeszcze krążyć w powietrzu bez przerwy przez czternaście godzin. Jednak po subtelnej zmianie wysokości tonu silnika zatoczył szerszy łuk, żeby zrównać kadłub z budynkiem w dole. W Langley na dwóch płasko ekranowych telewizorach w centrum dowodzenia pojawił się transmitowany na żywo przekaz wideo, a tymczasem dwaj operatorzy samolotu przebywający w innym budynku korygowali nieznacznie ruchy maszyny za pomocą joysticków i kliknięć myszką.

Hayden zastanowił się chwilę. Swedan znajdował się w budynku; to pewne. Jego towarzysz to bez wątpienia jego wspólnik, bardzo możliwe, że nawet sam al-Kini. Budynek był znanym obiektem szkoleniowym Al-Kaidy, prawdopodobnie mieścił materiały wybuchowe i był położony wystarczająco daleko od wsi, aby można było mieć pewność, że nikomu innemu nie stanie się krzywda. Trzy rzeczy za cenę jednej, pomyślał Hayden.

Jeden albo dwa pociski rakietowe Hellfire na wyposażeniu predatora zapewne by wystarczyły, ale Hayden chciał być stuprocentowo pewny.

Użyjcie GBU - polecił. Po otrzymaniu rozkazu operatorzy predatora zignorowali ponad sześciokilogramowe pociski Hellfire i uruchomili znacznie większą broń ukrytą w komorze uzbrojenia,

dwustudwudziestopięciokilogramową, naprowadzaną laserowo bombę GBU12 Paveway. Oficer odpowiedzialny za broń sprawdził system naprowadzania, wprowadził jedną, ostatnią poprawkę i nacisnął guzik.

Odliczał, a pocisk spadał w kierunku miasteczka z prędkością nieco większą od dźwięku. Trzy, dwa, jeden… - odliczał operator - „Cel!”.

Budynek na czarnobiałym ekranie wybuchł ogromną kulą ognia.

Dron krążył w górze godzinami, rejestrując wydobywanie z gruzów dwóch zmasakrowanych ciał. Miejscowy urzędnik talibów potwierdził śmierć dwóch mężczyzn, których określił jako zagranicznych bojowników oraz „bliskich przyjaciół”.

Operatorzy drona zdążyli już skończyć swoją zmianę, wsiąść do samochodów i wyruszyć w drogę do domów. Dojazd, z powodu święta, był dzisiaj przyjemnie łatwy jak na waszyngtońskie warunki.

Hayden usiał na łóżku, żeby obejrzeć ostatnie minuty meczu futbolu, po czym zapadł w głęboki sen. Nazajutrz rano podsłuchana rozmowa telefoniczna w Pakistanie potwierdziła śmierć Usamy al-Kiniego, ostatniego ważnego przywódcy Al-Kaidy zabitego z rozkazu administracji Busha.

Miejsce pobytu Osamy pozostawało nieznane.

Kilka tygodni później Mike Hayden został oficjalnie zwolniony z pracy. Nowo wybrany prezydent Barack Obama postanowił zacząć od nowa, mianując na szefa CIA starego waszyngtońskiego wyjadacza Leona Panettę. Panetta nie miał większego doświadczenia w wywiadzie, ale sprawdził się jako kierownik na stanowisku szefa kancelarii Białego Domu za prezydentury Clintona. Jedną z jego pierwszych decyzji było zatrzymanie na stanowisku wicedyrektora Agencji popularnego zastępcy Haydena Steve’a Kappesa oraz zachowanie całego jej zespołu antyterrorystycznego w niezmienionym składzie.

Pierwsze spotkanie Haydena z jego następcą przebiegło w serdecznej, choć chwilami niezręcznej atmosferze[7].

Panetta zaczął swoje urzędowanie w CIA niefortunnie, bo od publicznej krytyki brutalnego traktowania więźniów Al-Kaidy, z których część przebywała w tajnych więzieniach i była przesłuchiwana z użyciem metody podtapiania nazywanej waterboardingiem. Panetta zeznał w trakcie przesłuchania zatwierdzającego w Senacie, że w jego mniemaniu takie techniki stanowią torturę, przestępstwo karne.

Hayden odniósł się do tych kontrowersji lakonicznie. „Nigdy nie używajcie słów »tortury« i »CIA« w tym samym akapicie” - doradził oschle. Emerytowany generał wolał jednak mówić o czym innym. Korzystając z notatek spisanych na fiszce, ostrzegł Panettę przed niedocenianiem Al-Kaidy. Chociaż organizacja była regularnie gromiona w północnozachodnim Pakistanie przez predatory - Obama zdążył już z całym przekonaniem opowiedzieć się za ich wykorzystaniem - w dalszym ciągu była zdolna do zadawania Amerykanom niespodziewanych i zarazem potencjalnie miażdżących ciosów. Zaledwie trzy miesiące wcześniej sprzymierzona z talibami grupa terrorystyczna z Pakistanu rozpoczęła ataki w komandoskim stylu w Bombaju, ostrzeliwując hotele, dworce kolejowe i inne budynki z broni automatycznej i obrzucając je granatami. Zabiła ponad sto siedemdziesiąt osób.

Hayden spojrzał Panetcie prosto w oczy. Był to ważny moment.

„Nie wiem, czy to już do pana dotarło, ale jest pan dowódcą wojskowym Ameryki w wojnie z terroryzmem” - oznajmił. CIA bardziej niż Pentagon, FBI czy ktokolwiek inny - kontynuował - odpowiada za tropienie terrorystów w innych krajach i powstrzymywanie ich, zanim uderzą. Inni dyrektorzy CIA wykonywali podobne misje w minionych

latach, ale obecnie zadanie było inne: pierwszy raz w historii Agencji „powstrzymywanie” czarnych charakterów miało polegać na zabijaniu ich.

„Będzie pan podejmował decyzje - mówił Hayden - które będą wprawiały pana w najwyższe zdumienie”.

Panetta słuchał uprzejmie, ale ostatnie stwierdzenie Haydena wydało mu się przesadnie dramatyczne. Dowódcy wojskowi często przyjmowali zmianę z odpowiednią pompą: strzelaniem obcasami, salutowaniem i teatralną retoryką. Miną tygodnie, zanim Panetta zrozumie dogłębny sens słów Haydena.

Na odchodnym Hayden zatrzymał się jeszcze w Białym Domu na ostatnie spotkanie z nowo wybranym prezydentem. Na briefingu z udziałem Baracka Obamy w Gabinecie Owalnym generał wspomniał o dwóch celach monitorowanych przez Agencję w północnozachodnim Pakistanie. Hayden poinformował prezydenta, że zezwolił na atak, a zespół Agencji czeka na odpowiedni moment.

Został zapytany o tę operację jeszcze tego samego ranka, kiedy spotkanie przeniosło się do pokoju dowodzenia w Białym Domu. Co się dzieje z dwoma celami w Pakistanie?

Hayden wykonał szybki telefon, korzystając z bezpiecznych łączy. „Szach - powiedział - i jeszcze raz szach”. Opuścił spotkanie kilka minut później, żegnany pełnymi uznania uśmiechami i uściskami dłoni.

Wydaję się nastawieni pozytywnie, pomyślał, oceniając młodego prezydenta i jego ekipę do spraw bezpieczeństwa z ostrożną aprobatą.

Oficjalnie przekazał pałeczkę. Teraz ich kolej.

ROZDZIAŁ 2
UDRĘCZONA

Londyn - 19 stycznia 2009

Zimowa nawałnica przetaczała się przez londyński Grosvenor Square, porywając gazety, rozpraszając turystów i chłoszcząc odzianego w pelerynę spiżowego Franklina Roosevelta płachtami deszczu. Jennifer Lynne Matthews patrzyła przez okno biura na skotłowany świat, prawie nic nie widząc.

Był kolejny wilgotny poniedziałek w Londynie, początek ostatniego etapu jej prawie czteroletniej pracy w charakterze głównego oficera łącznikowego CIA do spraw kontrterroryzmu w Wielkiej Brytanii[8]. Już niedługo miała wyruszyć z powrotem do Wirginii albo w zupełnie inne miejsce - może nawet do Afganistanu - a niepewność budziła w niej niepokój. Poranna wymiana depesz przyniosła alarmujące wieści. FBI badało możliwą groźbę zamachu bombowego somalijskich terrorystów na mającej się rozpocząć za niecałą dobę inauguracyjnej paradzie nowo wybranego prezydenta Baracka Obamy. W Afganistanie rebelianci podjęli próbę niezwykle wyrafinowanego podwójnego samobójczego zamachu bombowego[9] tuż za murami tajnej bazy CIA w pobliżu miasta Chost. Najpierw wysadzono van przy bramie wjazdowej, zabijając i raniąc matki oraz małe dzieci czekające w kolejce na wizytę u lekarza z bazy. Kiedy

strażnicy i żołnierze pospieszyli na pomoc rannym, główną autostradą nadjechała ciężarówka uginająca się pod ciężarem ogromnej bomby. Kilka dobrze wymierzonych strzałów z karabinu afgańskiego żołnierza zabiło jej kierowcę, zapobiegając jeszcze większej katastrofie.

Matthews przestudiowała wiadomość, z przyzwyczajenia gładząc palcami gęstą kasztanową czuprynę opadającą jej na czoło. Czy to na pewno miejsce, w którym chciałaby się znaleźć? Miała czterdzieści cztery lata, ale wyglądała na młodszą, była szczupła, co zawdzięczała latom biegania, a na jej kościstej twarzy nie było śladu zmarszczek. Jeszcze daleko było jej do emerytury, ale po dwóch dekadach pracy w CIA wybór dalszej drogi zawodowej nabierał dla niej coraz większego znaczenia. Kolejne stanowisko na misji zagranicznej przynajmniej przełoży się na lepszą emeryturę, kiedy wreszcie przyjdzie na nią pora.

Mimo wszystko… Afganistan.

Matthews rozsiadła się w fotelu i wpatrywała się w mrok za oknem. Pracownicy biurowi brnęli mozolnie przez plac z parasolkami - niektórzy z nich wieczorem ruszą do pubów, żeby uczcić koniec prezydentury Georgea W. Busha. Nawet jeśli cieszyła się, że niektórzy członkowie ekipy Busha wyjadą z miasta, to nie zamierzała świętować. Żywiła wielką pogardę dla byłego sekretarza obrony w administracji Busha Donalda Rumsfelda, jednego z sześciu ludzi, których winiła za to, że pozwolili Bin Ladenowi się wymknąć, kiedy CIA miała go na celowniku.

Perspektywa prezydentury Obamy budziła większy niepokój niektórych z jej byłych znajomych w Centrum Antyterrorystycznym Agencji. Jako kandydat na prezydenta Obama potępił użycie przez CIA podtapiania i nawet nazwał je torturą, sugerując, że w planach są śledztwa, publiczne przesłuchania, a nawet postawienie zarzutów.

Matthews wiedziała o waterboardingu. Spędziła wiele tygodni przy boku Abu Zubajdy, człowieka, który zasłynął jako pierwszy wartościowy więzień Al-Kaidy poddany tej procedurze w pewnym kontrowersyjnym, tajnym więzieniu za granicą. Jako jeden z czołowych ekspertów CIA do spraw Al-Kaidy przekazywała śledczym pytania, które zadawali podczas przesłuchań. Była wtedy w ciąży i po sprawie stan jej zdrowia pogorszył się na tyle, że lekarze martwili się o jej nienarodzone dziecko.

Jej niepokój w związku z użyciem tortur miał jednak głębszy podtekst. Pewien sekret dręczył ją od czterech lat i przyjechał z nią do Londynu, kiedy w 2005 roku przyjęła stanowisko oficera łącznikowego CIA. Tysiące kilometrów od siedziby centrali CIA, w sercu jednego z największych miast świata, podjęła się nowej roli z zaangażowaniem, które wyczerpywało ją fizycznie i emocjonalnie, jednak kiedy znajomy prawnik z Biura Doradcy Generalnego CIA wpadł do niej z wizytą, było wyraźnie widać, że ciągle zżera ją stary ból.

„Nie mogę przestać o tym myśleć” - powiedziała mu, dławiąc łzy. Opowiadała szczegóły wiele razy, temu przyjacielowi i innym. Prawnik zaoferował jej słowa otuchy, ale szybko doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. „Była udręczona” - powiedział później.

Powody udręki Matthews były dobrze znane w CIA, gdzie mniej więcej dwa tuziny oficerów dźwigały ten sam ciężar. Po zamachach z 11 września 2001 roku wewnętrzne ciało nadzorujące CIA, Biuro Inspektora Generalnego, rozpoczęło szeroko zakrojone śledztwo[10] mające na celu ustalić, jak doszło do tego, że agencja wywiadowcza nie udaremniła porwania przez Al-Kaidę czterech samolotów i użycia ich do ataku na budynki. Prawdopodobnie była to porażka całego rządu USA i inne jego agendy też miały w niej udział, lecz wewnętrzne dochodzenie Agencji

skoncentrowało się na błędach CIA, które pozwoliły dziewiętnastu porywaczom bez przeszkód dostać się do Stanów Zjednoczonych.

Dochodzeniem kierował zawodowy analityk CIA John L. Helgerson, cichy i przyjazny były wykładowca uczelniany, który zaskoczył swoich starych kolegów, stając się jednym z najbardziej asertywnych i niezależnych głównych inspektorów w historii Agencji. Helgerson ustalił, że w 2000 roku Centrum Antyterrorystyczne CIA nie zareagowało na serię przesłanych mu ostrzeżeń dotyczących dwóch tajnych agentów Al-Kaidy, którzy wzięli później udział w zamachach 11 września. Pierwsze ostrzeżenie przyszło w styczniu tego roku, kiedy zauważono obecność dwóch agentów: Nawafa al-Hazmiego i Chalida al-Mihdhara, na spotkaniu domniemanych terrorystów w Malezji. Niedługo potem CIA dowiedziała się, że jeden z nich uzyskał wizę amerykańską, a drugi według wszelkich danych znajdował się już na terytorium Stanów Zjednoczonych. Depesze widziało aż sześćdziesięciu pracowników CIA, a mimo to nazwiska dwóch agentów nigdy nie zostały przekazane FBI, które mogło zlecić swoim agentom wytropienie ich albo podzielić się informacjami z Departamentem Stanu, który z kolei mógł zaznaczyć ich nazwiska na swojej liście osób podejrzanych o terroryzm. Teoretycznie rzecz biorąc, aresztowanie jednego czy drugiego z mężczyzn mogło doprowadzić śledczych do pozostałych porywaczy i w efekcie do udaremnienia spisku.

Helgerson wymienił w swoim raporcie konkretnych przełożonych, którzy jego zdaniem ponosili największą odpowiedzialność za niedopilnowanie, aby te niesłychanie istotne informacje przekazano FBI. Raport, nigdy niepodany do wiadomości publicznej w całości, zalecał także zbadanie niektórych osób na kierowniczych stanowiskach pod kątem ewentualnego postępowania dyscyplinarnego.

Na liście tych osób znalazła się Jennifer Matthews.

Raport wywołał wielkie poruszenie w centrali CIA, a najwyżsi urzędnicy Agencji ostro sprzeciwili się apelowi Helgersona o pociągnięcie do odpowiedzialności konkretnych osób. Jego krytycy argumentowali, że to niesprawiedliwe szargać reputację kilku przełożonych za coś, co stanowiło porażkę całego zespołu. Ówczesny dyrektor Agencji Porter Goss rozstrzygnął sprawę, formalnie odrzucając propozycję przeglądów dyscyplinarnych. Polecił też, aby nazwiska wymienione na liście Helgersona pozostały tajne[11].

Z piersi ułaskawionych urzędników wydobyło się chóralne westchnienie ulgi. Dla Matthews nie było to jednak żadnym pocieszeniem. Myśl, że oskarżono ją - jedną z garstki oddanych ekspertów od Al-Kaidy w CIA przed 2001 rokiem - iż nie traktuje Al-Kaidy poważnie, nie dawała jej spokoju. Matthews wierzyła, że jest dokładnie odwrotnie: należała do tych nielicznych osób, które w latach dziewięćdziesiątych XX wieku dostrzegały zagrożenie związane z osobą Bin Ladena. Podobnie jak inni w jednostce Agencji do spraw Al-Kaidy uważała, że to przywódcy polityczni kraju zaprzepaścili niezliczone szanse zabicia lub ujęcia tego saudyjskiego terrorysty.

Matthews nie mogła pogodzić się z myślą, że jej nazwisko będzie zawsze kojarzone z jedną z najstraszniejszych porażek wywiadowczych w historii Stanów Zjednoczonych. Ta ostra drzazga tkwiła w jej psychice jeszcze wiele lat później, w Londynie, długo po tym jak opinia publiczna przestała interesować się niepowodzeniami Agencji przed 11 września.

Siedząc w skąpo umeblowanym biurze z widokiem na Grosvenor Square, Matthews wyobrażała sobie, co będzie dalej. Przeciek, który ujawni jej nazwisko jako jednej z winnych. Szum medialny. Kariera zawodowa w zgliszczach. I wreszcie - co najboleśniejsze - publiczna hańba.

„Najgorsze było to, że jej dzieci musiałyby się o tym dowiedzieć - wspominał prawnik, który odwiedził ją tamtego styczniowego dnia. - Jej dobre imię zostałoby na zawsze zbrukane, już zawsze kojarzyłoby się z porażkami 11 września”.

Londyn dawał Matthews i jej rodzinie wytchnienie, kiedy naprawdę go potrzebowała. Kobieta cieszyła się każdą chwilą długich weekendów i urlopów spędzanych na podróżach z rodziną po Europie. Delektowała się oglądaniem raz po raz swojego ulubionego musicalu Nędznicy na londyńskiej scenie i kupowała skrzynki francuskiego wina, które wzbogacały jej powiększającą się kolekcję w domu. W pracy brała udział w kilku śledztwach dotyczących spisków terrorystycznych, między innymi wymyślonego przez Al-Kaidę w 2006 roku planu zdetonowania ciekłych środków wybuchowych na pokładach komercyjnych samolotów pasażerskich. Brytyjscy koledzy nauczyli się szanować jej fachową wiedzę i szybko przywykli do jej bezkompromisowego stylu. „Zawsze poznawałem, który z moich kolegów z biura spotkał się z Jennifer danego dnia - wspominał później jeden z brytyjskich oficerów wywiadu. - Zawsze była to najbardziej zapracowana osoba w pokoju”.

Teraz jednak było już po wszystkim, a Matthews nie mogła się zdecydować, co robić dalej. Większość osób z jej doświadczeniem kończyła przy którymś z biurek w Langley - mało zachęcająca perspektywa, z wielu powodów. Pod względem płacowym znajdowała się blisko szczytu rządowej listy wynagrodzeń dla pracowników cywilnych, ale brakowało jej doświadczenia w kluczowych obszarach, koniecznego, żeby wskoczyć do wyższej kadry kierowniczej, tak zwanej wyższej służby szczebla kierowniczego, gdzie pensje zaczynają się od 111 000 dolarów rocznie.

Podczas wypraw do Waszyngtonu jeździła windą na szóste piętro, do skrzydła administracyjnego CIA, żeby zasięgnąć rady. Słyszała wciąż te

same zalecenia: zanim będzie mogła zdobyć awans, musi uzupełnić luki w swoim curriculum vitae. Matthews miała już spore doświadczenie w pracy kierowniczej w Londynie i Langley, ale przez dwie dekady pracy antyterrorystycznej nie służyła nigdy w Kabulu ani w Bagdadzie, na stanowiskach z pierwszej linii, zasadniczych dla najważniejszej misji CIA. Jeśli rzeczywiście chciała zajść wyżej, musiała pójść na wojnę.

Odkryła, że jednak nie wszystkie stanowiska w strefach działań wojennych są identyczne. Jeśli wyjedzie do Zielonej Strefy w Bagdadzie, będzie miała przed sobą trzy lata ciężkiej pracy z dala od rodziny. Jednak w konstelacji kompleksów CIA było parę ponurych placówek, gdzie ze względu na trudne albo niebezpieczne warunki roczny przydział był uważany za ekwiwalent trzech lat spędzonych gdzie indziej.

Wczesną jesienią miała się zwolnić posada szefa bazy w jednym z właśnie takich miejsc - w dzikich ostępach wschodniego Afganistanu, niedaleko Tora Bora, w miejscu od zawsze uważanym za jedno z najniebezpieczniejszych w tym ogarniętym przemocą kraju. Na dodatek blisko dwóch pakistańskich prowincji stanowiących bastion talibów oraz miejsca, gdzie ostatni raz widziano Osamę Bin Ladena. Matthews znała to miejsce: nazywało się Chost. O to stanowisko rywalizowali już inni oficerowie, ale Matthews szybko zdobyła dojście. Jej kandydaturę wsparło kilku najwyższych rangą oficerów CIA, którzy zapewnili kobietę, że rok jej pracy będzie równie dobroczynny dla Agencji jak dla jej własnej kariery zawodowej.

Jej najbliżsi przyjaciele i mentorzy byli podzieleni co do tego, czy nadaje się do tej funkcji. Niektórzy byli zdania, że to za dużo w zbyt krótkim czasie. Matthews nie miała doświadczenia w radzeniu sobie z kwestiami bezpieczeństwa związanymi z życiem i podróżowaniem w strefie działań wojennych. Poza tym nie wiedziała zbyt wiele o sztuce

prowadzenia tajnych agentów, osobnej tradycji w agencji wywiadowczej, wymagającej wysoko wyspecjalizowanego szkolenia i umiejętności. Większość pracy w Choście polegała na kierowaniu sieciami tajnych agentów.

Pozostawał jeszcze czynnik osobowościowy. Koledzy z CIA, którzy regularnie pracowali z Matthews, znali ją jako osobę pełną pasji i bezpośrednią, ale też niecierpliwą i upartą.

„Nie lubiła, kiedy zadawano jej pytania, i nie miała cierpliwości do ludzi, którzy nie wiedzieli o temacie tyle samo co ona - wspomina były tajny oficer, który spotykał się z nią regularnie w Langley. - Miała zwyczaj głośno wzdychać, jakby chciała powiedzieć: »Ja to wiem i ty też powinieneś«„.

Nie można było jednak powiedzieć, że brakowało jej doświadczenia. Matthews pomagała kierować operacjami przeciwko Al-Kaidzie z Waszyngtonu i Londynu od prawie piętnastu lat i zebrała najwyższe pochwały za rolę, jaką odegrała w schwytaniu przez CIA Abu Zubajdy. Zespół kierowany przez Matthews prowadził trwające dwa lata poszukiwania byłego logistyka Al-Kaidy i wytropił go w kryjówce w pakistańskim mieście Fajsalabad, gdzie człowiek ten został otoczony i schwytany przez kilkudziesięciu pakistańskich komandosów i oficerów paramilitarnych CIA.

Ponadto przełożeni Matthews dostrzegali w niej dokładnie te cechy, których Agencja potrzebowała w nasilającej się wojnie z Al-Kaidą: zdolności przywódcze, siłę psychiczną, entuzjazm, ambicję oraz niekwestionowane, mistrzowskie opanowanie tematu. Jeden z jej szefów nadał jej przezwisko STRAĆ. Był to stary akronim wywodzący się z marynarki wojennej, oznaczający Standing Tali, Ready Around the Clock [Zwarty i Gotowy przez Okrągłą Dobę]. Było jasne, że CIA ma wobec niej

wielkie plany, a wydelegowanie jej do Afganistanu miało pomóc jej zdobyć potrzebne doświadczenie. Wysyłając ludzi przez lata do Iraku i Afganistanu, Agencja przerzedziła swoje szeregi i coraz trudniej było znaleźć ochotników, których umiejętności zawodowe idealnie odpowiadały wymaganiom na dane stanowisko. Kandydatka Matthews wydawała się posiadać te najważniejsze, jak ocenił emerytowany starszy oficer, który dorzucił swoją opinię do jej oceny zawodowej.

„Była bardzo bystra i ostrożna - powiedział. - Najlepsi ludzie to po prostu najlepsi ludzie. Doskonały oficer prowadzący może być również doskonałym analitykiem i vice versa”.

Matthews, jak było zewsząd słychać, spędzała jeszcze mniej czasu, martwiąc się o to, czy jest odpowiednia do tej pracy. Chost oferował jej wszystko, czego szukała: otwierał przed nią zarówno drogę do awansu, jak i osobistego odkupienia win. Przyjaciele zauważali, że samo to, iż niektórzy kwestionowali jej umiejętności, zwiększało jej determinację.

Matthews ostatecznie zasięgnęła rady jednego człowieka myślącego inaczej, emerytowanego oficera CIA, którego darzyła szacunkiem, kogoś, kto dobrze znał tamtejszą biurokrację i zawsze mówił otwarcie, co myśli. Spędziła z nim popołudnie na jego ganku z widokiem na pogórze Wirginii, a potem usiedli przy komputerze, żeby obejrzeć zdjęcia satelitarne na Google Earth. Baza CIA w prowincji Chost była na nich łatwa do rozpoznania, ponieważ mieściła się na terenie lotniska wojskowego z bitym pasem startowym, rozbudowanego w latach osiemdziesiątych przez Sowietów, żeby umożliwić sobie naloty bombowe na afgańskich rebeliantów ukrywających się w górach. Na wschód od bazy znajdowało się przejście graniczne Gulam Chan, brama do pakistańskich twierdz kontrolowanych przez osławionych watażków i bojowników takich jak

Dżalaluddin Hakkani, Bajtullah Mehsud i może nawet sam Osama Bin Laden.

Emerytowany oficer próbował wyłuszczyć swoje rady w taki sposób, żeby przełamać odruchowy opór Matthews[12].

Przez wzgląd na CIA i na twoje własne dobro - zwrócił się do niej - Chost to ostatnie miejsce, gdzie powinnaś chcieć się znaleźć.

„Rozumiem, co cię tam ciągnie - powiedział jej, według własnej relacji z tej rozmowy. - Ale nie myślisz jasno. To paramilitarne środowisko, a ty nie masz w nim żadnego doświadczenia".

Przedstawił całą listę innych obaw. Baza Chost prowadzi tajnych agentów, a Matthews ma o tym nikłe pojęcie. Ataki dronów, które będzie pomagała organizować, mogą zabijać niewinnych cywilów i narazić ją na niebezpieczeństwo procesu sądowego. Stwierdził, że nawet jej płeć może działać przeciwko niej, bo ludzie z afgańskich plemion nie będą chcieli negocjować jak równy z równym z kobietą, zwłaszcza ubraną w spodnie od munduru polowego i podkoszulek.

Na wzmiankę, że będzie w niekorzystnej pozycji jako kobieta, Matthews zaświeciły się oczy. Rozmowa przerodziła się w zażarty spór, a im bardziej oboje się kłócili, tym bardziej Matthews stawała się nieprzejednana.

„Już wcześniej zdecydowała, że pojedzie do Afganistanu - powiedział później jej doradca. - Próbowałem jej to wyperswadować, ale ona słyszała co innego: myślała, że chcę jej powiedzieć, że sobie nie poradzi".

Widząc, że jej nie przekona, oficer życzył jej powodzenia. Więcej się nie spotkają.

ROZDZIAŁ 3
LEKARZ

Amman, Jordania - 19 stycznia 2009

Ekipa zebrała się na ulicy tuż przed 23.00 i jak zawsze odczekała, aż zgasną telewizory i światła w sypialniach[13]. Ciemność oznaczała mniej świadków, a uśpiony dom pozwalał agentom budzącego grozę Muchabaratu, jordańskich służb bezpieczeństwa, działać szybko, przy minimum hałasu i zamieszania. Nie będzie pukania do drzwi ani ustnych rozkazów, tylko trzask metalu o drewno, a nieszczęsny podejrzany zostanie zwinięty jednym skoordynowanym ruchem z pościeli na tylne siedzenie czekającego samochodu.

Tej przenikliwie zimnej styczniowej nocy celem był trzypiętrowy budynek na ulicy Urwa Bin Al-Ward, wąskim zaułku dzielnicy palestyńskich imigrantów z zadbanymi domami z kamienia w piaskowym kolorze. Tuż przed północą dwa czarne sedany na umówiony znak opuściły miejsca parkowania i wjechały do zaułku z wyłączonymi światłami, a trzeci stanął ukośnie w poprzek ulicy, żeby zatamować ruch. Policja i agenci Muchabaratu w ciemnych ubraniach zajęli pozycje od frontu i na tyłach domu, a mały oddział szturmowy zgromadził się przy drzwiach wejściowych, czekając na sygnał. Jeden z jego członków, krępy kapitan wywiadu w czarnym komandoskim swetrze, ściskał w ręce nakaz aresztowania młodego lekarza o nazwisku Humam Chalil Abu Mulal Al-

Balawi. Człowiek, którego szukali, miał trzydzieści jeden lat i nigdy przedtem nie był oskarżony o nic poważniejszego niż wykroczenie drogowe. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin dał się jednak poznać jako jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi w całej Jordanii.

Chwilę przed rozpoczęciem nalotu doszło do sprzeczki między oficerami Muchabaratu a grupą młodych mężczyzn wracających pieszo z imprezy. Chłopcy okrążyli dziwny samochód ustawiony w poprzek ulicy i zaczęli łajać kierowcę za to, że blokuje przejazd. Przyszedł jeszcze jeden ubrany po cywilnemu oficer i niebawem zaczęły się krzyki i przepychanki.

Dzwonię po policję! - krzyczał jeden z mężczyzn.

Zamieszanie obudziło ojca podejrzanego, Chalila Al-Balawiego. Sześćdziesięcioześcioletni emerytowany nauczyciel zasnął z książką na sofie w salonie i kiedy się obudził, za oknem słychać było podniesione głosy. Brodaty emeryt zerknął przez zasłony, a gdy nic nie zobaczył, zawiązał szlafrok i pokuśtykał do drzwi wejściowych. Gdy tylko je uchylił, znienacka otwarły się z rozmachem do środka, odrzucając go do tyłu. Trzy postacie w skórzanych płaszczach bez słowa przeszły szybko obok, a czwarta ruszyła w stronę starca, jakby po to, żeby zagrodzić mu drogę.

Al-Balawi, ciągle rozespany, zgadywał, że intruzi próbują uciec przed bójką rozgrywającą się na ulicy. Teraz jednak troje ludzi wbiegało susami po schodach, w kierunku mieszkań zajmowanych przez dorosłe dzieci Al-Balawiego i ich rodziny. Zaczął protestować, ale poczuł na ramieniu coś jak ścisk imadła. Była to ręka postawnego mężczyzny w czarnym swetrze.

„Muchabarat - powiedział mężczyzna cicho, używając arabskiego terminu na określenie służb wywiadowczych oficjalnie znanych jako Generalny Departament Wywiadu albo GID. Wręczył Al-Balawiemu zmięty dokument. - Przyszliśmy po Humama”.

Al-Balawi poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Czy to sen? Z góry dobiegały rozpaczliwe odgłosy: rozdzierający wrzask dziecka, łomoty i głuche tąpnięcia, głos synowej, najpierw podniesiony, później błagalny, na koniec wyjący. Wreszcie zaświtała mu myśl: To pomyłka. To nie ten dom, nie ten Humam. Jego syn leczy ludzi, a nie popełnia przestępstwa.

„Nie wiem, czego szukacie, ale tego tu nie ma!” - wyjąkał, zwracając się do kapitana. „Nie mamy broni ani narkotyków. Nie trzymamy tu nic niezgodnego z prawem!”

W spojrzeniu brązowych oczu oficera, gdy patrzył na starca, czaiło się współczucie, ale w ślad za nim nie poszły żadne słowa. Myśli Chalila Al-Balawiego pędziły jak oszalałe. Czy to możliwe, że Humam prowadzi podwójne życie? Czy okrada przychodnię? Nie, to niemożliwe - zdecydował. Humam to domator. Nie miałby na co wydawać pieniędzy. Nie odwiedza klubów nocnych w zachodnich hotelach w centrum miasta. Prawie nie wychodzi z domu.

Znowu rozległy się krzyki i stukoty, po czym dwóch oficerów zbiegło z hukiem po schodach z rzeczami jego syna. Jeden niósł komputer, drugi targał pudło wyładowane książkami i papierami oraz stojak z płytkami CD. Pierwszy postawił komputer na podłodze i przedstawił starszemu Al-Balawiemu odręcznie napisaną listę opatrzoną nagłówkiem „Artykuły zakazane”. Był to wykaz sprzętu elektronicznego oraz dokumentów skonfiskowanych jako materiały dowodowe.

„Proszę podpisać tutaj i potwierdzić, że nic nie zepsuliśmy” - rozkazał mężczyzna.

Chalil Al-Balawi był już całkiem rozbudzony, pod jego rudą brodą widać było rumieniec. „Gdzie go zabieracie? O co chodzi?” - dopytywał.

„Może pan zapytać o niego jutro - odparł oficer. - W Muchabaracie”.

Starzec popatrzył na długopis, który wciśnięto mu do ręki, a potem podniósł głowę i zobaczył, jak jeden z oficerów sprowadza jego syna po schodach. Humam Chalil Al-Balawi miał na sobie tunikę do kolan i spodnie od piżamy, szedł powoli, z opuszczonym wzrokiem. Mierzył metr siedemdziesiąt i nieco przewyższał wzrostem ojca, ale był szczupły w pasie i w barkach, miał też delikatną skórę kogoś, kto spędza czas w towarzystwie książek i komputerów. Jego brązowe kręcone włosy i rzadka, rozwichrzona broda były zmierzwione od snu, przez co wyglądał bardziej jak wychudzony nastolatek niż uznany lekarz z własną praktyką i dwójką dzieci.

Pochód zatrzymał się u podestu schodów. Młody Al-Balawi wydał się ojcu osobliwie, niewytłumaczalnie obojętny, jak gdyby chodził we śnie. Spotkali się wzrokiem. Oczy syna były nienaturalnie wielkie, łagodne i brązowe. Nie potrafiły też ukrywać emocji i szybko zdradzały strach, gniew albo jakiekolwiek inne uczucie, jakiego doznawał Humam w danym momencie. Tej nocy płonęło w nich jednak coś, czego starszy człowiek nie potrafił natychmiast rozpoznać. Nie był to lęk, nerwowość ani nawet gniew, raczej coś na kształt pogardy, jak u mistrza bokserskiego, który właśnie odebrał cios z zaskoczenia.

„Zobaczyłem wyzwanie, bunt - powiedział później starszy Al-Balawi. - Znałem to spojrzenie. Cały Humam”.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał. Nastąpiła krótka szamotanina przy drzwiach, a potem starzec przyglądał się, jak oficerowie wpychają jego syna na tylne siedzenie jednego z samochodów. Doktor Humam Al-Balawi, utalentowany naukowiec oraz pediatra, który marzył o pracy w Stanach Zjednoczonych, w jednej chwili zniknął za przyciemnianymi szybami, a wraz z nim jego reputacja i wszelkie ślady dotychczasowego życia. Od tej

pory, niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, będzie żył jako człowiek naznaczony przez Muchabarat.

Jedyną niewiadomą było to, gdzie dokładnie zakończy się jego droga. Humam mógł wybrać opór i patrzeć, jak jego kariera wali się w gruzy, dobre imię jego rodziny zostaje splamione, a dzieci przyzwyczajają się do życia w biedzie. Mógł też pójść na współpracę i cierpliwie znosić hańbiący los rządowego kapusia. Zdarzało się, że Jordańczycy, którzy zdecydowali się na to drugie, z wolna popadali w obłęd, odizolowani od przyjaciół i otoczeni przez pełnych nieufności kolegów. Inni uciekli z kraju, jeszcze inni po prostu zniknęli za murami podobnej do twierdzy głównej siedziby Muchabaratu i słuch po nich zaginął.

Chalil Al-Balawi stał w drzwiach w cienkim szlafroku i dygocząc, patrzył, jak życie syna, niczym na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie, obraca się w gruzy, a wraz z nim jego własne nadzieje na spokojną i wygodną starość. Wytężał wzrok z nadzieją, że zobaczy go jeszcze jeden, ostatni raz, ale okna ciemnego sedana zazdrośnie strzegły swojej tajemnicy. Pierwszy samochód z Humaniem w środku wykonał ciasny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w zaułku i zniknął za rogiem.

Wasze kajdanki będą niczym srebrne bransolety[14]. Pętla na szyi będzie medalem honoru.

Arabskie litery przelatywały po ekranie komputera; Humam Al-Balawi pisał, lekko naciskając klawisze, żeby nie obudzić żony i dwóch dziewczynek śpiących w sąsiednim pokoju. Był czerwiec 2007 roku, do aresztowania miał jeszcze dziewiętnaście miesięcy i robił to, co kochał najbardziej. Za parę godzin się rozwidni, a on wyruszy do przychodni dziecięcej, żeby przepisywać antybiotyki i leczyć gorączki oraz bóle brzucha. W tej chwili jednak, w zaciszu rodzinnej kuchni, był Abu Dudżaną

al-Chorasanim, cyberwojownikiem islamu, biczem bożym na Amerykanów i ich arabskich pachołków na całym świecie.

Bracia, ściągajcie te filmy, a gwarantuję, że przegrzeją się Wam kable internetowe, bo to naprawdę gorące klipy - pisał Al-Balawi, przerywając, żeby wstawić kody, które pozwolą czytelnikom zobaczyć kolaż zdjęć z ataków irackich bojowników na żołnierzy amerykańskich, których wielozadaniowe samochody terenowe wybuchały ogniem, wzniecając obłoki dymu i szrapneli. Patrzcie, jak giną Amerykanie - zupełnie jak w grze wideo na Playstation.

Al-Balawi przeczytał po cichu napisane zdania i zadowolony kliknął „Prześlij". W kilka sekund zapowiedź jego artykułu pojawi się na stronie internetowej Al-Hesbah, jednej z czołowych platform dla radykalnych poglądów i nauk islamistycznych w świecie arabskojęzycznym.

„Abu Dudżana" oczywiście nie istniał, była to fałszywa tożsamość stworzona przez Al-Balawiego początkowo po to, aby mógł wypowiadać się na czatach internetowych bez obaw, że go aresztują. Z czasem jednak jego bohater zyskał własną osobowość. Tam gdzie młody lekarz był powściągliwy i pełen szacunku, Abu Dudżana był agresywny, obcesowy, zgryźliwy i sarkastyczny - niczym zły bliźniak o diabelskim poczuciu humoru. Z dnia na dzień też stał się hitem internetu[15]. Nowe posty Abu Dudżany Al-Chorasaniego należały do najczęściej czytanych i komentowanych artykułów na stronie Al-Hesbah. Niebawem poproszono go, aby został moderatorem grup dyskusyjnych strony internetowej - dzięki tej funkcji mógł przewodniczyć codziennym rozmowom online, a jednocześnie prezentować swoje własne artykuły.

Abu Dudżana został wrzucony w niewielką elitę autorów oraz speców od dżihadu o dużym kręgu czytelników i globalnym zasięgu. Nikt jednak nie wiedział, kim był naprawdę. Jego najbardziej zagorzali internetowi

zwolennicy spekulowali, że to Saudyjczyk, bardzo możliwe, że wysoki rangą członek Al-Kaidy. W rzeczywistości nawet administratorzy strony Al-Hesbah, którzy zatrudnili Abu Dudżanę jako moderatora, nie znali jego prawdziwego nazwiska ani narodowości. Podobnie Muchabarat i CIA, która zatrudnia zespoły etatowych specjalistów do monitorowania stron internetowych propagujących dżihad i opracowywania raportów rozszyfrowujących i analizujących ich treść. Ojciec i bracia Al-Balawiego żartowali z jego romansu z komputerami, ale nawet oni nie mieli pojęcia o sekretnym życiu, jakie stworzył sobie na migoczącym na niebiesko ekranie.

Przeobrażenie następowało w domu, zazwyczaj nocą albo w weekendy, kiedy myśli Humama nie zaprzątały obowiązki w przychodni. Siedział zgarbiony nad komputerem całymi godzinami, aż oczy nabiegały mu krwią, a żona Defne zaczynała się niepokoić[16]. Al-Balawi już miał opinię odludka, rzadko wychodził, rzadko spotykał się z przyjaciółmi czy nawet udawał się do lokalnego meczetu na piątkowe modlitwy. Pytania Defne zbywał twierdzeniami, że musi się uczyć, ale kiedy wchodziła do pokoju, książki leżały ciśnięte na bok, a mąż był tam gdzie zawsze - przycupnięty na ulubionym fotelu, z oczami utkwionymi w ekran komputera. Im bardziej rósł Abu Dudżana, tym mniejszy stawał się Al-Balawi ze swoim starym życiem.

„Był tym pochłonięty - przyznała później Defne. - Żył fantazją, jakby w innym świecie”.

Al-Balawi pisywał regularne artykuły w sieci pod kilkoma innymi fałszywymi nazwiskami, zanim po raz pierwszy w 2007 roku - właśnie kiedy Al-Balawi nabierał wprawy jako eseista - pojawił się Abu Dudżana. Sam pseudonim był zbitką historycznych nazwisk rozpoznawalnych na pierwszy rzut oka dla pobożnych muzułmanów: al-Chorasani oznacza „z Chorasanu”, jak w dawnych czasach nazywano rozległe połacie

muzułmańskich ziem rozciągających się od starego imperium perskiego po Hindukusz, obejmujące dużą część dzisiejszego Afganistanu. Abu Dudżana był arabskim wojownikiem z VII wieku, ulubieńcem proroka Mahometa[17]. Ten wprawny szermierz, który lubił zamęt walki wręcz, był też arogancki i pełen ostentacji: przed bitwą zakładał na głowę czerwoną opaskę i drwił sobie z wrogów, paradując kpiąco przed czołem ich oddziałów.

Internetowy Abu Dudżana też był showmanem, skłonnym do werbalnych przechwałek i fajerwerków. Jego pierwsze artykuły szybko zapewniły mu opinię jednego z najbardziej zajmujących i barwnych autorów w sieciowej społeczności radykalnych islamistów. Wściekał się na wszystkie zwyczajowe cele - Izrael, Zachód, przyjazne Stanom Zjednoczonym arabskie rządy - ale jego teksty odzwierciedlały też głębokie zrozumienie kultury zachodniej oraz instynktowną umiejętność docierania do młodszych muzułmanów, którzy dorastali w świecie komunikatorów internetowych i portali społecznościowych. W jednym akapicie chłostał zwykłych muzułmanów za to, że są bezmyślnymi klonami, „jak Dolly, sklonowana owca", a w następnym rozwodził się tęsknie o przyszłości, w której nawet lalka Barbie „będzie nosić na twarzy zasłonę i recytować Koran, kiedy się ją dotknie".

Dodatkowo nęcił swoich czytelników najświeższymi obrazami wojennych jatek, uzyskanymi od amatorskich fotografów w służbie dżihadu w Tikricie albo Ramadi, serwowanymi z beztrosko upiornymi komentarzami, które stały się znakiem firmowym Abu Dudżany.

„Witajcie w barze Al-Hesbah - napisał na wstępie jednej z internetowych sesji. - Przejdźcie do menu i wybierzcie sobie danie na dzisiaj:

- Pieczeń z humvee[18] w sosie z ludzkich szczątków.

- Czołg wysadzony za pomocą ajdika [improwizowanego ładunku wybuchowego], bez ocalałych; lub:

- Ciasto z mózgów Amerykanów, wypatroszonych przy użyciu kul snajperów".

Tysiące muzułmanów degustowały propozycje Abu Dudżany i poświęcały czas na czytanie jego słów. Apetyt na jego artykuły rósł z tygodnia na tydzień. Abu Dudżana - kimkolwiek i gdziekolwiek był - stawał się prawdziwym celebrytą.

Trzeba było go powstrzymać.

W centrali owianej tajemnicą Agencji Bezpieczeństwa Narodowego na przedmieściach Waszyngtonu znajduje się wyszukiwarka komputerowa niepodobna do żadnej innej na świecie. Ma kryptonim „Turbulence", kosztuje pięćset milionów dolarów rocznie[19] i nieustannie połyka terabajty danych z całego internetu i przeszukuje je pod kątem możliwych zagrożeń dla bezpieczeństwa. Kiedy zidentyfikuje konkretny cel - na przykład nową stronę internetową albo nieznane agresywne ugrupowanie - może przetrząsnąć zawartość wybranego komputera na drugim końcu świata i wykraść z niego pliki albo podrzucić mu oprogramowanie szpiegowskie. Następnie do akcji mogą wkroczyć agenci w terenie, wyposażeni w przenośny sprzęt monitorujący zdolny wykryć pojedyncze uderzenia w klawisze komputera z odległości kilkuset metrów.

Szczegóły metod używanych do śledzenia określonych celów za granicą są pilnie strzeżoną tajemnicą. Wiadomo tylko, że pod koniec 2008 roku wykorzystano takie właśnie narzędzia do wytropienia popularnego blogera - dżihadysty, który przedstawiał się jako Abu Dudżana al-Chorasani. Cofając się do źródeł, amerykańscy funkcjonariusze przedarli się przez

labirynt serwerów oraz magistral obejmujących całe kontynenty i zawęzili obszar poszukiwań najpierw do Jordanii, następnie do Ammanu i wreszcie do domu w robotniczej dzielnicy o nazwie Dżabal Nuzha.

Prawdziwa tożsamość tego człowieka była szokiem, zwłaszcza dla Muchabaratu, jordańskiego wywiadu: jedna ze wschodzących gwiazd radykalnego islamu w realnym świecie była nikomu bliżej nieznanym pediatrą, który mieszkał pod samym nosem służb wywiadowczych.

Dalsze działanie było w gestii Muchabaratu. CIA i jej zagraniczne odpowiedniki czujnie monitorują strony internetowe nawołujące do świętej wojny i co jakiś czas je zamykają, ale na co dzień wolą studiować je dyskretnie, celem pogłębiania wiedzy o mechanizmach rozwoju ruchów terrorystycznych. Muchabarat miał zdecydować, czy człowiek, który jako fikcyjny Abu Dudżana wzywał wyznawców islamu do świętej wojny, stanowi realne zagrożenie dla Jordanii i innych krajów. Trzeba było znaleźć kogoś, kto przyjrzy się uważnie Humamowi Chalilowi Al-Balawiemu. Wybór padł na oficera średniego szczebla, który rozumiał fenomen internetowego dżihadu lepiej niż ktokolwiek inny w wydziale kontrterrorystycznym agencji. Nazywał się Ali bin Zeid, ale koledzy mówili na niego Szarif Ali[20]; ten pełen szacunku przydomek wskazywał na jego szlachetne urodzenie. Bin Zeid był potomkiem pierwszego króla Jordanii Abdullaha I i kuzynem obecnie panującego monarchy.

Zaledwie trzydziestoczteroletni bin Zeid miał za sobą już dziesięć lat służby w wywiadzie i zgromadził pokaźną kolekcję medali oraz pochwał, w tym jedną od CIA. Czuły na sugestie, że zawdzięcza swoje przywileje królewskiej krwi, pracował do późna i nigdy nie wspominał o swoich związkach z koroną, chyba że mogła na tym skorzystać cała jednostka. Pewnego razu, podczas ćwiczeń szkoleniowych na pustyni, nadużył stanowiska, żeby zamówić dostawę specjalnego lunchu na teren kempingu:

big maki z frytkami dla wszystkich w oddziale. Ale był też człowiekiem poważnym i zasadniczym. Jego ulubioną bronią był gruby pistolet Magnum kalibru.44 mm znany jako Pustynny Orzeł, który - jak miał nadzieję - da mu równe szanse, gdyby przypadkiem napotkał kogoś szukającego rozgłosu poprzez zamordowanie potomka monarchy.

Krępy bin Zeid o masywnym torsie był też bardziej zachodni od większości swoich kolegów, dzięki nauce w college u w Bostonie i stażowi w biurze młodszego senatora Johna Kerryego, demokraty. Mówił nienaganną angielszczyzną z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża i przyjaźnił się ze swoimi amerykańskimi odpowiednikami z bazy CIA w Ammanie, zwłaszcza z byłym żołnierzem formacji Army Rangers Darrenem LaBonte. Obaj często byli partnerami, kiedy obie agencje pracowały razem nad sprawami związanymi z terroryzmem, i zjeździli razem świat, od Europy Wschodniej po Daleki Wschód. Obaj niedawno się ożenili i nieraz spędzali razem leniwe weekendy ze swoimi młodymi żonami na Morzu Czerwonym koło Akaby, na łódce bin Zeida.

Bin Zeid i LaBonte pracowali nad trudnymi przypadkami metodą burzy mózgów, ale niewiele z nich wprawiało ich w większe zakłopotanie niż sprawa tajemniczego lekarza, którego obserwację zlecono Jordańczykowi. Muchabarat zgromadził kilogramy materiałów na temat Al-Balawiego i od tygodni śledził go w czasie jego koszmarnie nudnych podróży z centrum Ammanu do odległego o szesnaście kilometrów oenzetowskiego Centrum Matki i Dziecka, gdzie pracował w obozie dla uchodźców o nazwie Marka. Bin Zeid czytał teczki oraz codzienne raporty, rozmyślał, odkładał je, po czym czytał raz jeszcze.

Kim jest ten facet?, zastanawiał się głośno w obecności kolegów.

W biografii Al-Balawiego nie było nic, co wpisywałoby się w schemat zachowań terrorysty albo stronnika zakazanych ugrupowań. Żadnych

zatargów z policją, odnotowanych aktów przemocy, żadnych znanych powiązań z radykalnymi ugrupowaniami czy nawet z jordańskim Bractwem Muzułmańskim, tym chwiejnym osiemdziesięcioletnim ruchem społecznym znanym obecnie głównie z organizowania kolacji połączonych ze zbieraniem funduszy na pomoc dla irackich sierot i wdów.

Z dokumentów wyłaniał się za to obraz młodego człowieka o nadzwyczajnych umiejętnościach i osiągnięciach. Al-Balawi pochodził ze stabilnej rodziny, jego rodzice mieli wyższe wykształcenie i nigdy nie byli zamieszani w żaden skandal. Al-Balawi był wierny żonie i miał bzika na punkcie swoich dwóch małych córeczek. Uszczęśliwianie innych było jego pasją, ale nie wykazywał zewnętrznych oznak fanatyzmu religijnego.

Jego świadectwa szkolne były niezmiennie imponujące. Liceum w Ammanie ukończył z najwyższym wyróżnieniem i najwyższą średnią ocen. Otrzymał stypendium uniwersyteckie od rządu jordańskiego. Biegle władał angielskim.

Po liceum był faworytem do studiów na kierunku bionauka na Uniwersytecie Jordańskim, ale postanowił wyjechać za granicę studiować medycynę. Dostał się na Uniwersytet Stambulski i chociaż początkowo nie mówił ani słowa po turecku, w ciągu sześciu lat zrobił licencjat i doktorat z medycyny Wrócił do Jordanii z turecką żoną, wykształconą dziennikarką, i urządzili się w mieszkaniu w domu ojca Humama. Miał szeroki wybór możliwych dróg kariery, ale ostatecznie zdecydował się odrzucić etat w szpitalu na rzecz jednego z najmniej spektakularnych stanowisk medycznych w mieście: opieki nad matkami i małymi dziećmi w ciągnącym się kilometrami obozie dla uchodźców Marka, gdzie mieszkały dziesiątki tysięcy Palestyńczyków wysiedlonych po wojnie arabsko-izraelskiej w 1967 roku. Jego mieszkańcy szybko polubili doktora o łagodnym spojrzeniu, delikatnego w stosunku do dzieci, ale też dziwnie

poważnego jak na swój wiek. „Nie flirtował jak inni - opowiada pewna samotna matka z obozu, która często widywała Al-Balawiego. - Wydawał się bardzo nieśmiały i prawie z nami nie żartował“[21].

Wyłaniał się z tego obraz Al-Balawiego jako introwertyka, który żył skromnie i jeśli wychodził z domu, to prawie zawsze tylko do pracy. Jeździł zdezelowanym fordem escortem, który w większość dni służył także jako darmowa taksówka dla potrzebujących podwózki sąsiadów czy pacjentów. Agenci Muchabaratu nie znaleźli nic, co sugerowałoby, że potajemnie spotykał się z przedstawicielami Hamasu czy innych radykalnych ugrupowań, ani że w ogóle znał te organizacje.

Sprawy Abu Dudżany al-Chorasaniego nie można było jednak zbagatelizować. Potajemne internetowe hobby Al-Balawiego stało się problemem, bez wątpienia większym, niż sam to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Co jeszcze bardziej niepokojące, jego teksty sugerowały jakiś tajny związek z Al-Kaidą. Abu Dudżana zawsze gloryfikował tę organizację i jej założyciela Bin Ladena, ale w ostatnim czasie, jak się wydawało, zaczął wypowiadać się w jej imieniu. Ilekroć drugi człowiek po Bin Ladenie Ajman az-Zawahiri występował z kolejnym oświadczeniem albo komunikatem wideo, Abu Dudżana momentalnie dostarczał analizy i interpretacji koturnowej arabszczyzny az-Zawahiriego. Eseje, w których bronił posunięć Al-Kaidy, do tego stopnia odzwierciedlały poglądy az-Zawahiriego[22], że mogłyby być jego dziełem. Niezależnie od tego, czy takie było zamierzenie tej organizacji, Abu Dudżana stał się jej rzecznikiem i entuzjastą. W dodatku słuchali go muzułmanie na całym świecie.

Co jeszcze gorsze, poglądy Abu Dudżany zbaczały w stronę coraz większego radykalizmu. Ten tajemniczy dżihadysta przedsięwziął prywatną krucjatę na rzecz rehabilitacji jordańskiego terrorysty Abu Musaba

azZarkawiego, bandyckiego przywódcy Al-Kaidy w Iraku, który sfilmował się w trakcie obcinania głów amerykańskim zakładnikom. Jordańczycy wyszli masowo na ulice w geście potępienia azZarkawiego w 2005 roku, kiedy przeprowadził serię skoordynowanych ataków na hotele w Ammanie[23], zabijając sześćdziesiąt osób, w tym wiele kobiet i dzieci na przyjęciu weselnym. Abu Dudżana natomiast nazwał go „tygrysem", ucieleśnieniem krzepkiej, energicznej wiary, która powinna być celem każdego prawdziwego muzułmanina. Niedawno zaś, wśród potoków żółci wylewanych na Izrael za militarny atak na Gazę 27 grudnia 2008 roku, zaczął napomykać o przejściu do działania. „Kiedy moje słowa poczują smak mojej krwi?" - pytał.

Jako lekarz Humam Al-Balawi pracował równie spokojnie jak do tej pory, za to Abu Dudżana nabierał coraz większego rozpędu na niebezpiecznej drodze, podżegając innych do przemocy i grożąc, że do nich dołączy. W połowie stycznia 2009 roku Ali bin Zeid i jego szefowie podjęli decyzję: Abu Dudżana musi zostać zneutralizowany. To, czy Al-Balawi zginie wraz ze swoim ekstremistycznym awatarem, będzie zależało od niego.

Kwatera główna Muchabaratu wznosi się nad zachodnim Ammanem niczym średniowieczna twierdza, z wysokimi murami z wapiennych bloków, które przez lata uległy wyługowaniu i są dziś poznaczone czerwonawymi zaciekami. Najstarsza część kompleksu była kiedyś jednym z budzących największą grozę więzień na Bliskim Wschodzie, labiryntem cel o kamiennych ścianach, zarezerwowanych dla domniemanych terrorystów i innych wrogów państwa. Nieliczni, którzy odważali się wejść do środka, opowiadali o ciemnych korytarzach, batach skręconych z kabli elektrycznych, wrzaskach i krzykach dobiegających późną nocą z pokoju

przesłuchań. Wśród mieszkańców Ammanu budynek zyskał sobie ponury przydomek - Fabryka Paznokci.

Teraz czasy się zmieniły, przynajmniej z pozoru. Prozachodni i doskonale zorientowany w tym, czego chcą media, król Abdullah II nie lubił, kiedy na jego biurko trafiały raporty organizacji obrony praw człowieka o torturach stosowanych przez służby wywiadowcze jego kraju. Zlikwidował stare więzienie i - w 2005 roku - zwolnił bezlitośnie skutecznego dyrektora Muchabaratu Saada Cheira, człowieka o wytwornych angielskich manierach i mrożącym spojrzeniu grzechotnika.

Jednak mimo swobodnego mówienia o prawach aresztantów i należnych im procesach agencja wywiadowcza nie mogła pozwolić na to, aby postrzegano ją jako „miękką". Jordania, licząca niewiele ponad sześć milionów obywateli, była państwem arabskim o umiarkowanej polityce i sojusznikiem Stanów Zjednoczonych nieskonfliktowanym z Izraelem, co automatycznie czyniło ją celem ataków większości działających w regionie islamistycznych ugrupowań terrorystycznych, jak również Iranu, który wiele z nich finansował. Kraj ten był od dawna punktem przerzutowym irackich gangów przestępczych, irańskich prowokatorów, Hamasu i Hezbollahu. Padł ofiarą wielu zaciekłych ataków ze strony Al-Kaidy, między innymi krwawej łaźni w roku 2005, kiedy z rozkazu azZarkawiego zamachowcy samobójcy wysadzili się w powietrze w trzech hotelach w Ammanie. Jordański terrorysta, który w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku spędził pięć lat w więzieniu Muchabaratu[24], wielokrotnie próbował zemścić się za to zniszczeniem samej agencji wywiadowczej. W 2004 roku Muchabarat ledwo zapobiegł atakowi na swoją siedzibę, kiedy azZarkawi wyładował kilka ciężarówek taką ilością materiałów wybuchowych i trującego gazu, która wystarczyłaby do wymordowania kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Ostatecznie to informator

Muchabaratu, żołnierz azZarkawiego przebywający w jordańskim areszcie, zdradził położenie kryjówki szefa w pobliżu miasta Bakuba w Iraku. 7 czerwca 2006 roku para amerykańskich myśliwców odrzutowych zrzuciła na budynek dwie dwustudwudziestopięciokilogramowe bomby, zabijając azZarkawiego, jego żonę, dziecko i cztery inne osoby.

Nie wiadomo, co Humam Al-Balawi wiedział o Muchabaracie i jego reputacji. Jednak gdzieś w drodze między jego domem a siedzibą agencji wywiadu Abu Dudżana wraz z jego pogróżkami całkiem się ulotnił. Al-Balawi, skuty w kajdanki, siedział wciśnięty między dwóch agentów wywiadu. Jeden wyciągnął rękę i nasunął mu na twarz płócienny kaptur, ściągając go sznurkiem.

Śmierdzący wór nie tylko go oślepił, ale też utrudniał mu oddychanie. Metalowe kajdanki wpijały mu się w nadgarstki i zmuszały do wychylania się do przodu na siedzeniu.

Wasze kajdanki będą niczym srebrne bransolety.

Konwój sunął prawie opustoszałymi ulicami, mijając meczet, do którego Al-Balawi uczęszczał od dzieciństwa, opustoszały bazar i szkołę podstawową z betonowym boiskiem. Ostrożnie wyjechał na nowoczesną autostradę prowadzącą do centrum Ammanu, śmigając obok centrów handlowych i lśniących hoteli z barami oświetlonymi o tej porze neonami, a także drogich klubów fitness, gdzie ponoć mężczyźni i kobiety ćwiczyli razem, płacąc za możliwość pocenia się w klimatyzowanych pomieszczeniach, w bokserkach, sportowych biustonoszach i obcisłych podkoszulkach.

Kawalkada skręciła na północ w nową część miasta znaną jako Wadi asSeer, dzielnicę szerokich alej oraz masywnych wapiennych budynków strzeżonych przez wojsko, ale pozbawionych jakichkolwiek znaków umożliwiających identyfikację ich mieszkańców. Al-Balawi poczuł, jak

samochód zatrzymuje się dwa razy przy punktach kontrolnych. Już za moment byli za bramą. Pojazd przemierzył szereg połączonych ze sobą placyków i zatrzymał się przed dużym kamiennym budynkiem mieszczącym kwaterę główną „Rycerzy Prawdy” - elitarnego wydziału antyterrorystycznego Muchabaratu. Zakapturzony Al-Balawi nie widział imponujących portretów dwóch ostatnich jordańskich królów ani czarnej flagi służb wywiadowczych z wypisaną po arabsku dewizą: „Nadeszła sprawiedliwość”.

ROZDZIAŁ 4
UPOKORZENIE

Amman, Jordania - 20 stycznia 2009

Kto to jest Abu Dudżana al-Chorasani? Al-Balawi był półprzytomny, ale usłyszał pytanie i właśnie układał odpowiedź, gdy nagle poczuł pieczenie i w jednej chwili otrzeźwiał. Dostał siarczysty policzek. Nie miał już kaptura na głowie. Znajdował się w małej celi o solidnych białych ścianach[25]. Siedział na drewnianym stołku, głównym elemencie wystroju pomieszczenia, obok zniszczonego biurka, jarzeniówki i metalowego kołka, do którego miał przykute nogi. Stało przy nim dwóch mężczyzn, jeden z lewej, drugi z prawej strony - jeden właśnie cofnął rękę, jakby biorąc rozmach przed kolejnym uderzeniem.

Kto to jest Abu Dudżana?

Już wiecie, że to ja, odpowiedział Al-Balawi ze znużeniem. Było dopiero przedpołudnie, a on miał za sobą już cztery tury przesłuchań. Śledczy chcieli szybko doprowadzić go na skraj wyczerpania, i udawało się im to. Godzina w pokoju przesłuchań, potem dwie godziny w celi, następnie z powrotem pod światło z nowymi przesłuchującymi. Próbował spać między jedną sesją a drugą, ale gdy tylko zamykały mu się oczy, strażnicy wracali, głośno przeklinając i łomocząc w drzwi. Po chwili znajdował się znowu w pokoju przesłuchań, a pytania opadały go jak roje much.

Kto stoi za stroną internetową Al-Hesbah? Kim są inni autorzy? Gdzie mieszkają? Kto jest twoim łącznikiem?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, ludzie Muchabaratu skierowali uwagę na życie osobiste Al-Balawiego, historię jego rodziny, na jego braci, tureckich teściów, szkolne lata spędzone za granicą. Zadawali ponownie te same pytania, nieco zmieniali formę, po czym pytali o to samo jeszcze raz. Niekiedy w pytaniach ukryte były zawoalowane groźby, przypomnienia, że Muchabarat może istotnie wpłynąć na życie Al-Balawiego.

Gdzie zdobyłeś prawo wykonywania zawodu lekarza? Jesteś pewien, że jeszcze je masz?

Twój ojciec nie jest Jordańczykiem, zgadza się? Jego papiery na pewno są aktualne?

A twoja turecka żona? Twoje dzieci też są Turkami, prawda?

Al-Balawi dobrze wiedział, że groźby są realne. Jego ojciec był jednym z ponad miliona Palestyńczyków, którym Jordania niechętnie udzielała schronienia od pierwszej wojny arabsko-izraelskiej w 1948 roku, kiedy stali się uchodźcami. Dla nie obywatela przekroczenie którejkolwiek z dziesiątek niewidzialnych granic mogło oznaczać utratę prawa do jordańskiego paszportu albo dokumentów poświadczających prawo stałego pobytu. Pozwolenia na pracę, w tym licencje zawodowe, mogły zostać cofnięte z powodu zwykłych podejrzeń. Komunikat był jasny: współpracuj albo stracisz wszystko.

Al-Balawi rozpoznawał już swoich śledczych. Szefem wydziału, nazywanym przez innych aresztantów „Czerwonym Diabłem”, był Ali Burdżak, wyższy oficer o tureckich korzeniach, jeden z budzących największą grozę ludzi w Jordanii. Ciężki i niski, o rudawych, krótko ostrzyżonych włosach, słynął z tego, że złamał niektórych z najbardziej zatwardziałych przestępców i terrorystów w kraju, poza tym wdawał się w

konflikty z dziennikarzami, działaczami opozycji i z innymi osobami, które weszły w kolizję z prawem. Szerzyła się pogłoska, że czerpał wyjątkową przyjemność z upokarzania swoich więźniów, niekiedy zmuszając ich do przyznawania się niepotrzebnie do kazirodztwa czy innych przestępstw o charakterze seksualnym.

Z Burdżakiem pracował niewielki zespół wyspecjalizowanych antyterrorystów z wydziału Rycerzy Prawdy. Byli oni uważani za elitę Muchabaratu, częściowo dlatego, że współpracowali najściślej z zagranicznymi agencjami wywiadowczymi, a także dlatego, że byli to spece od wszystkiego: prowadzenia inwigilacji, przechwytywania sygnału telefonicznego, aresztowań, przesłuchiwania więźniów. Rozkazy wydawał im Burdżak i jego zastępca Habis. Drugim oficerem wyróżniającym się spośród innych był krępy, brązowooki kapitan, który asystował przy aresztowaniu. Sprawiał wrażenie cichszego i mniej dokuczliwego niż niektórzy z pozostałych, a jednak koledzy traktowali go z szacunkiem, który wydawał się zdecydowanie za duży jak na jego stanowisko. Nazywali go Szarif Ali.

Kiedy ludziom z Muchabaratu skończyły się pytania, Al-Balawi został odprowadzony z powrotem do celi, niedawno zbudowanej i czystej, ale malutkiej - mierzącej zaledwie 2,7 na 1,8 metra - i wyposażonej w pryczę, koc, lustro fenickie, metalowy sedes i umywalkę. Ponownie naciągnięto mu na głowę kaptur i zatrzaśnięto metalowe drzwi, zostawiając go w ciemnościach. Doszedł po omacku do pryczy, usiadł i czekał.

Mijały minuty, potem godzina - a może dwie? W tym ciemnym kokonie nie sposób było ocenić.

Zakładanie kaptura było standardową praktyką, sposobem zmiękczenia więźnia przed długim cyklem przesłuchań i okresów odosobnienia. Prawie wszystkim aresztowanym zakłada się kaptur, niekiedy nie zdejmując go

przez kilka dni z rzędu. Nic nie widząc i słysząc tylko stłumione odgłosy przez stalowe drzwi celi, więźniowie szybko tracą orientację i poczucie czasu. Eksperymenty medyczne pokazują, że ochotnicy poddani podobnym formom deprywacji sensorycznej już po piętnastu minutach zaczynają mieć halucynacje, a jej dłuższe okresy wywołują skrajny niepokój, poczucie bezradności oraz depresję. W toku jednego z badań brytyjscy naukowcy odkryli, że ludziom trzymanym w takich warunkach przez czterdzieści osiem godzin można wmówić za pomocą zwykłej sugestii każde dowolne doznanie. Komfortowy, suchy pokój może nagle stać się lodowato zimny, wypełniony wodą albo pełen węży.

Al-Balawi próbował zachować jasność umysłu, recytując modlitwy. Jednak jak przyznał później, dopadał go lęk o to, co go czeka i kiedy to nastąpi. Będzie bity, to na pewno, a niewykluczone, że jeszcze gorzej. Czy jest wystarczająco twardy, żeby to wytrzymać? Czy pęknie i wyda nazwiska łączników? A jeśli zagrożą, że zrobią krzywdę żonie i dziewczynkom? Albo dobiorą się do skóry jego ojcu? Czekał, nasłuchując pilnie jakichkolwiek realnych odgłosów - kroków, brzęczenia kluczy, stukania o ściany pałek strażników przechadzających się po długim korytarzu.

W pewnym momencie przypomniał sobie swój sen[26]. Kilka tygodni wcześniej miał wizję azZarkawiego. Al-Balawi idealizował swojego jordańskiego rodaka i płakał jak dziecko, gdy ów terrorysta zginął w amerykańskim ataku rakietowym w 2006 roku. W jego śnie azZarkawi żył i ku jego zdumieniu - był w odwiedzinach u jego ojca.

„Ty nie umarłeś?” - zapytał go Al-Balawi. Twarz azZarkawiego promieniała w blasku księżyca i widać było, że pracowicie się do czegoś przygotowuje. Al-Balawi domyślał się, że do zamachu bombowego.

„Zabili mnie, ale jestem taki, jakim mnie widzisz, żywy” - odparł azZarkawi.

Niepewny, co powiedzieć komuś, kogo nagrania wideo oglądał bez końca w internecie, Al-Balawi bezradnie szukał właściwych słów. Czy azZarkawi przyjmie jego pomoc? Może powinien użyczyć mu swojego samochodu? Może razem staną się męczennikami?

AzZarkawi nie powiedział nic, a sen raptem się skończył. Al-Balawi obudził się niespokojny, a to dziwne spotkanie prześladowało go jeszcze wiele dni później do tego stopnia, że opowiedział o nim kilku przyjaciołom. Co mogło oznaczać?

Wszyscy zgadzali się co do tego, że to omen. Jeden zasugerował, że wizja była ostrzeżeniem, sygnałem, że lada moment zostanie aresztowany. Ktoś inny stwierdził jednak, że azZarkawi udzielał mu w ten sposób błogosławieństwa. Al-Balawi był bowiem wybrańcem i został powołany przez Boga do specjalnej służby, do spełnienia aktu świętej wojny.

„Będziesz mobilizował ludzi do wstąpienia na ścieżkę Allaha” - przekonywał przyjaciel.

Dobę po aresztowaniu Al-Balawi wykazywał oznaki napięcia po bezsennej nocy. Chrypiał ze zdenerwowania, ale w jego oczach nie było śladów buntu. Ludzie z Muchabaratu po drugiej stronie stołu właśnie zaczynali.

Kto to jest Abu Szadijah? Kto to jest faman Muchaddab?

Tym razem przesłuchiwał go Ali bin Zeid i jakiś młodszy oficer, a przesłuchanie zeszło na temat tożsamości innych blogerów i komentatorów, którzy dzielili z Abu Dudżana wirtualną przestrzeń. Al-Balawi mógł przekonująco obstawać przy swojej niewiedzy. Inni autorzy podobnie jak on używali fałszywych nazwisk i prawie nikt nie wiedział, kim są naprawdę ani gdzie mieszkają. O ile mu było wiadomo, inni blogerzy mogli być agentami amerykańskiego wywiadu. Niektórzy z nich byli nimi prawie na pewno.

Znienacka padło nowe pytanie: Opowiedz nam, jak zamierzałeś stać się męczennikiem.

Młodszy z przesłuchujących wyciągnął z teczki Al-Balawiego kartkę i zaczął czytać na głos. Al-Balawi rozpoznał własne słowa z eseju, który napisał po obejrzeniu serwisu informacyjnego o niedawnych izraelskich nalotach w Gazie. Materiał filmowy ukazywał izraelskie kobiety i dzieci obserwujące z dachu, jak wyprodukowane w Stanach myśliwce F16 bombardowały cele w stolicy Gazy. Kobiety przekazywały sobie lornetkę, gawędząc i śmiejąc się, jakby oglądały mecz polo. Śmiały się! Al-Balawi czuł, jak ogarnia go wstręt, który powoli zwracał się do środka, przepełniając go jednocześnie wściekłością i nienawiścią, wymierzonymi w dużym stopniu w niego samego i jego tchórzostwo.

To było dwa tygodnie temu. Teraz Al-Balawi milczał wyczerpany.

„Kiedy moje słowa napiją się mojej krwi? - kontynuował przesłuchujący, czytając z wydruku. - Czuję, że wyczerpały mi się słowa, a tym, którzy głoszą dżihad, radzę, żeby nie popadli w mój dylemat i nie doświadczali koszmarnej myśli, która stała się moim udziałem, że mogę umrzeć pewnego dnia w swoim łóżku”.

Ali bin Zeid wpatrywał się przez dłuższą chwilę w aresztowanego. Harde słowa, ale to nie azZarkawi.

Bin Zeid miał za sobą pracę z prawdziwymi, najzagorzalszymi terrorystami, tak fanatycznymi bojownikami dżihadu, że cieszyli się na myśl o śmierci i nie łamali się bez względu na to, co rzucił w nich Muchabarat. Z Al-Balawiego uszła para już pierwszego dnia. Jego teksty były najeżone pogróżkami, ale siedzący przed nimi mężczyzna o opadających powiekach był miękki i słaby.

Wyglądał też osobliwie znajomo, jak ktoś, kogo bin Zeid mógł znać z czasów szkolnych. Byli w podobnym wieku. Obaj mieli wyższe

wykształcenie i w przeszłości mieszkali za granicą. Obaj też wywodzili się z grup etnicznych o korzeniach na Półwyspie Arabskim, przyznających się do pokrewieństwa z prorokiem Mahometem. Ich rodziny były obyte w świecie i rozumiały rzeczywistość poza Jordanią. Al-Balawi był żonaty i miał małe córeczki; bin Zeid niedawno wziął ślub i miał nadzieję wkrótce zostać ojcem.

Bin Zeid potrafił nawet zrozumieć - teoretycznie - głębokie resentymenty, które ożywiały wirtualną osobowość Al-Balawiego. Mimo oficjalnej rządowej polityki pokojowego współistnienia z Izraelem bin Zeid często odczuwał ukłucie goryczy, kiedy siedział rano na werandzie swojego domu na grzbiecie pasma wysokich wzgórz, skąd roztaczał się widok na Morze Martwe, i spoglądał na żyzne równiny na północy i zachodzie - ziemie należące kiedyś do Arabów. Prawie wszyscy Jordańczycy byli oburzeni, kiedy izraelskie czołgi pod koniec grudnia wtoczyły się do Gazy, zabijając ponad pięciuset bojowników Hamasu oraz cywilów w odwecie - zdaniem Arabów zupełnie niewspółmiernym - za palestyńskie ataki rakietowe.

Al-Balawi, jak dedukowali bin Zeid i jego koledzy, w pewnym momencie jednak zupełnie się pogubił. Wbrew wszelkiej logice i swojemu własnemu interesowi przyjął napastliwą filozofię, która groziła zaprzepaszczeniem wszystkiego, co osiągnęła Jordania przez pół wieku niepewnego marszu ku nowoczesności. Narażał swoją reputację i własną rodzinę w imię służby fanatykom mieszkającym w jaskiniach oddalonych o trzy tysiące kilometrów.

Nie sposób było odgadnąć, jak coś takiego mogło się przydarzyć tak inteligentnemu, światowemu człowiekowi jak Al-Balawi. Jedno było pewne: Abu Dudżana przestanie istnieć, a życie Al-Balawiego ulegnie radykalnej zmianie. Od tej pory lekarz będzie nierozerwalnie złączony z

Muchabaratem, a to, czy będzie mógł pracować, podróżować, mieć dom albo pieniądze na ubranka dla dzieci, będzie zależało od wspaniałomyślności agencji wywiadowczej i jego dobrego sprawowania. Jeśli Muchabarat będzie czegoś potrzebował - nieważne, jak wielkiej czy małej rzeczy - Al-Balawi nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko się podporządkować.

Człowiek na krześle dla aresztanta jeszcze nie ogarniał tej nowej rzeczywistości, ale to tylko kwestia czasu. Sądząc z jego wyglądu, niezbyt długiego.

Trzeciego dnia po aresztowaniu Humania Al-Balawiego jego ojciec i najstarszy brat pojechali taksówką przez miasto do Wadi asSeer i głównej siedziby Muchabaratu[27]. Jordański żołnierz z karabinkiem szturmowym M4 polecił im zatrzymać samochód kilkanaście metrów od głównej bramy bezpieczeństwa, starzec musiał więc pokonać resztę drogi na piechotę. Jego najstarszy syn został z tyłu. Już od tygodnia było zimno i szaro, a północnowschodni wiatr szarpał białą kefiję Chalila Al-Balawiego, gdy przechodził przez parking do małego budynku, gdzie sprawdzano, czy odwiedzający nie mają przy sobie broni albo materiałów wybuchowych.

Następnie Chalil Al-Balawi przeszedł na stanowisko strażnika, podał swoje nazwisko i poprosił o spotkanie z oficerem Muchabaratu, niejakim pułkownikiem Fawasem, który miał na niego czekać.

„Przyjechałem po syna” - oznajmił.

Wręczono mu numerek na skrawku papieru i zaprowadzono go do poczekalni, niewielkiego pomieszczenia z białymi kafelkami na podłodze i kilkoma krzesłami obitymi skórą. Król Abdullah II, w wojskowym stroju galowym, przystrojony w szarfy i medale, spoglądał z dezaprobatą z wiszącego na ścianie wielkiego portretu.

Całe życie udawało mi się unikać tego miejsca - pomyślał - aż do dzisiaj. Rodzina zdążyła już wydedukować powód aresztowania Humania. Agenci rządowi skonfiskowali sprzęt komputerowy, a Defne opowiedziała im o fascynacji męża czatami internetowymi. Chalil Al-Balawi, który do emerytury pracował jako nauczyciel literatury arabskiej i religii, słabo orientował się w tych sprawach. Dowiedział się jednak od Muchabaratu, że syn współpracuje i w czwartek, przed muzułmańskim weekendem, będzie gotów do wyjścia z aresztu.

Staruszek tak się denerwował, że prawie nie spał w nocy. W poczekalni miał gonitwę myśli i wspominał Humama w dzieciństwie: niesłychanie bystry, uparty, pełen nienasyconej ciekawości i - z całej dziesiątki jego dzieci - najbardziej podobny do ojca.

Tatusiu, a dlaczego Bóg stworzył ludzi?

Po to, Humamie, aby wielbili swego Stwórcę.

[Cisza]

Tatusiu, a po co Bóg stworzył mrówki?

Zegar odmierzył godzinę, a potem dwie. Wywoływano inne numerki, aż wreszcie poczekalnia prawie opustoszała. Zaniepokojony, że wydarzyło się coś złego, Chalil Al-Balawi powlókł się z powrotem na stanowisko strażnika i - stary człowiek podupadający na zdrowiu - poprosił uprzejmie dobrodusznego sługę Jego Wysokości o informacje. Wykonano telefon i sprawa się wyjaśniła.

„Przykro nam, ja ammo Balawi, ale waszego syna już tu nie ma” - odpowiedział główny oficer.

„A gdzie jest?”

„W domu, oczywiście - brzmiała odpowiedź. - Odwieźli go godzinę temu”.

Chalil Al-Balawi niebawem gnał przez Amman tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to popołudniowy ruch uliczny, jednocześnie omawiając z Muhammadem listę możliwych wytłumaczeń tak nagłej zmiany. Czy Humam był ranny? A może został okaleczony? Odkąd to Muchabarat wyświadczał swoim aresztowanym przysługi i odwoził ich pod sam dom?

Gdy wyjechali z centrum Ammanu w biedniejsze dzielnice miasta, staruszek pogrążył się w ponurych rozmyślaniach. Na rodzinie Balawich ciążyło jakieś fatum. Historia się powtarzała.

Życie Chalila Al-Balawiego zaczęło się nieszczęśliwie - urodził się w burzliwym 1943 roku we wsi niedaleko Bi’ir Sziby, na terenach stanowiących dziś część południowego Izraela. Zanim skończył pięć lat, jego rodzina była świadkiem masakr, mordów odwetowych, a wreszcie wojny, która podzieliła Palestynę na dwa kraje i wygnała dziesiątki tysięcy Arabów, w tym Balawich, z ich rodzinnych stron. Mała działka, na której bawił się jako chłopiec, zamieniła się teraz w pole bawełny, własność żydowskiego konsorcjum, gdzie rodzina Balawich już nigdy nie będzie mieć wstępu.

Jego ojciec, robotnik, ostatecznie osiadł w Jordanii, a rodzina, zwłaszcza Chalil, zdolny student, którego wysokie oceny i dyplom ukończenia studiów były dumą klanu Balawich, cieszyła się dobrobytem. Ponieważ jednak w Jordanii trudno było znaleźć pracę, Chalil przeprowadził się ze swoją młodą żoną do Kuwejtu, gdzie przyjął ofertę pracy nauczycielskiej. Awansował na stanowisko szefa wydziału i cieszył się życiem w bezpiecznym, stabilnym Kuwejcie, z jego umiarkowaną polityką i kwitnącą, zasilaną ropą gospodarką. Wkrótce jednak, w sierpniu 1990 roku, do miasta Kuwejt wjechały czołgi Gwardii Republikańskiej Saddama Husajna, rozpoczynając pół roku okupacji wojskowej, grabieży i wojny. Po pokonaniu Iraku przez koalicję dowodzoną przez Amerykanów

w 1991, Kuwejtczycy niezwłocznie wydalili z kraju ponad trzysta tysięcy mieszkających tam Jordańczyków, uzasadniając to poparciem udzielonym podczas konfliktu przez ich rząd Irakowi. Chalilowi udało się ocalić kilka rodzinnych skarbów, ale w czasie od okupacji do wysiedlenia stracił wszystko inne.

Po powrocie do Jordanii ciułał, żeby jego dzieci mogły skończyć studia, i czekał na spokojniejsze życie w otoczeniu zadowolonych, zamożnych dzieci i wnuków. Jednak nawet pół wieku nieszczęść i zawirowań nie mogło się równać z bólem, który czuł teraz głęboko w piersi.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku na ulicy Urwa bin al-Ward, Chalil Al-Balawi wysiadł z niego szybko i wszedł do domu przed swoim najstarszym synem. W pokoju dziennym, na sofie otoczonej stosami książek staruszka, siedział Humam.

Salem alejkum, Humam - pozdrowił go ojciec. - Pokój z tobą.

Humam milczał. Nie mógł się zdobyć na to, żeby spojrzeć ojcu w oczy.

Siedzieli w milczeniu. Humam odezwał się w końcu.

„Zwróciłem honor naszej rodzinie, tato” - oznajmił, nadal nie podnosząc głowy.

„Nie musiałeś tego robić - odparł starzec. - Nasza rodzina nigdy nie straciła honoru”.

Minęły całe dnie, zanim Humam powiedział coś znowu do swoich bliskich. Jego ojciec sądził, że w końcu się otworzy i opowie, co się stało, więc nie próbował ciągnąć go za język. Minęło pięć dni, potem tydzień. Wreszcie, kiedy któregoś dnia znaleźli się ponownie sami w pokoju, Chalil Al-Balawi nie wytrzymał.

„Bili cię?” - zapytał cicho.

Humam nareszcie podniósł głowę i spojrzał ojcu w oczy. Miał rozpalone policzki i gdy się wreszcie odezwał, z jego ust wydobył się

ledwie słyszalny syk.

„Nie - odparł. - Ale mnie upokorzyli”.

ROZDZIAŁ 5
INFORMATOR

Amman, Jordania - 8 lutego 2009

Ali bin Zeid wcisnął swoje wielkie ciało w biurowy fotel i z grymasem niezadowolenia spojrzał na ekran komputera. Ciągle widniał na nim plik z niedokończonym tekstem, już oznaczonym jako „tajny”, lecz wciąż oczekującym na wnioski, których chętnie by dostarczył, gdyby tylko wiedział, jak mają wyglądać. Raport był opatrzony arabskimi tytułami: „Charakterystyka” oraz „Humam Chalil Al-Balawi”, i miał absolutnie rutynowy charakter[28]. Z wyjątkiem ostatniej części - zakończenia.

Jaki jest przewidywany potencjał przedmiotu badania? Nie lada pytanie.

Bin Zeid był zmęczony - nienormowany czas pracy w Muchabaracie i stres związany z tak wieloma trudnymi przypadkami, między innymi tym, dawały mu się we znaki. Irytowało go, że rzadko miewał czas na porządny posiłek z żoną, nie mówiąc już o podróży poślubnej, którą obiecywał jej od ponad roku. Późnozimowe słońce wisiało nisko na niebie, na tyle nisko, że jego biuro na trzecim piętrze było skąpane w złocistym blasku, który zamieniał tekst na monitorze w rozmazaną plamę i powodował zaduch w pomieszczeniu. Bin Zeid odwrócił się plecami do ekranu, jeszcze raz wziął do ręki teczkę Al-Balawiego i zaczął czytać.

Humam Al-Balawi wreszcie zaczął mówić.

W trzecim dniu spędzonym w imadle Muchabaratu i po kilku potajemnych spotkaniach lekarz podał nazwiska osób związanych z Al-Hesbah i innymi stronami internetowymi propagującymi dżihad. Przekazał to, co wiedział o siatkach blogerów w służbie świętej wojny oraz ich finansowaniu. Mówił tak chętnie, że zdjęto mu łańcuchy i kajdanki, a przesłuchania przerodziły się w luźne rozmowy. Potem siedział w ciszy, z rumieńcami na twarzy, z głową ukrytą w dłoniach, ogarnięty niewypowiedzianymi emocjami.

Al-Balawi przysięgał przed przesłuchującymi, że w głębi serca jest przeciwny terroryzmowi we wszelkich jego przejawach. To twierdzenie wydawało się stać w jaskrawej sprzeczności z jego postami na blogu wychwalającymi takich osławionych rzeźników jak Abu Musab azZarkawi.

„To prawda, że lubię wyrażać uczucia na piśmie - przyznał w którymś momencie. - Ale jestem przeciwny przemocy, akcjom militarnym również. Nasza religia zakazuje terroryzmu”. Al-Balawi przebiegł wzrokiem po otaczających go sceptycznych twarzach. Me jestem taki - zapewniał. Błogi, fałszywa osobowość, wołanie o krew - nic z tego nie było prawdziwe.

To tylko hobby, zarzekał się.

Po jego uwolnieniu ludzie Muchabaratu przystąpili do sprawdzania wiarygodności podanych przez niego informacji. Zintensyfikowali też obserwację samego Al-Balawiego - podsłuchiwali jego rozmowy telefoniczne, śledzili każdy ruch, szukali poza Jordanią dowodów powiązań z organizacjami terrorystycznymi z zagranicy. Agencja powierzyła kierowanie sprawą Al-Balawiego kapitanowi Ali bin Zeidowi i przekazała najistotniejsze informacje CIA, która współprowadziła z Jordańczykami centrum antyterrorystyczne w budynku na przedmieściach Ammanu. Amerykańska agencja wywiadowcza chciała sprawdzić w swojej bazie danych nazwiska podane przez Al-Balawiego.

Im głębiej docierali oficerowie wywiadu, tym mroczniejsze i niebezpieczniejsze wydawało się sekretne życie Al-Balawiego. Odkryli na przykład, że pomimo zapewnień, iż nie popiera przemocy, przynajmniej dwa razy próbował przyłączyć się do kierowanego przez azZarkawiego sunnickiego powstania w Iraku. Nie wiadomo, dlaczego ostatecznie tego nie zrobił. Może opuściła go odwaga, a może poczuł się winny, że osieroci swoje dzieci; być może musiał przyznać się przed samym sobą, że marny z niego kandydat do wojny partyzanckiej, bo brak mu zarówno siły fizycznej, jak i przeszkolenia militarnego. W ramach planu B prowadził wśród przyjaciół i krewnych zbiórki pieniędzy na rzecz rebeliantów i zanim dał sobie z tym spokój, zebrał niewiele ponad tysiąc czterysta dolarów. Po izraelskiej inwazji na Strefę Gazy w 2008 roku usiłował zgłosić się na ochotnika do Hamasu jako lekarz, aby opiekować się rannymi Palestyńczykami.

Jak ustalono, Al-Balawi romansował też - a może i robił coś więcej - ze znaną organizacją terrorystyczną w Turcji[29]. Podczas studiów w Stambule uczęszczał na zebrania Islami Biiyiikdogu Akincilar Cephesi (IBDAC) - Islamskiego Frontu Bojowników o Wielki Wschód, ugrupowania przyznającego się do pokrewieństwa z Al-Kaidą i opowiadającego się za obaleniem świeckich rządów na Bliskim Wschodzie, od Ankary przez Amman po Kair. Turecka policja przypisuje IBDAC kilka spektakularnych ataków terrorystycznych, między innymi zamachy bombowe na dwie synagogi w Stambule w 2003 roku, w których zginęły dwadzieścia cztery osoby.

Jak ujawniły tureckie źródła, Al-Balawi najwyraźniej dzielił zainteresowanie tym ugrupowaniem z kobietą, która została później jego żoną. Humam i Defne Bayrak poznali się w 2001 roku na internetowym czacie dla młodych muzułmanów. Kiedy zaczęli się spotykać, zaczęli też

nawiązywać kontakty z innymi parami na imprezach towarzyskich, które były w gruncie rzeczy spotkaniami rekrutacyjnymi IBDAC: prowadzono na nich wykłady w niewielkich grupach, a także zbiórki pieniędzy dla palestyńskich bojowników.

Defne, wysoka, smukła dziewczyna o porcelanowobiałej twarzy, podziwiała inteligencję Humama, ale jak sama wyznała, tak naprawdę zakochała się w nim ze względu na jego konserwatywne poglądy polityczne. Mieszkała w domu rodziców w Stambule, pracowała jako dziennikarka i doskonaliła swoją znajomość arabskiego, gdy raptem w jej życiu pojawił się student medycyny z Jordanii. Trzy miesiące później planowali wesele.

„Polubiłam jego osobowość, pobożność, surowe przestrzeganie nakazów religii" - powiedziała później[30].

W czasie narzeczeństwa oboje zaczęli się zmieniać. Żadne z nich nie miało przedtem opinii dewoty. Defne nosiła chustę w miejscach publicznych, ale tak przecież robi większość dorosłych kobiet w Turcji. Humam nauczył się w dzieciństwie dużych fragmentów Koranu, ale często opuszczał piątkowe nabożeństwa w meczecie, a swoją ojczystą Jordanię określał pogardliwie jako „ten islamistyczny kraj". Jednak jako para oboje przyjęli polityczne kredo, które zyskiwało na popularności wśród wykształconej tureckiej elity - jego głównym założeniem była zaciekła nienawiść do niemuzułmańskiego Zachodu. Wyrastająca z tych samych, wieloletnich resentymentów wyrażanych przez miliony muzułmanów, lecz charakterystyczna dla uprzywilejowanych młodych ludzi, którzy dorastali w epoce Al-Kaidy, ta odmiana wiary dopatrywała się w atakach z 11 września 2001 roku spisków CIA i izraelskiego wywiadu[31]. Jej zwolennicy widzieli w inwazjach i okupacji Iraku, Strefy Gazy i

Afganistanu część zachodniej strategii zmierzającej do zniszczenia i skorumpowania islamu, zagrabienia bogactw naturalnych oraz mordowania tysięcy niewinnych.

Nowa pasja Humama i Defne brała się po części z ich osobistej i rodzinnej historii: Humam był synem palestyńskich uchodźców i leczył dzieci uchodźców; Defne tłumaczyła dla konserwatywnych tureckich gazet arabskie materiały dziennikarskie dotyczące walk w Iraku i Afganistanie. Defne, która - jak mówią jej przyjaciele - była bardziej wojownicza z tej dwójki, przetłumaczyła też kilka pochwalnych książek o Osamie Bin Ladenie i byłym irackim przywódcy Saddamie Husajnie. Pierwsza z nich nosiła tytuł „Osama Bin Laden, wschodni Che Guevara".

Każde znalazło jednak w drugim partnera, którego poglądy polityczne wzmacniały i wspierały jego własne. Później, kiedy urodziły się im dzieci, nawet wybór imion dla nich stał się sposobem na wyrażenie swoich przekonań.

Starszej córce dali na imię Leila[32], na cześć Leili Chaled, Palestynki, która w 1969 roku porwała pasażerski odrzutowiec TWA i siedziała w brytyjskim więzieniu. Młodsza dostała imię po urodzonej w Szwecji palestyńskiej reżyserce Linie Makboul. Jej najbardziej znanym filmem jest dokument pod tytułem: Leila Chaled - terrorystka.

Bin Zeid zrobił coś, co robił często, kiedy potrzebował się namyślić. Ze swojego stanowiska na fotelu pilota Boeinga 737 sprawdził klapy i ostrożnie przesunął dźwignię gazu do przodu. Linie pasa startowego zaczęły zbliżać się coraz szybciej. Szarpnął za drążek sterowy i dziób odrzutowca z rykiem skierował się ku niebu, zostawiając w dole drzewa i wzgórza i wznosząc się w bezkresny błękit.

Agent zdjął słuchawki i odchylił się do tyłu w fotelu, zapatrzony w ekran komputera. Fizycznie znajdował się ciągle w Jordanii, w

wybudowanym przez siebie domu nad Morzem Martwym. Zainstalował sobie w komputerze symulator lotów, który pozwalał mu poczuć się jak w prawdziwym kokpicie - miał przed sobą panel kontrolny i pedały, ściągnął nawet z internetu realistyczne odgłosy silnika modelu pilotowanego przez siebie samolotu. Ustawiał kurs na jakieś odległe miasto, po czym - gdy podwozie było schowane - siedział w milczeniu przez godzinę albo i dłużej, a samolot sunął nad pustymi morzami. Jego hobby wprawiało w zdumienie niektórych jego bliskich, ale bin Zeid twierdził, że wirtualne latanie działa na niego terapeutycznie.

Pomaga mi myśleć - tłumaczył.

W tym tkwi twój problem - brzmiała najczęstsza odpowiedź. Za dużo myślisz. Pracując nad skomplikowaną zagadką, potrzebował jednak realnej przestrzeni. Jeśli miał dzień dla siebie, wymykał się na pustynię swoim land roverem z dwoma psami albo ruszał na południe na Morze Czerwone z żoną Fidą, żeby zarzucić kotwicę swojej łodzi w jakiejś odosobnionej zatoczce, z dala od ludzi. Na zdjęciach zdawał się zawsze w tym samym miejscu: sam, na plażowym leżaku w szortach i miękkim kapeluszu w kolorach maskujących, ze wzrokiem utkwionym w jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie.

Zakochał się w Ameryce jako kraju bezkresnych horyzontów. W długie weekendy w Emerson College wyruszał w trasę samochodem, czasem sam, kiedy indziej z bratem Hassanem, który studiował na Uniwersytecie Bostońskim po drugiej stronie miasta. Gdy miał mało czasu, jeździł na Cape Cod, żeby włóczyć się po plażach albo siedzieć na tańszych trybunach w Fenway Park, zgłębiać tajniki amerykańskiego bejsbolu i delektować się parówkami. W czasie dłuższych przerw od nauki jeździł sam do zasypanego śniegiem Montrealu albo odkrywał ustronne jeziorka schowane wśród wirgińskich wzgórz Błękitnego Pasma.

Potrzeba wędrowania była jedną z wielu cech, które go wyróżniały i czyniły swego rodzaju ewenementem w jordańskim wywiadzie. Znajomi z CIA żartowali, że pracowity, żyjący zwyczajnie bin Zeid był „najmniej królewski z rodziny królewskiej". Mimo to niektórzy z jordańskich kolegów mieli trudności z zobaczeniem w nim kogoś więcej niż tylko osoby związanej z monarchią, hołdującej zdecydowanie zachodniemu stylowi życia. Jego przełożeni martwili się, że rodzinne koneksje w końcu wywindują go na sam szczyt, spychając na bok weteranów i zapewniając rodzinie królewskiej jeszcze ściślejszą kontrolę nad wywiadem. Inni oficerowie podziwiali jego energię, ale też byli boleśnie świadomi przepaści, jaka dzieliła jego życie od ich życia. Nie chodziło wyłącznie o pieniądze i przywileje, chociaż wszyscy wiedzieli o bostońskiej edukacji bin Zeida i należącym do niego i jego braci małym rybackim jachcie zacumowanym w Zatoce Akaba. Chodziło też o wyraźny dystans bin Zeida do konwencji rządzących wyborami życiowymi większości jordańskich mężczyzn w jego wieku. Choć sam był muzułmaninem, ożenił się z kobietą z malutkiej chrześcijańskiej mniejszości w Jordanii, ciemnowłosą pięknością Fidą Dawani. W kulturze, która uznaje psy za nieczyste, bin Zeid nie krył przywiązania do Jackie, suki owczarka niemieckiego, którą kupił jako szczeniaka, ani jej kudłatego potomka Huskiego. Obydwa psy jeździły po Ammanie w dżipie bin Zeida niczym para owczarków na ranczu w Wyoming.

Bin Zeid zbywał wzruszeniem ramion komentarze na temat swoich zwierząt, ale brało go obrzydzenie, kiedy ludzie traktowali go inaczej z powodu jego królewskiego pochodzenia. Chociaż koledzy uparcie zwracali się do niego per Szarif Ali, on sam przedstawiał się w pracy jako Kapitan, a sklepikarzom z sąsiedztwa po prostu jako Ali. Lokalny spec od komputerów polubił tego sympatycznego młodego człowieka, który zostawał dłużej w

serwisie, żeby obgadać najświeższe wiadomości, a czasem przynosił pizzę i dzielił się nią z pracownikami. Minęły lata, zanim się dowiedział, że bezpretensjonalny Ali w dżinsach to jednocześnie oficer Muchabaratu i kuzyn króla.

Jednak w pracy bin Zeid nie próżnował. Jako mały chłopiec napisał w szkolnej rozprawce, że planuje poświęcić się służbie krajowi, ponieważ to „bardzo ważne, aby człowiek był gotów umrzeć za swoją ojczyznę". Podjął pracę w Muchabaracie zaraz po studiach i poświęcał się jej bez reszty. Został wdrożony w niektóre z największych dochodzeń agencji, między innymi w sprawę samobójczych zamachów bombowych dokonanych w Ammanie w 2005 roku z rozkazu azZarkawiego. Poza tym w coraz większym stopniu stawał się niezastąpionym łącznikiem między wywiadem jordańskim a CIA. Obie agencje współpracowały ściśle już od lat sześćdziesiątych XX wieku, a w 2001 roku sporą część budżetu Muchabaratu pokrywał jego forsiasty amerykański partner. Z perspektywy Amerykanów była to inteligentna inwestycja: jordańska agencja była wiarygodną partnerką, a jej agentów uznawano za jednych z najlepszych na świecie.

Bin Zeid zajmował w tych wyjątkowych relacjach jedyne w swoim rodzaju miejsce. Rozumiał Amerykanów i ich język lepiej niż ktokolwiek inny w Muchabaracie, a amerykańska agencja rutynowo prosiła o niego, gdy tylko oba kraje prowadziły wspólne dochodzenia. Kiedy agencje spierały się co do strategii, bin Zeidowi przypadała rola mediatora oraz pomostu.

Sprawa Al-Balawiego była tego doskonałym przykładem. Dwa tygodnie po aresztowaniu Muchabarat wciąż jeszcze nie rozszyfrował Humama Al-Balawiego. Owszem, zatrzymany podał nazwiska dżihadystowskich autorów, ale jego zeznania po dokładniejszym zbadaniu przedstawiały się

mniej imponująco. Autorzy ci byli albo pomniejszymi graczami, albo prominentnymi figurami, których tożsamości od dawna znano. Al-Balawi od zwolnienia zachował czyste konto i przestał publikować w internecie - zresztą nie miał wyboru - lecz bin Zeid nie znajdował twardych dowodów na to, że zmienił poglądy albo że można mu było zaufać.

Mimo to CIA i urzędnicy wyższego szczebla w Muchabaracie przejawiali coraz większe zainteresowanie doktorem. Abu Dudżana al-Chorasaani wyrastał na lidera opinii w świecie radykalnego islamu, a teraz człowiek, który stworzył tę postać, był zależny od Muchabaratu. Ileż mógłby osiągnąć, gdyby pracował dla nich!

Jordania zatrudniała już tysiące informatorów, którzy dzielili się na dwie grupy: mało znaczący donosiciele o wątpliwej wiarygodności oraz elitarni, świetnie wyszkoleni podwójni agenci, którzy kreowali swoją tożsamość na użytek publiczny przez lata. Al-Balawi nie należał do jednych ani drugich, ale z pewnością znalazłaby się dla niego jakaś rola. Bin Zeid miał za zadanie ocenić jaka. Aby tego dokonać, musiał zamienić się w nowego najlepszego przyjaciela Al-Balawiego.

Sprawy komplikowało dodatkowo ciśnienie z góry. Indoktrynacja informatora wymaga czasu, a czas stał się nagle towarem deficytowym. W Waszyngtonie świeżo zaprzysiężona administracja Obamy już na wstępie obiecała nakreślić od nowa priorytety kraju w walce z terroryzmem[33], na początek podejmując zobowiązanie, że będzie niestrudzenie dążyć do schwytania Osamy Bin Ladena i jego zastępcy Ajmana az-Zawahiriego. CIA naprędce szukała dziesiątek nowych informatorów i agentów, których mogłaby rozmieścić na Środkowym Wschodzie i na całym świecie. W Jordanii oficerom Muchabaratu zlecano pisanie charakterystyk nowych obiecujących kontaktów i ich potencjalnej użyteczności.

Zasiadając do pisania takiej oceny Al-Balawiego, bin Zeid zwierzył się kolegom ze swoich obaw, że rozbudzanie nadmiernych oczekiwań może doprowadzić do rozczarowań i błędów.

Pewnego wieczoru, po pracy, bin Zeid odłożył sprawę, żeby obejrzeć u przyjaciela film na DVD. Wybrali W sieci kłamstw, hollywoodzki thriller szpiegowski z Russellem Crowe'em i Leonardem DiCaprio. Film, którego akcja rozgrywa się głównie w Jordanii po atakach 11 września 2001, opowiada o amoralnym funkcjonariuszu CIA - granym przez Crowea - którego błędy w ocenie sytuacji wielokrotnie narażają życie podwładnych, a także Arabów, nieraz obrywających z obu stron. Oglądając film, bin Zeid wydawał się zahipnotyzowany sposobem, w jaki sportretowano amerykańskich i jordańskich agentów walczących z bliskowschodnimi terrorystami, a czasem ze sobą nawzajem.

Po zakończeniu seansu przyjaciel zapytał bin Zeida o wrażenia. Obaj śmiali się z przekombinowanych zwrotów akcji, jednak po chwili bin Zeid spoważniał.

„Wiesz, co było w nim autentyczne? - zwrócił się do przyjaciela. - Sposób, w jaki ukazano Amerykanów jako tych, co zawsze strasznie się spieszą, chcą, żeby wszystko działo się już".

Koniec lutego przyniósł najostrzejszy ziąb, jaki Amman widział od lat. Temperatury całymi dniami utrzymywały się w okolicach zera, wskutek rzadko widywanych tam obfitych opadów śniegu pozamykano szkoły, a zwykle pełnymi pyłu chodnikami brnęły postacie przypominające bałwanki. Humam Al-Balawi podczas tego nagłego ochłodzenia przebywał głównie poza domem, ale pewnego popołudnia wrócił z wizyt lekarskich z zaskakującą nowiną: sprzedał samochód.

Rodzice i bracia patrzyli na niego w osłupieniu. Solidny mały ford Humama był jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadał. Był również

jego jedynym środkiem transportu do odległej przychodni Marka.

„Dlaczego to zrobiłeś?” - wykrztusił w końcu ojciec.

Humam wzruszył ramionami. „Jego utrzymanie jest czasochłonne - odparł. - Nie chciało mi się już nim zajmować”.

Ostatnio Humam sprawiał wrażenie przemęczonego. Prawie się nie odzywał, a po powrocie do domu wysiadywał przed komputerem - Muchabarat łaskawie mu go zwrócił - albo spędzał czas zatopiony w rozmyślaniach. Znikał na całe godziny, tłumacząc wymijająco, że idzie do meczetu albo spotkać się ze znajomymi.

Jego pacjenci w przychodni zauważyli nowe, workowate ubrania i ziemistą cerę i niepokoili się o niego. Jedną z osób, które zwróciły mu na to uwagę, była Hannan Omar, czterdziestodwuletnia matka czwórki dzieci, która sprzedawała przekąski z wózka w holu przychodni. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy Hannan nagle spadło ciśnienie, Al-Balawi nudził ją całymi tygodniami, żeby nie zapominała zażywać lekarstw.

„Schudł pan! - powiedziała do niego karcąco, kiedy przyszedł do pracy któregoś ranka. - Jest pan chory?”

Doktor uśmiechnął się słabo i odpowiedział, że to przez cukrzycę. Widziała go wtedy po raz ostatni; później dowiedziała się, że Al-Balawi zrezygnował z pracy w przychodni.

Stopniowo żegnał się ze swoim dotychczasowym życiem[34]. W pewnym sensie dawny Al-Balawi odszedł już jakiś czas temu.

Defne Bayrak próbowała zrozumieć, co się dzieje z mężem, ale docierały do niej tylko strzępy informacji. Po trzech dniach w więzieniu Muchabaratu zmienił się prawie nie do poznania: stał się nerwowy, ponury, roztargniony. Nigdy przedtem nie modlił się na widoku, a teraz robił to bez przerwy, prosząc Boga przy każdej najmniejszej decyzji, aby wskazał mu drogę. Siedział w mieszkaniu nad otwartym Koranem przez kilka bitych

godzin, a kiedy hałaśliwe zabawy dziewczynek zaczynały mu przeszkadzać, uciekał - czasami dosłownie - do położonego w sąsiedztwie meczetu, aby skorzystać z ciszy sali modlitewnej.

Raz na jakiś czas uchylał przed żoną rąbka tajemnicy. Defne zdołała wydobyć kilka szczegółów dotyczących aresztowania, gdy Al-Balawi opisywał brak snu i to, jak naciskano na niego, aby ujawnił prawdziwe nazwiska znanych autorów. Me podałem żadnych nazwisk - skłamał. Powtórzył jej to, co powiedział ojcu: że Muchabarat nie stosował na nim tortur, ale próbował go zhańbić. Nie chciał zdradzić, w jaki sposób.

Opowiedział też o swoim nowym opiekunie, oficerze wywiadu o imieniu Ali, bliskim krewnym króla. Zwierzył się Defne, że od wyjścia z aresztu zaczął się z nim spotykać na przyjacielskie pogawędki, najpierw przy herbacie, później na coraz dłuższe posiedzenia. Al-Balawi właściwie nie miał wyboru, musiał zgadzać się na te spotkania przy kawie z bin Zeidem. Z czasem to, co mówił oficer, coraz bardziej go frapowało.

Spotykali się w umówionym miejscu, skąd bin Zeid zabierał Al-Balawiego swoim szaroniebieskim land roverem. Jeśli była akurat pora obiadu, agent wybierał restaurację i płacił rachunek, nieraz opiewający na siedemdziesiąt pięć dolarów albo i więcej - kosmiczne sumy w porównaniu z cenami szoarm i kebabów w dzielnicy Al-Balawiego. Pewnego razu bin Zeid poprosił, żeby doktor dotrzymał mu towarzystwa w czasie załatwiania sprawunków i obaj przez pół godziny krążyli po olbrzymim, wzorowanym na zachodnich supermarkecie Safeway w Ammanie, z oszałamiającym wyborem świeżych i importowanych produktów oraz małym pomieszczeniem, gdzie klienci mogli dyskretnie nabyć wino i whiskey. Po odejściu od kasy bin Zeid wsadził pod pachę pudło z karmą dla psów i wręczył kilka siatek z zakupami Al-Balawiemu - w prezencie dla doktora i jego rodziny[35].

Bin Zeid bajerował subtelnie, zwłaszcza na początku, ale zawsze miał dla niego ten sam komunikat: Potrzebujemy cię, chcemy, żebyś nam pomógł. Dla twojego własnego dobra. Dla dobra twojego kraju. Zanalizował niektóre z bardziej wojowniczych esejów napisanych przez Al-Balawiego jako Abu Dudżana al-Chorasaani i starał się łagodnie podważać sens wykorzystywania Koranu jako uzasadnienia dla zamachów samobójczych i innych ataków terrorystycznych.

Wizja islamu, jaką proponuje Osama Bin Laden, jest wypaczona - przekonywał. - Koran zabrania zabijania niewinnych.

Bin Zeid posunął się nawet do stwierdzenia, że król Jordanii Abdullah II jest prawdziwszym uosobieniem zasad islamu niż Bin Laden. Zresztą król, człowiek o zachodnich sympatiach, żonaty z olśniewającą pięknością, która jeździła po świecie, promując edukację kobiet, należał do rodu Haszymidów, ponoć potomków samego Proroka.

Al-Balawi milcząco kiwał głową na zgodę. Może znajdzie się sposób, żeby pomógł monarchii.

Nie było jeszcze wiadomo, jaką konkretnie mógłby odegrać rolę, ale bin Zeid stawiał jasno jedną sprawę: jeśli doktor zdoła wykorzystać swoje znajomości do pomocy w tropieniu poszukiwanych terrorystów, może dostać za to olbrzymią nagrodę. Taką, która odmieni życie jego i całej jego rodziny.

Jaka to będzie suma? To zależy od celu, ale CIA, agencja, która wypisuje czeki, wyznaczyła za głowy Bin Ladena i jego krnąbrnego numeru dwa, egipskiego lekarza Ajmana az-Zawahiriego, tak wysokie nagrody, że trudno je sobie nawet wyobrazić.

To znaczy ile?, zapytała później Defne, kiedy mąż był w domu. Humam wypowiadał się z pogardą o agencie Muchabaratu, kiedy relacjonował

żonie szczegóły ich spotkań w zaciszu mieszkania. Teraz jednak znowu popadł w roztargnienie, pogrążony w rozmyślaniach.

Miliony, odpowiedział wreszcie.

Rankiem 18 marca Humam Al-Balawi spakował dwie małe torby i przygotował się do - jak to ujął - krótkiej wycieczki. Oznajmił, że postanowił ubiegać się o przyjęcie na studia medyczne w Stanach Zjednoczonych, ale najpierw musi zdać egzamin wstępny. Organizowano go w Stambule.

To wyjaśnienie brzmiało w miarę wiarygodnie. Al-Balawi nieraz mówił, że chciałby studiować w Ameryce, i trapił się, czy poradzi sobie z bardzo specjalistycznym angielskim na egzaminie kwalifikacyjnym. Do tej pory jednak, ilekroć pojawiał się temat egzaminu, mowa była o tym, że odbędzie się on w Ammanie. Z drugiej strony Al-Balawi miał w Turcji wiele znajomości z czasów studenckich i nikt nie kwestionował powodów jego wyjazdu do tego kraju. Uściskał dziewczynki i żonę, po czym wyszedł z domu z młodszym bratem Assadem, który zgodził się podwieźć go na lotnisko. Nie powiedział ojcu o tym wyjeździe i nie zdobył się na to, by się z nim pożegnać.

Na międzynarodowym lotnisku Queen Alia w Ammanie Humam ruchem ręki polecił bratu, żeby nie zatrzymywał się przy stanowisku odprawy pasażerów lecących do Stambułu. Stanęli za to w kolejce do stanowiska odprawy emirackich linii lotniczych na lot do Dubaju, centrum tranzytowego całych Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Humam postawił torby na podłodze i poprosił, aby odprawiono go od razu do ostatecznego celu podróży: Peszawaru w Pakistanie.

Potem uścisnął bratu dłoń, a ten przyjrzał mu się z zakłopotaniem i troską.

Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym z ojcem, powiedział Assad po dłuższym milczeniu[36].

Me. Me może o tym wiedzieć - brzmiała odpowiedź. Obiecujesz?

Assad potaknął.

Pokój z tobą, powiedział.

Pokój z tobą.

Humam Al-Balawi wsunął bilet oraz paszport do kieszeni, odwrócił się i udał się po schodach do wyjścia.

ROZDZIAŁ 6
CELE

Langley, Wirginia – maj-czerwiec 2009

Przez całą wiosnę niewidzialna sieć amerykańskich satelitów szpiegowskich rozpostarła się nad północnozachodnim Pakistanem; przeciwko jednemu z najbardziej zacofanych regionów na ziemi rzucono najczulszy na świecie sprzęt podsłuchowy. Kamery obserwowały każdą lepiankę, stodołę i zagrodę dla kóz na obszarze wielkości Portoryko. Baterie komputerów przeszukiwały linie telefoniczne, przekazy internetowe i sygnały bezprzewodowe, automatycznie wyłapując określone wyrazy lub zwroty, które mogły sygnalizować kłopoty albo doprowadzić do ujęcia od dawna poszukiwanego wroga.

W maju jedno takie wyrażenie, wyłuskane z rutynowych nasłuchów telefonicznych, spowodowało, że tłumacz zerwał się z krzesła w stacji nasłuchowej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland. Słowa te zostały specjalnie zaznaczone w raporcie, który pospiesznie dostarczono do biura przełożonego, następnie na piętro kierownicze w centrali CIA i wreszcie na biurko Leona Panetty, szefującego CIA już trzeci miesiąc.

Bomby nuklearne[37]. Panetta przeczytał raport dwa razy. Dzięki nasłuchowi telefonicznemu na terytorium plemiennym znanym jako Południowy Waziristan podsłuchano rozmowę dwóch talibskich

przywódców OBajtullahu Mehsudzie, niskim, zbirowatym Pasztunie, który niedawno przejął dowodzenie nad największym sojuszem ugrupowań talibów w Pakistanie. Była to ożywiona dyskusja o nabytku wielkiej wagi, który miał zapewnić Mehsudowi zwycięstwo nad centralnym rządem Pakistanu i podnieść jego prestiż wśród światowych bojowników dżihadu. Jeden z mężczyzn użył pasztuńskiego słowa itami, znaczącego tyle co „atomowy" albo „nuklearny". Powiedział, że Mehsud ma bomby itami.

Kiedy w Langley opadły emocje, pojawił się sceptycyzm. Może to błąd w tłumaczeniu? Bujda? Albo podstęp? Niektórzy z najbardziej doświadczonych ludzi Agencji odnosili się do sprawy z nieskrywaną pogardą. Bajtullah Mehsud był mocnym w gębie gangsterem, półanalfabetą. Jego doświadczenie z bombami ograniczało się do przymocowania nieszczęsnemu nastolatkowi kilku kilogramów wykonanych domowym sposobem materiałów wybuchowych i wysadzenia w powietrze bazaru. Mehsudowi brakowało środków do uzyskania broni nuklearnej i nikt nie byłby tak głupi, by mu ją udostępnić.

Mimo wszystko CIA dyskretnie wzmogła nasłuch górzystego regionu przygranicznego, skąd pochodził klan Mehsudów. Kontynuowano go przez wiele dni bez rezultatów, aż w końcu któregoś wieczoru w sieć Agencji zaplątało się coś wielkiego: wiadomość o potajemnym spotkaniu członków szury (rady talibów) Bajtullaha Mehsuda. Przyłapano doradców Mehsuda na omawianiu interesującego dylematu etycznego, który niedawno wyniknął w grupie.

Czy prawa islamu pozwalają - zastanawiali się - na wykorzystanie nowej „broni" Bajtullaha Mehsuda?

Cała infrastruktura bezpieczeństwa administracji Obamy skoncentrowała się teraz na małej parceli w północnozachodnim Pakistanie. Talibowie mordowali tysiące ludzi, w tym wiele kobiet i dzieci, bez

żadnych wyrzutów sumienia, a jednak mieli wątpliwości co do tej nowej broni. Ruch terrorystyczny zdawał się wbrew swoim zwyczajom sięgać po uzasadnienie religijne tego, do czego się sposobił - cokolwiek to było.

W Waszyngtonie nie wspomniano publicznie o nowym zagrożeniu, ale agencje rządowe już szykowały się do stawienia czoła nowemu kryzysowi. Departament Energii z samolotami wyposażonymi w czujniki promieniowania; Pentagon; szefowie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego odpowiedzialni za bezpieczeństwo portów i granic - wszyscy zostali postawieni w stan gotowości. W Langley Panetta codziennie domagał się od swoich zespołów antyterrorystów czegoś bardziej konkretnego. Jego ciemne oczy ciskały gromy zza drucianych oprawek. „O czym my tutaj do cholery mówimy? - pieklił się. - Zabrali coś z jednego z tych przeklętych składów nuklearnych?”

Ze wszystkich katastrofalnych scenariuszy, jakie Panetta w ogóle brał pod uwagę, zdecydowanie najgorszym był wybuch nuklearny w którymś z amerykańskich miast. Na świecie była zaledwie garstka miejsc, gdzie jak obawiali się urzędnicy Agencji, terrorysta mógł kupić albo ukraść bombę lub jej kluczowe komponenty, a Pakistan, posiadający broń jądrową, znajdował się na szczycie listy. Trudno jednak było sobie wyobrazić, że drugorzędny łotr, taki jak Mehsud, mógł dostać w swoje ręce działającą bombę atomową.

Panetta i jego najważniejsi doradcy przyjęli ostatecznie bardziej prawdopodobne wytłumaczenie: pakistański terrorysta nabył brudną bombę. W brudnej bombie, nazywanej czasem bronią nuklearną biednego człowieka, konwencjonalne materiały wybuchowe i a połączone są ze śmiertelnymi ilościami odpadów radioaktywnych, takich jak promieniotwórczy kobalt wykorzystywany do usuwania guzów nowotworowych albo naświetlania żywności. Brudne bomby są znacznie

mniej śmiercionośne od zwykłej bomby jądrowej, ale są też tanie i łatwe do skonstruowania i mogą skazić promieniotwórczo rozległe obszary. Jedna dobrze zrobiona bomba zdetonowana na Dolnym Manhattanie mogłaby zabić dziesiątki ludzi, wywołać zamęt gospodarczy i sprawić, że części miasta nie nadawałyby się do zamieszkania przez wiele miesięcy, a nawet lat. Co to za bomba itami, której planowali użyć talibowie?

W obliczu potencjalnie śmiertelnego zagrożenia, pięć miesięcy po inauguracji administracja Obamy zaczęła działać w tej sprawie, na początek wysyłając do Pakistanu delegację na wysokim szczeblu, aby zapewnić sobie pomoc tego kraju w zlokalizowaniu Bajtullaha Mehsuda i jego tajemniczych bomb. „Cała amerykańska społeczność odpowiedzialna za tworzenie polityki była bardzo zaniepokojona - wspominał jeden z urzędników administracji, który uczestniczył w zebraniach zwołanych w celu omówienia reakcji Białego Domu. - Panował nastrój powszechnej mobilizacji”.

Dla siedemdziesięcioletniego Panetty już wcześniej była to ciężka wiosna; czasami mimowolnie wspominał z tęsknotą komfortową częściową emeryturę, którą cieszył się, zanim Obama powołał go na stanowisko szefa CIA. Tego byłego kongresmana z Kalifornii zarekomendował do pracy w wywiadzie jego długoletni przyjaciel Rahm Emanuel, nowo mianowany przez Obamę szef kancelarii Białego Domu, lecz nominacja Panetty natychmiast wzbudziła kontrowersje. Jego dotychczasowe przelotne spotkania z wywiadem ograniczały się w zasadzie do briefingów w Białym Domu, w których uczestniczył jako dyrektor personelu Białego Domu za prezydentury Clintona, i nawet wierni Demokraci w Senacie publicznie wyrażali wątpliwość, czy ma doświadczenie niezbędne do kierowania najpotężniejszą agencją wywiadowczą na świecie. Obama, widząc, jakie

baty zbiera na Kapitolu jego kandydat, zastanawiał się głośno w rozmowie z Emanuelem, czy nominacja jest warta aż tak wysokiej politycznej ceny.

„Jest pan pewien, że to właściwy wybór?" - zapytał[38].

Emanuel nie miał żadnych wątpliwości. Panetta był bystrym menadżerem, znał Waszyngton i miał imponujące umiejętności polityczne. Był twardy i zdarzało mu się rzucać mięsem, miał jednak duże poczucie humoru i naturalny urok właściwy burmistrzom małych miasteczek - dzięki połączeniu tych cech prawie nie sposób go było nie lubić. Panetta nadawał się do tego, aby chronić interesy administracji, a jednocześnie wynajdywać metody prowadzenia i wygrywania przez Agencję bitew z innymi agencjami wywiadowczymi, liczykrupami z Białego Domu, Pentagonem i Kongresem. „Wszystko się ułoży" - zapewniał prezydenta Emanuel.

Kłopoty Panetty jednak się nie skończyły. Potępiając waterboarding, rozzłościł Republikanów i wielu członków szczebla kierowniczego z CIA. Później, zaledwie dwa miesiące po przybyciu do Langley, rozwścieczył Demokratów, kiedy sprzeciwił się decyzji administracji o ujawnieniu prawniczych notatek służbowych z czasów Busha usprawiedliwiających stosowanie tej metody przesłuchań. Stanowisko Panetty w sprawie tak zwanych torture memos zdobyło mu nowych przyjaciół w CIA, ale też skłóciło go z wpływowymi członkami administracji, której obecnie służył[39].

Na szczęście mógł się pochwalić pasmem sukcesów CIA w walce z Al-Kaidą. Nowa administracja nie tylko zaakceptowała, ale wręcz rozszerzyła prowadzoną przez Agencję kampanię ataków rakietowych na bazy terrorystów w Pakistanie, w pobliżu granicy z Afganistanem. Podczas codziennych briefingów Panetta widział, jaki efekt wywołują ataki. Pierwszy raz od wielu lat przywódcy Al-Kaidy stanęli wobec śmiertelnej

groźby w swoim własnym azylu - perspektywy natychmiastowej zagłady za sprawą unoszących się w górze bezustannie samolotów robotów, których mechaniczne buczenie wypełniało wieczorną ciszę i sprawiało, że ludzie bali się nawet we własnym łóżku.

Nawet te sukcesy miały jednak swoją cenę. Panetta, syn włoskich imigrantów, przez całe życie był katolikiem i regularnie uczęszczał do kościoła, a odpowiedzialność za decydowanie o życiu i śmierci innych osób - nawet jeśli byli to domniemani terroryści żyjący w odległości wielu tysięcy kilometrów - ogromnie mu ciążyła. Jego poprzednik Mike Hayden ostrzegał, że praca ta będzie wymagała „decyzji, które wprawią [go] w najwyższe zdumienie". Zapowiedź się potwierdziła: średnio raz na tydzień Panetta zezwalał na coś równoznacznego z wyrokiem śmierci na grupę obcych ludzi po drugiej stronie globu. Nowe systemy broni CIA imponowały swoją precyzją, wykraczającą poza to, o czym większość ludzi czytała w relacjach prasowych. Predatory w służbie Agencji mogły wstrzelić pocisk balistyczny przez okno jadącego samochodu albo przyszpilić w wąskim zaułku cel o wielkości talerza obiadowego, nie uszkadzając budynków ani po jednej, ani po drugiej stronie. Operatorzy tych samolotów mogli - i przynajmniej raz to zrobili - zmienić tor pocisku w locie, aby uniknąć uderzenia w niezamierzony cel, który znienacka znalazł się na jego trasie[40]. Według pieczołowicie prowadzonej przez Agencję listy ofiar, zanim Panetta zaczął urzędowanie, w atakach rakietowych zginęło dziewięć osób postronnych[41], czyli średnio po jednej niewinnej ofierze na każdych czterdziestu atakowanych bojowników Al-Kaidy albo talibów.

Mimo to przyjaciele stroili sobie żarty, że Panetta został na starość płatnym zabójcą CIA. „A twój biskup wie, co robisz?" - dowcipkował jeden

z bliskich przyjaciół, kiedy Panetta opowiadał o swojej pracy. Dyrektorowi CIA wcale nie było jednak do śmiechu.

„Nie bagatelizuję tego” - protestował[42].

Jednak tydzień po tygodniu, kiedy Panetta musiał dokonywać wyboru, jego osobiste wątpliwości moralne cichły wobec tego, co uważał za dużo gorsze zło. Al-Kaida i jej talibscy sprzymierzeńcy planowali akty masowych mordów bez śladu wyrzutów sumienia. Na całym świecie tylko CIA miała zarówno środki, jak i wolę, żeby sięgnąć aż do górskich kryjówek terrorystów i ich stamtąd wykurzyć.

Teraz, po dwóch miesiącach na stanowisku szefa CIA Panetta musiał ponownie rozstrzygnąć o życiu lub śmierci Pakistańczyka, który wedle źródeł Agencji przygotowywał się do zdetonowania brudnej bomby. Do wiosny tego roku Stany Zjednoczone nie uważały Bajtullaha Mehsuda za znaczące zagrożenie dla bezpieczeństwa Amerykanów, a CIA ze swoją rozległą siecią inwigilacyjną dopiero się przestawiała na poszukiwanie tego terrorysty. Było przesądzone, że Agencja znajdzie Mehsuda. Wtedy Panetta będzie wiedział, co robić.

Jedna z najzdolniejszych młodych łowczyń terrorystów w Langley przyszła do pracy, jak zawsze, w klapkach. Elizabeth Hanson lubiła nosić plażowe buty nawet w środku zimy. Klapanie jej sandałków na korytarzach CIA było dla jej kolegów równie rozpoznawalne jak jej blond grzywa z kilkoma zbuntowanymi lokami, które skutecznie opierały się wysiłkom ich ujarzmienia. Pod biurkiem trzymała parę elegantszych butów, na wypadek gdyby niespodziewanie wezwano ją na rozmowę o Al-Kaidzie do szefostwa, potrafiła też w razie potrzeby wykorzystać swój olśniewający urok. W normalne dni robocze Hanson była jednak zagorzałą fanką wygody - nosiła dżinsy i klapki, czasem nawet warkoczyki. W końcu na ogół pracowała do późna, a podczas bardziej gorączkowych okresów często nie

opuszczała biura nawet w nocy i oglądała transmisje wideo z pokładów predatorów polujących na jeden z wyznaczonych przez nią celów. A czerwiec już zapowiadał się wyjątkowo pracowicie.

Hanson usiadła przy biurku w swoim małym boksie, odgarnęła na bok papiery, żeby zrobić miejsce na karmelowe macchiato, włączyła komputer i zaczęła przeglądać poranne tajne depesze z Pakistanu i Afganistanu. Wyżsi rangą specjaliści CIA od tropienia celów byli pochłonięci pilnymi poszukiwaniami niejakiego Bajtullaha Mehsuda. Hanson, która zyskiwała sobie renomę dzięki umiejętności tropienia najniebezpieczniejszych wrogów kraju, należała do tego zespołu[43]. W przeszłości miała na swojej liście znacznie ważniejszych terrorystów niż Mehsud - niektórych z nich nie ma już pośród żywych.

Przechodzący obok współpracownicy rzucali pozdrowienia, a Hanson odpowiadała uśmiechem. Było jeszcze wcześnie, ale Centrum Antyterrorystyczne CIA już szumiało od tego monotonnego zgiełku, który nigdy nie cichł zupełnie. W miejscu tym nie obowiązywał normalny podział na dzień i noc, wcześnie i późno, dzień roboczy i święto. Ogromne pomieszczenie główne było stale skąpane w świetle jarzeniówek, które miały rekompensować brak okien (nowi pracownicy Centrum są informowani, że każda brama do świata zewnętrznego stanowi potencjalne zagrożenie). Należące do Centrum labirynty boksów i płaskie ekrany telewizyjne zajmowały większość parteru nowego, eleganckiego budynku centrali Agencji, ze względów bezpieczeństwa wbudowanego w zbocze wzgórza. Pracownicy Centrum Antyterrorystycznego wchodzili na czwarte piętro przez lśniące szklane atrium ozdobione modelami samolotów szpiegowskich w zmniejszonej skali oraz statuami, a następnie zjeżdżali cztery kondygnacje niżej, do bunkra, gdzie kieruje się najdelikatniejszymi operacjami Agencji.

Hanson wyróżniała się w tym podziemnym świecie nie tylko za sprawą obuwia. Miała dopiero trzydzieści lat i subtelną urodę „dziewczyny z sąsiedztwa” ze Środkowego Zachodu, którą mężczyźni ubóstwiali, a kobiety podziwiały. Współpracownicy uwielbiali ją za jej ponadnormatywne poczucie humoru, które miało wiele odmian: od łagodnie sarkastycznego przez skatologiczne aż po głupkowate. Potrafiła bez końca cytować kwestie z komedii takich jak Kac Vegas, a jej współpracownicy pokładali się ze śmiechu, kiedy w supertrafny sposób parodiowała Beavisa z kreskówki Beavis i Butthead. Najbardziej prozaiczny żargon agentów CIA zamieniał się w jej wykonaniu w sprośne kalambury („OK, jak przebiegła weekendowa penetracja gorących stref?” „Jak tam organy kierownictwa?”), a kiedy prosiła szefa albo kolegę o przysługę, poprzedzała prośbę zdaniem: „Chcę kucyka!”. Wąskie grono najbliższych przyjaciół nazywało ją rodzinnym przezwiskiem Monkie, na pamiątkę jej dziecięcej fascynacji słynnymi małpkami pacynkami produkowanymi w rodzinnym mieście Rockford w stanie Illinois.

Figlarne zachowanie Hanson przeczyło śmiertelnej powadze, z jaką podchodziła do podstawowych zadań Centrum Antyterrorystycznego. Przez z górą dwa lata pracowała jako targeterka - jej praca polegała na tropieniu wszelkimi możliwymi środkami terrorystów poszukiwanych przez CIA, z maleńkiego boksu kilkanaście kilometrów od Waszyngtonu. Miała własną listę celów oraz dostęp do danych uzyskiwanych przez każde urządzenie monitorujące z bogatego instrumentarium Agencji. Niczym artysta układający gigantyczną mozaikę potrafiła wyławiać informacje z nasłuchu, podsłuchanych rozmów przez telefony komórkowe, filmów z monitoringu, raportów informatorów, a nawet serwisów informacyjnych, i łącząc je z domieszką wyobraźni i domysłów, stworzyć profil, który szpiedzy Agencji, operatorzy dronów i tajni oficerowie prowadzący mogli wykorzystać do

fizycznego zlokalizowania celu. Niedawno Hanson została szefową zespołu targeterów i nadzorowała wiele rozmaitych prób tropienia przywódców terrorystycznych. Często monitorowała inwigilację terrorysty-celu godzina po godzinie i osobiście dzwoniła do dyrektora CIA z prośbą o zgodę na wystrzelenie jednego z pocisków Hellfire. Pomogła wyśledzić niektórych z najwyższych przywódców Al-Kaidy, między innymi Usamę al-Kiniego, zabitego później pociskiem CIA w Nowy Rok. Jej rozległa wiedza o pakistańskich siatkach terrorystycznych czyniła ją niezastąpioną, kiedy oficerowie Agencji wpadali na trop pomniejszych terrorystów, z których część była najbliższymi sojusznikami Al-Kaidy. Zaliczał się do nich przebiegły pasztuński watażka, długoletni sprzymierzeniec Bin Ladena Dżalaluddin Hakkani, którego myśliwce atakowały żołnierzy amerykańskich wokół położonego na południu Afganistanu miasta Chost, a od niedawna także przywódcy sojuszu pakistańskiego Tehriki-Taliban dowodzonego przez Bajtullaha Mehsuda.

„Trajektoria jej kariery była skierowana prosto ku górze, jak tor rakiety - powiedział kolega, który współpracował z nią ściśle w Centrum Antyterrorystycznym. - Pomagała na dobre eliminować złych ludzi. Dochodziło do tego, że na obszarach plemiennych było coraz trudniej się ukryć”.

Niektórzy porównywali Hanson z Jennifer Matthews, inną panią oficer i niegdysiejszą targeterką, która błyskawicznie wspinała się po szczeblach kariery. Obie kiedyś krótko ze sobą współpracowały i były zaprzyjaźnione, jednak ich drogi znacznie się różniły. Matthews wstąpiła do skrajnie odmiennej CIA pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy pracowało tam wciąż stosunkowo bardzo niewiele kobiet, zimna wojna nadal trwała, a większość prestiżowych stanowisk zajmowali oficerowie mężczyźni, którzy spotykali się potajemnie z informatorami w obskurnych barach w Wiedniu

czy Budapeszcie. Hanson dla odmiany należała do klasy nowych oficerów zatrudnionych po 11 września. Niektórzy z nich mówili o sobie „generacja Windows”: młoda, doskonale wykształcona i pełna wiary w moc techniki. Zapotrzebowanie na oficerów prowadzących i informatorów ciągle istniało, ale w epoce po 11 września nie oni już wiedli prym. „Teraz liczy się umiejętność dedukcji - powiedział inny ze współpracowników Hanson. - Wielozadaniowość, analiza całych stosów danych z różnych źródeł. Wyciąganie logicznych wniosków, pozwalające udaremnić spisek albo odnaleźć przywódcę, który usiłuje nam w tym przeszkodzić”.

Liczyła się też siła charakteru. Przyjaciele wspominali, jak pewnego dnia Hanson, wówczas dwudziestodziewięcioletnia, napędziła im strachu, wdając się w zażarty spór na temat potencjalnego celu z pewnym pułkownikiem. Kiedy wojskowy próbował zlekceważyć młodą targeterkę, Hanson przysunęła twarz na kilka centymetrów do jego twarzy. „Cel jest prawidłowo określony, sir - powiedziała. - Albo pan go zdejmie albo zrobimy to sami”.

Na przełomie wiosny i lata Elizabeth Hanson przygotowywała się do przeniesienia do Kabulu, na swoje pierwsze zagraniczne stanowisko w CIA. Przed wyjazdem skoncentrowała jednak uwagę na nieuchwytnym i od niedawna niebezpiecznym Bajtullahu Mehsudzie.

Rankiem 22 czerwca doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego w administracji Obamy James L. Jones udał się do Islamabadu, stolicy Pakistanu, na kilka niecierpiących zwłoki spotkań z cywilnymi i wojskowymi przywódcami tego kraju. W komunikatach prasowych spotkania te opisywane były jako rutynowe konsultacje w sprawie strategii Waszyngtonu wobec Afganistanu. W rzeczywistości ich najważniejszym tematem był Mehsud i jego „broń“[44].

Wysocy pakistańscy urzędnicy zarzekali się, że składy nuklearne ich kraju są bezpieczne, ale nie mogli wykluczyć, że talibowie wyprodukowali brudną bombę. W istocie rząd prezydenta Asifa Alego Zardariego niepokoił się o zamiary Mehsuda jeszcze bardziej niż Amerykanie. Jeśli taka bomba miała eksplodować w nadchodzących tygodniach w jednym z większych miast świata - wnioskowali wysocy urzędnicy - to raczej stałoby się to w Karaczi albo w Peszawarze, a nie w Londynie czy w Nowym Jorku.

Jedynym pozytywem dla Islamabadu było świeżo rozbudzone zainteresowanie administracji Obamy Bajtullahem Mehsudem. Tego przywódcę talibów oficjalnie obarczano winą za zamordowanie 27 grudnia 2007 byłej premier Pakistanu Benazir Bhutto[45]; w miesiącach po tym wydarzeniu Mehsud wypowiedział wojnę pakistańskiemu rządowi. Mehsud obierał za cele samobójczych zamachów bombowych pakistańską policję oraz koszary wojskowe i zasłynął obcięciem głów wziętym do niewoli młodym żołnierzom. Pakistańscy generałowie sposobili się do rozszerzenia zasięgu militarnej ofensywy przeciwko twierdzom talibów, a ich wojska wdawały się w gwałtowne potyczki we wsiach położonych wzdłuż granicy. CIA i jej samoloty roboty - tak kontrowersyjne w Pakistanie - nie pomogły im zbytnio. Amerykańscy urzędnicy administracji od dawna uważali klan Mehsudów za lokalny problem Pakistańczyków i nie chcieli nastawić przeciwko sobie jeszcze jednej frakcji militarnej, która mogła przedostać się do Afganistanu i zaatakować stacjonujące tam amerykańskie wojska.

Groźba brudnej bomby zmieniła wszystko. W administracji Obamy mówiło się teraz nieoficjalnie o wzięciu Mehsuda na celownik, a pakistańscy oficjele tym razem całym sercem zgadzali się na amerykański atak rakietowy na ich terytorium.

„Złapcie go” - zaapelował pewien pakistański urzędnik do spraw bezpieczeństwa do jednego z Amerykanów w delegacji Jonesa.

Tymczasem wysiłki Elizabeth Hanson i jej kolegów z Langley zaczynały przynosić owoce, a codzienne depesze z Kabulu i Islamabadu dostarczały świeżych informacji o poczynaniach dowódców talibów z bliskiego otoczenia Mehsuda. Niektórzy w CIA mieli teorię na temat pochodzenia tajemniczych broni talibów: były one częścią zaplanowanego przez Al-Kaidę przedsięwzięcia, którego realizację zakłóciły nieustanne ataki predatorów na przywódców ugrupowań terrorystycznych. Należący do Al-Kaidy konstruktor bomb o nazwisku Chalid Habib pracował nad wyprodukowaniem brudnej bomby, zanim w październiku 2008 roku jego plany udaremnił pocisk, który uderzył w jego samochód w północnozachodnim Pakistanie. Najbliższym sprzymierzeńcem i domniemanym kontynuatorem jego zadań konstruktorskich był Usama al-Kini, jeden z przywódców Al-Kaidy, który zginął w Nowy Rok w ataku predatora. Czyżby Al-Kaida zostawiła swoją fabrykę brudnych bomb w spadku Bajtullahowi Mehsudowi?

CIA od dawna obawiała się zmowy między Al-Kaidą a luźną konfederacją pakistańskich grup bojowników - Hanson i jej zespół widzieli ostatnio coraz więcej dowodów takiego sojuszu. W zwykłych okolicznościach wiele lokalnych ugrupowań ekstremistycznych rywalizowało ze sobą i stale targały nimi spazmy krwawych waśni międzyplemiennych. Ostatnio jednak, ograniczeni przez wkraczające od południa wojska pakistańskie i stałą groźbę śmierci od pocisków CIA, bojownicy konsultowali się i współpracowali, przez co mogli stać się dużo bardziej niebezpieczni.

Pod koniec czerwca Hanson wyszukiwała w tajnych depeszach nazwiska pomocników Mehsuda. Pakistańscy informatorzy donieśli, że w pobliżu gniazda rodzinnego Bajtullaha Mehsuda w Południowym Waziristanie odbyło się coś w rodzaju ponadnarodowego posiedzenia

strategicznego bojowników dżihadu. Na jedenastoosobowej liście uczestników znaleźli się między innymi najwyższy wysłannik Al-Kaidy Abu Jahja al-Libi oraz Siradżuddin Hakkani, charyzmatyczny młody dowódca, który szefował potężnej sieci Hakkanich, a także sam Bajtullah Mehsud. Domniemanym celem zebrania było przekonanie przywódcy talibów do wynegocjowania rozejmu z Pakistanem; Hakkani i lokalni przywódcy Al-Kaidy obserwowali marsz armii przez Południowy Waziristan i obawiali się, że ich terytorium może być następne.

Hanson wynotowała kilka rzeczy i rozsiadła się w fotelu, żeby pomyśleć.

Mehsud, Al-Kaida i klan Hakkanich popijają herbatkę i planują strategię. Te grupy utrzymywały nieformalne kontakty od wielu lat. To było jednak coś więcej.

23 czerwca James L. Jones kończył właśnie spotkania w Islamabadzie, kiedy CIA dopisało szczęście - przybliżyła się do odnalezienia Bajtullaha Mehsuda oraz broni, którą najprawdopodobniej ukrywał. Na terytorium talibów zlokalizowano dowódcę średniego szczebla w organizacji Mehsuda i szybko zrodził się pomysł, aby zaatakować Mehsuda podczas pogrzebu tego dowódcy. Zaufany adiutant Bajtullaha Chwaz Wali Mehsud był wprawdzie jak najbardziej żywy, ale miało się to wkrótce zmienić.

Przed wschodem słońca 23 czerwca[46] samotny dron typu Predator krążył wysoko nad malutką górską wioską Lataka na terytorium talibów, sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód od stolicy prowincji, Wany. Dwa pociski mknęły przez wilgotne poranne powietrze, wyprzedzając własne fale dźwiękowe, z sensorami nakierowanymi na położony na obrzeżach wsi budynek z cegły mułowej. Gdyby ktoś patrzył na to z ulicy, zobaczyłby tylko mały błysk przy uderzeniu, a po nim erupcję kamieni, pyłu i dymu w momencie, gdy dom wybuchał od środka. Sąsiedzi,

którzy przeszli przez zwalone mury, nadpalone meble i maty do spania, znaleźli zmasakrowane ciała pięciu talibów i ich przywódcy, Chwaza Walego Mehsuda.

Był to znaczący sukces, ale zarazem, jak miała nadzieję CIA, wstęp do czegoś dużo większego.

Mehsudowie, jak inni członkowie pasztuńskich plemion znad granicy afgańsko-pakistańskiej, przywiązują ogromną wagę do pogrzebów, które mają często bardziej uroczysty charakter niż wesela. Śmierć ważnego członka klanu wymaga, aby krewni oddali mu ostatni hołd; często wokół zwłok gromadzą się wielkie tłumy żałobników, którzy zawodzą i intonują modlitwy. Później członkowie starszyzny wioski i inni szacowni obywatele formują szereg, aby odprowadzić owinięte w całun zwłoki na miejsce pochówku.

Gdy we wsi Lataka rozwiał się dym, agencje wywiadowcze obserwowały, jak zaczęli napływać tam klanowi notable, aby odzyskać ciała i zorganizować pospieszny pochówek. Na podstawie nasłuchu telefonicznego ustalono, że jednym z żałobników będzie Kari Husajn Mehsud, najważniejszy zastępca i domniemany następca Bajtullaha. Kari Husajn był jednym z największych ideowców w klanie Mehsudów, z serca nienawidził pakistańskiego świeckiego rządu i miał wizję szerszego sojuszu między pakistańskimi talibami a innymi ruchami bojowników dżihadu. Założył kilka obozów dla młodych chłopców, gdzie szkolono ich na zamachowców samobójców i stał za kilkoma śmiertelnymi atakami w Pakistanie i Afganistanie.

Drugie ważne nazwisko na liście uczestników pogrzebu było niespodzianką: mułła Sandżin Zadran, dowódca wojskowy sieci Hakkanich. Sandżin był najwyższym zastępcą Siradżuddina Hakkaniego, syna Dżalaluddina. Za jego głowę także wyznaczono nagrodę. Pentagon

namierzył go dwukrotnie podczas wypadów w obrębie Afganistanu, ale Sandżin dwukrotnie się wymknął. Teraz jego obecność na klanowym pogrzebie Mehsudów wzmogła obawy Amerykanów o zacieśnianie się sojuszu między Mehsudami a Hakkanimi, bez wątpienia korzystne także dla samej Al-Kaidy.

Pasztuni często grzebią swoich zmarłych w ciągu kilku godzin od śmierci, dlatego w tym dniu CIA niezwłocznie wysłała drony do Makinu, małej miejscowości znajdującej się najbliżej Lataki, domniemanego miejsca pogrzebu Chwaza Walego Mehsuda. Urzędnicy Agencji oglądali na płaskoekranowych telewizorach przyjeżdżające samochody i gromadzących się żałobników, mężczyzn w długich tunikach i kobiety w burkach i zasłonach na twarzach. Obserwowali, jak niesiono ulicami zawinięte w całun zwłoki i śpiewano modlitwy przy grobie. Słuchali, jak mułła, który przewodniczył uroczystościom, zaapelował do zgromadzonych, aby rozeszli się jak najszybciej, ponieważ niskie buczenie maczajów - „pszczół", jak nazywano w paszto bezzałogowe samoloty - coraz bardziej się przybliżało.

Muhammad Said Chan, trzydziestopięcioletni Pasztun, właśnie opuszczał zgromadzenie, kiedy niemal równocześnie uderzyły pierwsze dwa pociski.

„Wywołały zamęt, wszędzie było widać dym i pył - powiedział później Chan ze szpitalnego łóżka pakistańskiemu dziennikarzowi. - Ranni płakali i prosili o pomoc. Po minucie wystrzelili trzeci pocisk, a ja padłem na ziemię"[47].

Pakistańskie media początkowo wymieniały wśród zabitych w ataku zarówno Kariego Husajna Mehsuda, jak i Sandżina Zadrana, dowódcę siatki Hakkanich. Pracownicy Agencji usiłowali wyłowić z tych informacji, czy Bajtullah Mehsud też nie żyje.

Minęły dwa dni, zanim poznali prawdę. Kari Husajn Mehsud i Sandżin Zadran przeżyli atak, o czym z satysfakcją poinformowali w wywiadach lokalne stacje telewizyjne.

Jeśli Bajtullah Mehsud był w ogóle na pogrzebie, to uciekł, zanim spadły pociski.

ROZDZIAŁ 7
DŻIHADYSTA

Amman, Jordania - lipiec 2009

Humam Al-Balawi przybył do północnozachodniego Pakistanu 19 marca z dwoma podniszczonymi walizkami i zniknął w tym ogromnym kraju[48]. Informatorzy opłacani przez CIA widzieli, jak przeszedł odprawę celną w Peszawarze i zauważyli go ponownie na zatłoczonym dworcu autobusowym, gdzie wsiadł do autokaru jadącego do przygranicznego miasta Bannu. Potem jednak zanurzył się w gęstym mroku jednego z najbardziej nieprzyjaznych i najbardziej odizolowanych miejsc na ziemi.

W Ammanie Ali bin Zeid dzień za dniem sprawdzał skrzynkę mailową. Jordański oficer założył osobne konto mailowe przeznaczone wyłącznie dla nowego informatora, któremu nadał kryptonim „Panzer”, na cześć legendarnego niemieckiego czołgu bojowego. Przestrzegł Al-Balawiego, aby na wszelki wypadek ograniczał swoje emaile, ponieważ mógł być śledzony, ale mijały dni, a on się w ogóle nie odzywał. Czyżby zachorował? Może zaginął? Bin Zeid wiedział, że istniała też możliwość, iż został zabity. Każda osoba przyjeżdżająca z prozachodniej Jordanii byłaby postrzegana przez talibów jako potencjalny szpieg. Znajomość arabskiego i angielskiego nie pomogłaby Al-Balawiemu wyplątać się z tarapatów na terytoriach plemiennych talibów, gdzie mówiono w paszto. Al-Balawi również o tym wiedział.

Boję się, że umrę w Pakistanie - wyznał Al-Balawi na jednym z ich ostatnich spotkań przed wyjazdem z Ammanu. - Zabiją mnie i nie będzie kto miał się zaopiekować moją rodziną.

Bin Zeid uspokajał go, ale teraz zżerały go obawy i wyrzuty sumienia. Zaczął przygotowywać się psychicznie na możliwość, że eksperyment z ałBalawim zakończy się kompletnym fiaskiem. Takie rzeczy się zdarzały.

Wreszcie, któregoś ranka pod koniec marca, przeglądając pocztę elektroniczną, bin Zeid zauważył niecodzienny list przekazany z jednego z jego rzadko używanych kont pocztowych. W temacie widniała seria słów - tajnych haseł, ale nie było wątpliwości, od kogo pochodziły.

Tekst też był zaszyfrowany, składał się z kilku krótkich wyrażeń, które zgodnie z ich wcześniejszymi ustaleniami miały służyć weryfikacji tożsamości przy pierwszym kontakcie. Ich sens był mniej więcej taki: Tu Al-Balawi. Jestem na miejscu.

W serii krótkich emaili wysłanych później Al-Balawi donosił, że radzi sobie na swojej pierwszej misji szpiegowskiej w miarę dobrze. Mieszka w mieście targowym Wana w Południowym Waziristanie i wydaje gotówkę, którą dostał od Muchabaratu na start. Jak większość dużych miast, Wana ma publiczną centralę telefoniczną z dostępem do komputerów, których Al-Balawi będzie używał do komunikowania się z Ammanem. Al-Balawi miał listę kontaktów, obejmującą między innymi pakistańskich dżihadystów, których poznał przez internet, kiedy pisał pod nazwiskiem Abu Dudżana al-Chorasaani. Plan wyglądał następująco: Al-Balawi zwróci się do wysłanników talibów w Wanię z prośbą o pomoc w organizowaniu objazdowych przychodni lekarskich w plemiennych wioskach. Będzie udawał pełnego poświęcenia lekarza pragnącego przysłużyć się sprawie świętej wojny poprzez leczenie chorych i rannych talibów. Jeśli podstęp się uda, Al-Balawi będzie miał doskonały pretekst, by swobodnie poruszać się

po całym terytorium talibów i zbierać informacje do raportów, które będzie wysyłał do bin Zeida ze swojej bazy w Wanię.

Bin Zeid wysyłał swojemu nowemu rekrutowi zachęcające odpowiedzi. Wykonujesz ważną pracę - pisał. Próbował odwoływać się do jego poczucia patriotyzmu, dziękując mu za jego poświęcenie dla kraju i króla. „Napawasz nas dumą" - przekonywał[49].

Al-Balawi skrobnął też krótki email do żony. Tuż przed wyjazdem zwierzył się Defne, że wyjeżdża nie do Turcji, jak zapowiedział rodzinie, lecz do Pakistanu. Chcę studiować tam medycynę - wyjaśnił[50]. Ta historyjka nie miała większego sensu, ale Defne wiedziała, że nie powinna o nic pytać. Teraz żona Al-Balawiego mieszkała z córkami u swoich rodziców w Turcji, gdzie wyjechała wiosną za namową teścia, niby w poszukiwaniu męża. Po kilku tygodniach wreszcie powiedziała teściowi prawdę: Humam jest w Pakistanie. Wysłał go tam Muchabarat.

Starzec nie dowierzał. „Jak Humam może być w Pakistanie? - pytał. - On nie umie nawet prawidłowo przejechać przez rondo". Później zaczął naciskać na Defne, aby wróciła do mieszkania teściów w Jordanii, odpowiedniego miejsca dla mężatki, której mąż wyjechał. Humam jednak nie chciał nawet o tym słyszeć.

Zostań w Turcji, przyjadę tam do Was - napisał. Obiecał przesyłać pieniądze na mieszkanie i meble, podpowiadał nawet, jak znaleźć dobre miejsce. Przyrzekał, że w końcu zamieszkają tam razem.

Taktyka mobilizacyjna bin Zeida najwyraźniej przynosiła efekty. Al-Balawi informował go na bieżąco o rozwoju sytuacji w emailach przez cały kwiecień i początek maja, czyniąc zagadkowe aluzje do nawiązanych przez siebie znajomości z pomniejszymi talibami. Znienacka, w połowie maja, oznajmił coś, co przestraszyło bin Zeida: członkowie TehrikiTaliban,

największego z ugrupowań zbrojnych z bazą w Południowym Waziristanie, zaproponowali, żeby z nimi zamieszkał, a on się zgodził. Talibowie potrzebowali umiejętności lekarskich Al-Balawiego i zaproponowali doktorowi udział w jednym z obozów szkoleniowych grupy.

Będę zajęty i uważnie obserwowany - napisał do bin Zeida. - Dlatego przez jakiś czas nie będę pisał.

W odczuciu bin Zeida nastąpiło to zbyt szybko - bardzo możliwe, że wabiono Al-Balawiego w pułapkę - ale było już za późno, żeby się spierać. Następne emaile bin Zeida do Al-Balawiego pozostały bez odpowiedzi. Minęły ostatnie dwa tygodnie maja, potem cały czerwiec. Był już lipiec, a informator nie odezwał się ani słowem od dwóch miesięcy.

Bin Zeid omówił ostatnie wydarzenia z Darrenem LaBonte, oficerem CIA z Ammanu, teraz oficjalnym amerykańskim partnerem bin Zeida w sprawie Al-Balawiego. Zgodzili się, że długie milczenie to zły znak. Może ich szpieg nie żyje, a może zdradził i przystał do talibów, dobrowolnie albo pod przymusem.

Bin Zeid zdawał sobie sprawę, że już sam pomysł wysłania nieprzeszkolonego i niesprawdzonego Al-Balawiego do Pakistanu był ryzykowny. Był to jeden z dziesiątków nieprawdopodobnych projektów i hipotez, za pomocą których usiłowano rozwiązać niewiarygodnie złożony problem: jak przeniknąć do ścisłego grona przywódców Al-Kaidy. Jeśli dostaną wystarczająco dużo czasu, a CIA sięgnie odpowiednio głęboko do kieszeni, jedno z tych rozwiązań musi przecież przynieść skutek.

Światełko dyktafonu zapaliło się. Humam Al-Balawi poprawił się na krześle i zaczekał na pytanie od talibskiego dziennikarza[51].

„Abu Dudżana to osobowość znana z artykułów oraz innych wypowiedzi publikowanych na internetowych forach zwolenników dżihadu. Kim jest w rzeczywistości?”.

Al-Balawi przyjrzał się reporterowi, mówiącemu po arabsku Pasztunowi, który pisał do letniego numeru internetowego magazynu dla talibów „Strażnicy Chorasanu”. Tym pytaniem trafił w samo sedno. Kim on naprawdę jest?

Jordańczyk zaczął od nieco mglistych podstawowych informacji. „Wasz młodszy brat pochodzi z Półwyspu Arabskiego, oby Allah wyzwolił to miejsce - powiedział. - Mam nieco ponad trzydzieści lat, jestem żonaty i mam dwie małe córeczki”.

Był to surrealistyczny moment dla kogoś, kto w przeszłości tak skrzętnie ukrywał różne rzeczy, od swojego internetowego alter ego po decyzję o wyjeździe do Pakistanu. Aktualnie udzielał islamistycznej wersji „wywiadu z gwiazdą”, ujawniając przed całym światem, że on - czy też ta część jego, która była Abu Dudżana al-Chorasaanim - porzuca pisanie, aby działać na rzecz dżihadu. Ujawnienie tajemnicy wiązało się z prawdziwym ryzykiem; każde słowo artykułu zostanie oczywiście przeanalizowane przez oficerów wywiadu z CIA i jordańskiego Muchabaratu, a także przez Al-Kaidę. W tym momencie wszyscy się mu przyglądali i nikt po jednej ani po drugiej stronie nie był pewien, co myśleć.

Rozmowa zeszła na temat internetowej rubryki Abu Dudżany. Al-Balawi z werwą opowiedział o okolicznościach powstania jego pierwszego internetowego eseju o klęsce Al-Kaidy w irackim mieście AlFalludża. Mówił o innych podziwianych przez siebie autorach. Dorzucił gwałtowne potępienie „tych psów Hagany, Żydów”, którzy potajemnie włamywali się na strony internetowe bojowników dżihadu, między innymi na dawną stronę Al-Hesbah, niegdyś przez niego moderowaną. Cyberataki „uniemożliwiały dostęp do forów i niszczyły linki do publikacji dżihadystów” - skarżył się.

Jeszcze raz zadano mu pytanie o niego samego. Co zmieniło się w tobie, kiedy wszedłeś do krainy dżihadu?

„Powinieneś raczej zapytać, co się nie zmieniło - odparł Al-Balawi. - Tutaj na nowo się narodziłem”.

Powyższe było akurat prawdą. Mniej pewne na tę chwilę było to, czy Al-Balawi przetrwa czas niemowlęctwa w tym nowym obcym świecie. Faktycznie otrzymał zaproszenie do jednej z najsilniejszych grup talibów w regionie. Wyszło ono od jej przywódcy, niskiego, brzuchatego mężczyzny o dziwacznej czarnej brodzie i sadystycznym poczuciu humoru. Jego nazwisko brzmiało Bajtullah Mehsud i był to aktualnie najbardziej poszukiwany człowiek w całej południowej Azji.

Bajtullah ledwie czytał i prawie nie mówił po arabsku, więc nie potrafił docenić kunsztu pisarskiego Jordańczyka. Ale kierował się w życiu instynktem i już po pierwszym spotkaniu z młodym lekarzem instynkt mu podpowiedział, że to osoba godna zaufania. Mieli wspólnego znajomego[52] - jeden z arabskich zwolenników Bajtullaha znał Al-Balawiego z czasów, gdy ten był moderatorem strony internetowej, i ręczył za niego - poza tym przywódca talibów był pod wrażeniem opowieści Al-Balawiego o tym, jak zmuszono go do pracy dla jordańskiego wywiadu. Fakt, że Al-Balawi był z zawodu lekarzem, niezmiernie spodobał się Bajtullahowi, który cierpiał na cukrzycę i schorzenia nóg, a także rozpaczliwie potrzebował opieki medycznej dla swoich chorych i rannych bojowników. Wątpliwościrozwiały się całkowicie, kiedy Al-Balawi wyciągnął gruby plik banknotów, pieniędzy na podróż przekazanych mu przez Muchabarat.

Nie wszyscy jednak byli gotowi mu uwierzyć. W obozie Mehsudów opinie Bajtullaha były często kwestionowane przez jego własnych krewnych, szczególnie kuzyna Kariego Husajna Mehsuda. Bodaj pół roku

wcześniej Kari ściął głowę porwanemu polskiemu geologowi w makabrycznej, sfilmowanej egzekucji, wbrew wyraźnym rozkazom Bajtullaha[53]. Zabójstwo na wiele miesięcy popsuło relacje między kuzynami. Teraz Kari podejrzliwie przyglądał się Jordańczykowi.

Inne ugrupowania, poza klanem Mehsudów, również nie kryły podejrzeń wobec Al-Balawiego. Siradżuddin Hakkani, przekonany, że jordański lekarz jest szpiegiem, dołączył do innych przywódców Al-Kaidy, którzy nie godzili się na spotkanie z Al-Balawim, a nawet na przebywanie z nim w jednym budynku. Gdyby Bajtullah Mehsud nagle zniknął, Al-Balawi mógł z powodzeniem podzielić los polskiego geologa.

O ile, oczywiście, wcześniej nie zginąłby z ręki Amerykanów. Nieustająca groźba śmierci od pocisku zaczęła gnębić Al-Balawiego tak samo jak innych w strefie plemiennej. Dyskretne buczenie dronów CIA ostatnio prawie nie cichło i doprowadzało Al-Balawiego do takiego rozstroju, że miał kłopoty ze snem. Od początku czerwca predatory zaatakowały osiem razy w Północnym i Południowym Waziristanie, z czego dwa razy w Makinie, gdzie Al-Balawi i grupka bojowników klanu Mehsudów nocowali w różnych domach, dla bezpieczeństwa zmieniając miejsce co kilka dni. Podróżowali w parach albo w trzy osoby i kiedy tylko było to możliwe, unikali jazdy samochodami.

Al-Balawi czuł się bezpieczniejszy na dworze i czasem wynosił swój siennik na podwórko. Wpatrywał się w czarne niebo, gęste od wilgoci i niewidocznych niebezpieczeństw, a w jego przyćmionym umyśle ciągle dźwięczało pytanie, które usłyszał od reportera: Kim właściwie jesteś?

Al-Balawi sam podsunął taki pomysł. Mógłbym pojechać do FATA - powiedział pewnego dnia bin Zeidowi1. FATA to angielski skrót nazwy Terytoria Plemienne Administrowane Federalnie. Obejmują one górzysty pas w północnozachodnim Pakistanie wzdłuż granicy z Afganistanem, a

sama nazwa jest synonimem miejsca dzikiego, niedającego się rządzić, zacofanego, pełnego radykałów. To włości Al-Kaidy. Al-Balawi twierdził, że ma tam kontakty. Bin Zeid słuchał.

Stało się to w lutym, podczas jednego z ich wspólnych obiadów w Ammanie. Spędzili razem już kilka wieczorów i rozmawiali ze sobą swobodnie. Doktor i szpieg znaleźli nawet parę wspólnych tematów, takich jak niechęć do jordańskiego Bractwa Muzułmańskiego, niegdyś radykalnego islamskiego ruchu sunnickiego, który dobił targu z monarchią i stał się dzięki temu prawowitą partią polityczną. Al-Balawi wziął udział w kilku wydanych przez Bractwo mansafach, nazwanych od ulubionego dania Jordańczyków - potrawy z ryżu i jagnięciny, popularnej także na bankietach połączonych ze zbieraniem funduszy.

„Ludzie mansafu - zakpił bin Zeid. - Żrą mansaf i rozmawiają o dżihadzie, ale nic nie robią".

Przypuszczalnie wyczuwając zainteresowanie, bin Zeid zaczął powoli uchylać rąbka tajemnicy otaczającej świat Muchabaratu. Powiedział, że te służby wywiadowcze mają ogromny zasięg, a wiele z ich największych sukcesów nie zostało nigdy ogłoszonych publicznie. Wyjaśnił, że sam organizował prowokacje, w których ochotnicy do udziału w świętej wojnie w Iraku byli wabieni do miejsca zbiórki w pobliżu granicy, a po przybyciu na miejsce zastawali czekający na nich Muchabarat.

Al-Balawi z szacunkiem kiwnął głową na znak aprobaty.

To również prawda - kontynuował bin Zeid - że Jordania dostarczyła dowodów, które doprowadziły do śmiertelnego ataku rakietowego na Abu Musaba azZarkawiego, przywódcę Al-Kaidy w Iraku. A Muchabarat złowił w swoją sieć dużo większe ofiary. Bin Zeid twierdził, że pewien jordański agent stał za jednym z najwspanialszych i najbardziej tajemniczych zabójstw terrorystów ostatnich dziesięcioleci - zamordowaniem w 2008

roku byłego szefa bezpieczeństwa Hezbollahu Imada Mughnijeha. Człowiek, któremu ze względu na niesamowitą umiejętność wymykania się pościgom nadano przydomek Abu Dochan - „ojciec dymu”[54] - został zabity przez bombę ukrytą w zagłówku siedzenia jego samochodu w Damaszku. Początkowo spekulowano, że zamachu dokonała konkurencyjna frakcja Hezbollahu albo syryjscy agenci, a amerykańscy eksperci od terroryzmu podejrzewali Mossad, izraelski wywiad - mimo stanowczych zapewnień Izraelczyków, że to nie oni - choćby tylko dlatego, że uderzenie zostało tak świetnie zaplanowane i przeprowadzone. Nazwisko Mughnijeha figurowało na niezliczonych listach najbardziej poszukiwanych terrorystów, między innymi na liście FBI, które obwiniało tego urodzonego w Libanie bojownika o dokonanie w 1983 dwóch zamachów bombowych: na koszary piechoty morskiej w Bejrucie oraz na tamtejszą ambasadę amerykańską. W drugim z tych ataków zginęło sześćdziesiąt osób, w tym ośmiu pracowników CIA.

Był to najstraszniejszy pojedynczy incydent w historii amerykańskiego wywiadu. I to właśnie Muchabarat - powiedział bin Zeid - dokonał zemsty za tę tragedię.

Jordański agent miał w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Od powstania współczesnego ruchu bojowników dżihadu jedną z największych tajemnic było to, kto zabił Abdullaha Azzama, czczonego palestyńskiego duchownego, który w latach osiemdziesiątych minionego wieku pomagał kierować antysowieckim powstaniem w Afganistanie[55]. Azzam był mentorem i nauczycielem Osamy Bin Ladena, ale w późniejszych latach posprzeczał się ze zwolennikami Bin Ladena o ich gotowość do rozlewania muzułmańskiej krwi „dla dobra sprawy”. Jego śmierć w 1989 roku od zdalnie naprowadzanej bomby w pakistańskim Peszawarze była dla świata

muzułmańskiego tym samym, czym dla Ameryki był zamach na Johna F. Kennedyego - fascynowała legiony zwolenników teorii spiskowych, którzy przypisywali zabójstwo Sowietom, Izraelczykom, Amerykanom, Pakistańczykom, Afgańczykom, a nawet samemu Bin Ladenowi. Bin Zeid oznajmił teraz bezbarwnym głosem, że również śmierć Azzama była dziełem Muchabaratu. Podał nawet nazwisko zabójcy: to jego bezpośredni przełożony Ali Burdżak, znany jako „Czerwony Diabeł".

„Jeśli zabijesz któregokolwiek z przywódców mudżahedinów, staniesz się ważnym człowiekiem w Jordanii, jak mój szef" - oświadczył bin Zeid.

Stało się jasne, na co liczył, a Al-Balawi, po pewnym namyśle, zdecydował się wysunąć swój pomysł: Mógłbym pojechać do FATA.

Propozycja roznieciła zażarte dyskusje w Muchabaracie i w ammańskim centrum kontrterrorystycznym prowadzonym wspólnie z CIA. Al-Balawi to żaden agent, to było oczywiste - nie miał przeszkolenia, nie mówił po pasztuńsku i trudno było uznać go za wiarygodnego po raptem kilku nocach w areszcie i paru obiadach czy kawach z bin Zeidem. Z drugiej strony niewiele było do stracenia.

Konsensus w kluczowych punktach osiągnięto szybko. Za parę tysięcy dolarów można było wyprawić Al-Balawiego do Pakistanu pod dość dobrym pretekstem. Na szczęście posiadał atuty, które od ręki zapewnią mu wiarygodność w kraju talibów, między innymi dyplom lekarza i internetowe drugie „ja". Zasadniczo będzie pracował w ciemno, a nagradzany w sposób znaczący będzie tylko w mało prawdopodobnym przypadku wydania kogoś ważnego. Nie dostanie żadnych wymyślnych gadżetów do porozumiewania się ani niczego, co zdemaskowałoby go jako szpiega, jeśli zostanie nakryty. Jeżeli zginie - co, jak szacowano, było wysoce prawdopodobne - to niewiele osób poza rodziną to zauważy czy będzie nad tym boleć.

Pojawiło się pytanie, dlaczego Al-Balawi miałby w ogóle brać pod uwagę porzucenie domu i pracy dla tak niebezpiecznej misji. Sądząc po jego zachowaniu na spotkaniach z bin Zeidem, odpowiedź była oczywista: dla pieniędzy. W raportach podsumowujących stosunek Al-Balawiego do ewentualnego zadania lekarz wydawał się oscylować między głęboką troską o własne bezpieczeństwo a nienasyconą ciekawością co do wysokości nagrody.

Teraz, kiedy w sprawie uczestniczyła CIA, logistyka podróży Al-Balawiego została opracowana w nadzwyczajnym tempie4. Al-Balawi potrzebował uzyskać w przyspieszonym trybie pakistańską wizę, dlatego sfingowano oficjalne zaproszenie dla jordańskiego lekarza na konferencję diabetologiczną w Pakistanie. Utworzono i przetestowano konta poczty elektronicznej. Obmyślono i zapamiętano szereg haseł.

Przydzielono mu także nowy kryptonim. Odtąd będzie znany nie jako „Panzer” - jak nazywał go bin Zeid - lecz pod pseudonimem wybranym przez CIA: „Wolf”.

CIA musiała podjąć zasadniczą decyzję: czy poinformować Pakistan, sojusznika Stanów Zjednoczonych, o planie umieszczenia tajnego agenta na jego suwerennym terytorium. W Langley szybko odrzucono ten pomysł. Najwyżsi rangą pracownicy CIA byli przekonani, że pakistańska agencja InterServices Intelligence miała w swoich szeregach agentów przychylnych Dżalaluddinowi Hakkaniemu, pasztuńskiemu watażce, który w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku cieszył się poparciem Islamabadu, a teraz wspierał rebelię w Afganistanie. Al-Balawi mógł zostać zdradzony i zabity, zanim zdąży rozpakować bagaże.

Ostatnim krokiem było uzyskanie biletów lotniczych. Zakupiono bilet w obie strony typu open, a bin Zeid wręczył go Al-Balawiemu osobiście razem z kopertą wypchaną dolarami.

Kilka miesięcy później niektórzy wysocy oficerowie CIA ciągle jeszcze nie mogli się nadziwić, jak szybko zrodził się ten plan i z jakim zapałem weterani Agencji uwierzyli, że nieprzeszkolony Al-Balawi może przeżyć w kraju bezprawia, jakim były FATA, nie mówiąc już o spenetrowaniu niebezpiecznej sieci terrorystycznej. Takie rzeczy nigdy nie działy się w ten sposób. Al-Balawi w szczęśliwym momencie zjawił się przed drzwiami Muchabaratu z niepowtarzalnym zestawem atutów - lekarz o nieposzlakowanej opinii (wśród bojowników dżihadu), najwyraźniej gotów zaryzykować życiem i to dokładnie w momencie, kiedy CIA i nowa administracja USA gorączkowo szukały nowych metod oraz agentów na przyspieszone, globalne polowanie na Osamę Bin Ladena.

„Balawi rzucił niby od niechcenia, że może jechać - powiedział emerytowany od niedawna wysoki urzędnik Agencji, który znał treść poufnych rozmów o Jordańczyku. - Tak się złożyło, że pięknie wpisał się w nasze priorytety”.

Humam Chalil Al-Balawi nie mógł zaznać snu. Dzień był niemiłosiernie skwarny, a temperatura nawet po zachodzie słońca ciągle nie schodziła poniżej trzydziestu stopni. Co jeszcze gorsze - kiedy leżał nieruchomo w ciemnościach, buczenie dronów narastało niczym bzyczenie natrętnego komara.

Do połowy lata Al-Balawi mieszkał w jednym z opasanych murami kompleksów klanu Mehsudów w Makinie, małej miejscowości z luźnym skupiskiem domów z cegły mułowej i sklepów, otoczonych wzgórzami porośniętymi karłowatą roślinnością. Kiedy przychodziła pora kłaść się spać, zabierał swoją matę na zewnętrzny dziedziniec i rozwijał ją w pobliżu jednego ze stanowisk strażniczych. W przyćmionym świetle rozpoznawał znajomą sylwetkę sparaliżowanego mężczyzny, na którego bojownicy mówili Ahmad5. Pasztun miał niesprawne nogi, ale uparł się pełnić straż i

nie chciał zejść ze stanowiska po zakończeniu swojej zmiany. Siedział w wózku inwalidzkim z karabinem na kolanach do samego świtu. Humam słyszał jego ciche modlitwy, niekiedy przerywane szlochem. Była to imponująca demonstracja pobożności w stylu talibów: doprowadzonej do bezsensownego ekstremum.

To samo dotyczyło Bajtullaha Mehsuda. Uwagę zwracały drobne sprawy, jak choćby jego zachowanie podczas wspólnych obiadów. Bajtullah z ostentacyjnym dramatyzmem osobiście rozdzielał najsmakowitsze partie mięsa swoim gościom, dopóki jemu samemu nie zostało nic oprócz kości i tłuszczu. Al-Balawi czuł się tym tak skrępowany, że szukał wymówek, aby nie jeść z gospodarzem.

Bajtullah Mehsud wydawał się też wierzyć w mit, że jest niepokonany. W ciągu dwóch lat, odkąd został przywódcą pakistańskichtalibów, polubił uwagę mediów i uwielbiał urządzać konferencje prasowe i prezentować przed kamerami głowę wartą ponoć przeszło pięć milionów dolarów, gdyby zsumować wyznaczone za nią nagrody. Między wyreżyserowanymi wydarzeniami prasowymi udzielał długich telefonicznych wywiadów, korzystając ze zwykłego połączenia - rozmawiał i śmiał się z dziennikarzami jakby niepomny tego, że CIA może posłużyć się sygnałem telefonicznym, żeby nakierować pocisk na jego obóz. W swojej bucie posuwał się do absurdalnych przechwałek, że jego mała banda niepiśmiennych, słabo uzbrojonych górskich bojowników jest gotowa do pokonania nie tylko Islamabadu, ale również wielkich zachodnich potęg.

„Modlimy się, aby Bóg dał nam możność zniszczenia Białego Domu, Nowego Jorku i Londynu - powiedział w wywiadzie telewizyjnym. - I ufamy Bogu. Bardzo niedługo staniemy się świadkami cudów dżihadu”[56].

Kreowana z uporem przez Bajtullaha jego rzekoma wyższość w każdej dziedzinie - od strategii wojskowej po bardziej przyziemne sprawy, takie jak rozdzielanie zysków z kontrabandy - stawała się zarzewiem gwałtownych sporów z innymi Mehsudami. Ten niepozorny mężczyzna czerpał przyjemność z podjudzania Hakkanich czy innych ugrupowań walczących i szukał zwady z pakistańską armią i wywiadem, na dobrą sprawę prowokując Islamabad do ścigania go. W końcu dopiął swego. Pewnego razu, po otoczeniu i wzięciu w niewolę całego garnizonu7 złożonego z dwustu pięćdziesięciu pakistańskich żołnierzy i członków jednostek paramilitarnych, rozpoczął wynegocjowaną wymianę jeńców od ścięcia głów trzem z przetrzymywanych przez siebie więźniów.

Jakże to było odległe od wyidealizowanej świętej wojny, którą propagował na swoim blogu Al-Balawi. Bajtullah Mehsud nie był rewolucjonistą ani prorokiem, tylko zbirem o mocno przerośniętym ego, mordercą lubującym się w zabijaniu innych muzułmanów. Rządził w brudnym, nędznym, zacofanym mieście, gdzie dziewczynki niewiele starsze od córki Al-Balawiego Leili były skazane na życie bez albo prawie bez żadnego formalnego wykształcenia i bez znaczących praw, w regionie, gdzie dzieci umierają w pierwszym roku życia trzykrotnie częściej niż w Jordanii, ojczyźnie Al-Balawiego.

Na tę jednak chwilę Bajtullah Mehsud był najlepszym przyjacielem Al-Balawiego. Ledwo byli w stanie się porozumieć - posługując się strzępami zdań po arabsku i w paszto - ale Bajtullah przekonał się o szczerości Jordańczyka. Sprawdził ją za pomocą wyjątkowo okrutnego testu.

Według wysokiego rangą przedstawiciela talibów w Pakistanie Al-Balawi miał użyć swoich bezpośrednich kontaktów z CIA do zorkiestrowania ataku na Bajtullaha Mehsuda - tylko że zamiast na przywódcę talibów, miał naprowadzić CIA na cel pozorny8. Miał

powiadomić Agencję, że Bajtullah będzie podróżował w dystrykcie Ladha, i opisać samochód, którym się będzie poruszał - model toyoty hatchback, który miejscowi talibowie ochrzcili mianem Ghwagai, „krowa”. Rzecz w tym, że w środku zamiast Bajtullaha miał siedzieć jeden z jego zaufanych kierowców. Wszystkie inne szczegóły dotyczące samochodu i jego trasy miały się zgadzać co do joty z opisem przekazanym przez Al-Balawiego CIA.

Według relacji dwóch wysokich rangą talibów wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Pocisk zmiażdżył samochód, zabijając mężczyznę odgrywającego przywódcę klanu Mehsudów. Lokalne media nigdy nie doniosły o tym incydencie, a CIA nigdy go nie potwierdziła. Wśród ludzi Bajtullaha natychmiast przeszedł on jednak do legendy.

Mehsud twierdził później, że kierowca został powiadomiony o planie i zgodził się poświęcić życie, żeby pomóc swojemu szefowi i przysłużyć się Al-Balawiemu, który starał się udowodnić swoją wartość przed CIA. Osobom z zewnątrz mogło się to wydawać bezsensownym marnowaniem ludzkiego życia, ale szef talibów przy tego typu decyzjach posługiwał się swoim własnym rachunkiem zysków i strat. Mawiał, że każda amerykańska rakieta rozświetlająca niebo nad Pakistanem jest jak plakat akcji werbunkowej: przyciąga do jego obozów kolejnych rozgniewanych młodych mężczyzn i chłopców.

„Każdy atak drona - powtarzał - przynosi mi trzech albo czterech zamachowców samobójców”[57].

5 sierpnia Bajtullah Mehsud z niewielką grupą zaufanych strażników przenieśli pod osłoną nocy swoją kwaterę do Zanghary, malutkiej miejscowości kilka kilometrów na wschód od twierdzy talibów w Makinie. Na skraju wsi znajdował się duży, dobrze mu znany kompleks budynków otoczony wysokim murem. Był to dom jego teścia Malika Ikramuddina

oraz młodej dziewczyny, która niedawno została drugą żoną Mehsuda. Mehsud, już trzydziestopięcioletni ojciec czterech dziewczynek, postanowił zrobić wszystko, by spłodzić męskiego potomka.

Nie wiedział, że nagrywany jest każdy jego ruch[58]. Dwa zestawy mechanicznych oczu - predatora i mniejszego drona unoszącego się na mniejszej wysokości - podążyły za nim do Zanghary i obserwowały, jak wchodzi do wiejskiego domu z cegły mułowej, gdzie się zatrzymał. Jeden z dronów ulokował się tak, żeby mieć dobry widok na zajmowany przez Mehsuda pokój na pierwszym piętrze. W Langley w stanie Wirginia, dziewięć i pół tysiąca kilometrów dalej, skrzydło kierownicze zelektryzowała seria pilnych komunikatów: potwierdzono tożsamość celu. Trafią bez pudła.

Znienacka jednak Mehsud wstał i zaczął dreptać po górnych piętrach domu w białym salwarkamizie. Pilot predatora i operator broni oderwali się od układu sterowania i wpatrzyli w monitory. Będą musieli poczekać.

Tej nocy było nieznośnie gorąco, a Mehsud był podenerwowany. Cukrzyca sprawiała, że ciągle chciało mu się pić, a nogi miał spuchnięte i obolałe. Tuż po północy otworzył małe drzwiczki i wyszedł na dach, a za nim podążyła druga postać w tradycyjnym stroju, niosąca sprzęt medyczny. Dach był skąpany w blasku księżyca w pełni, który oświetlał brodatego Mehsuda tak wyraźnie, jakby stał na scenie. Na dachu leżał mały materac. Mehsud podszedł do niego i legł na brzuchu, a druga postać uklękła obok i zaczęła przygotowywać coś, co wyglądało jak kroplówka. Analitycy CIA szybko doszli do wniosku, że druga osoba to lekarz. Czyżby Al-Balawi? To było bez znaczenia. Operatorzy predatora po raz drugi uzbroili pociski Hellfire.

Do ich wystrzelenia potrzeba było tylko ostatecznej zgody dyrektora CIA, ale był jeden drobny szkopuł. Panetta zezwolił na atak na sypialnię na

pierwszym piętrze, a Bajtullah Mehsud leżał na dachu. Zmiana nie była bez znaczenia: Panetta nalegał na maksymalne środki bezpieczeństwa, aby zapobiec śmierci osób postronnych, w szczególności kobiet i dzieci. A jeśli pocisk spowoduje zawalenie całego budynku? Panetta będzie musiał zatwierdzić zmianę albo nie. Musi decydować szybko, inaczej szansa może przejść im koło nosa.

Dokładnie w tym momencie Panetta przebywał nie w swoim biurze w CIA, lecz w centrum Waszyngtonu, na spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Białym Domu. Tuż przed godziną 16.00 czasu wschodnioamerykańskiego przeprosił zebranych i wyszedł na korytarz odebrać pilny telefon. Słuchał z grymasem na twarzy, wyraźnie zmartwiony. Przez kilka minut chodził tam i z powrotem z telefonem przy uchu, zadając pytania i sprawdzając szczegóły oraz dostępne możliwości. Według niektórych relacji w tym samym domu przebywało kilkadziesiąt osób, w tym matki z dziećmi.

„Czy dom się zawali? - pytał Panetta. - Co jest w środku? Czy są tam kobiety i jacyś członkowie rodziny?”.

Szef sztabu CIA Jeremy Bash i starszy doradca antyterrorystyczny przekazywali mu telefonicznie najświeższe doniesienia. Strzał był trudny - z odległości siedmiu tysięcy metrów - ale jak poinformowano Panettę, Agencja użyje mniejszego, mniej niszczącego pocisku. Cel zostanie namierzony z nadzwyczajną precyzją, a szkody będą minimalne.

Panetta wyraził zgodę.

W pakistańskiej wiosce była godzina pierwsza w nocy. Bajtullah Mehsud, przywódca pakistańskich talibów i główny protektor jordańskiego lekarza Humama Al-Balawiego, leżał na plecach, a płyn z kroplówki spływał do jego żył. U jego stóp para młodych dłoni - należących, jak domyślała się CIA, nie do lekarza, lecz do nowej żony terrorysty, masowała

jego spuchnięte nogi. Prawie nieświadomy buczenia dalekiego drona ani cichego syku pocisku mknącego przez nocne powietrze odetchnął głęboko i popatrzył w górę na gwiazdy.

Rakieta uderzyła w Mehsuda tam, gdzie leżał, nieco poniżej klatki piersiowej, przecinając go na pół. Niewielki ładunek wybuchowy eksplodował, odrzucając do tyłu jego żonę i żłobiąc mały lej w cegłach i tynku w miejscu, gdzie klęczała. Niezbyt donośny odgłos wybuchu odbił się echem od pobliskich wzgórz i zapadła cisza.

Drony unosiły się w górze jeszcze przez kilka minut, nadal z włączoną kamerą. Pospiesznie przygotowano raport i przekazano go Panetcie do Białego Domu.

Dwie potwierdzone ofiary śmiertelne, żadnych innych zgonów czy poważnych obrażeń. Budynek stoi.

ROZDZIAŁ 8
PRESJA

Langley, Wirginia - sierpień 2009

11 sierpnia, niecały tydzień po ataku rakietowym CIA, rzecznik prasowy talibów zadzwonił do pakistańskich dziennikarzy, żeby zdementować niedorzeczne plotki o śmierci Bajtullaha Mehsuda. Przywódca talibów jest „żyw, bezpieczny i zdrów”[59], oznajmił, dodając, że świat wkrótce ujrzy dowód.

Do tego dnia Leon Panetta zdążył już ujrzeć wszystkie dowody, jakie mógł znieść. Uderzenie pocisku, który zabił Mehsuda, zostało uwiecznione na filmie i odtworzone ponownie, w całej swojej makabryczności, na gigantycznym monitorze w biurze Panetty w Langley. Jakby tego było mało, pojawiło się drugie nagranie wideo, ukazujące ciało przywódcy talibów w trakcie przygotowań do pochówku. Zespół antyterrorystyczny CIA patrzył w twarz człowieka, który zginął z jego rozkazu, bladą i pogodną w prostej drewnianej trumnie, i na głowę spoczywającą na poduszce obsypanej nagietkami.

Dłoń niewidocznego krewnego głaskała twarz zmarłego, ocierając się o świeże blizny, którymi upstrzona była skóra wokół jego oczu i na czole.

Panetta nie miał czasu rozmyślać nad tymi obrazami. W tym tygodniu jego zespół był pochłonięty opracowywaniem propozycji, którą szef CIA

miał w nadchodzących dniach dostarczyć osobiście do Białego Domu[60]. Agencja miała jeszcze coś do załatwienia na obszarach plemiennych Pakistanu, a Panetta chciał osobiście zaapelować do prezydenta o pomoc. Z wielu tajnych planów, jakie zatwierdzał jako dyrektor CIA, żaden nie miał większych szans zmienić biegu wojny Ameryki z Al-Kaidą.

Skuteczne namierzenie Mehsuda tylko podkreśliło, jak pilną pracę mieli wciąż przed sobą. Przede wszystkim ciągle jeszcze nie odnaleziono nowej broni Mehsuda. Przez całe lato, kiedy CIA szukała przywódcy talibów, tysiące pakistańskich żołnierzy wspieranych przez śmigłowce bojowe przeczesywały położone w dolinach fortece talibów[61], wymiatając twierdze i kryjówki jedną po drugiej. Po zakończeniu kampanii Pakistańczycy siedzieli na stercie broni ręcznej i takiej ilości materiałów wybuchowych, która wystarczyłaby dla całej medresy zamachowców samobójców. Nie znaleźli jednak ani śladu brudnej bomby. Detektory promieniowania uparcie milczały. Szefowie wydziału antyterrorystycznego CIA całymi tygodniami dociekali znaczenia zaginionych bomb. Wielu niedobitków talibów uciekło do Północnego Waziristanu, aby schronić się u dominującej w tym regionie grupy bojowników - siatki Hakkanich. Czy zabrali ze sobą bomby? A może to wszystko było tylko zmyłką? Tajne raporty milczały na ten temat. W danych uzyskanych z nasłuchu nie było już wzmianek o broni nuklearnej, a w Waszyngtonie urzędnicy administracji Obamy nie wspomnieli o panice w związku z możliwością istnienia brudnej bomby. Oficjalnie było tak, jak gdyby groźba nigdy nie istniała.

Bardziej niepokojące było to, że frakcja talibów Bajtullaha Mehsuda szybko się przegrupowała i zbaczała na nową, niebezpieczną drogę. Atak rakietowy z 5 sierpnia spowodował chwilową lukę w przywództwie i

wywołał kilka krwawych rund walk ulicznych[62] pomiędzy kandydatami na następców Mehsuda, ale aktualnie władzę dzierżył pewną ręką charyzmatyczny kuzyn Bajtullaha - zuchwale ambitny Hakimullah Mehsud. Jednak podczas gdy Bajtullah zadowalał się przeprowadzaniem ataków na pakistańskich żołnierzy i policjantów, jego kuzyn był bardziej zaciekle antyamerykański, a przy tym bardziej skory wchodzić w sojusze z Al-Kaidą oraz z innymi ugrupowaniami bojowników atakującymi amerykańskie wojska w Afganistanie. Coraz więcej bojowników z klanu Mehsuda wstępowało do Armii Cieni Al-Kaidy, jednostki paramilitarnej kierowanej przez libijskiego dowódcę Abdullaha Saida alLibiego13. Formacja nosiła własne, łatwo rozpoznawalne mundury i przeprowadzała błyskawiczne rajdy na cele wojskowe po obu stronach granicy. Były to nowe oddziały szturmowe Al-Kaidy, które pozyskiwały fundusze i rekrutów z tak odległych miejsc jak Arabia Saudyjska i Kaszmir.

Dylemat Panetty miał z tym ścisły związek. Pociski CIA odnajdywały cele, ale to było za mało. Zabitych dowódców natychmiast zastępowali nowi, często młodsi, o bardziej radykalnych poglądach i międzynarodowych ambicjach. Al-Kaida szybko przystosowywała się do zmieniających się okoliczności i dowodziła coraz szerszą siecią oddanych zwolenników pochodzących z rozmaitych grup plemiennych działających w regionie. Tymczasem najwyżsi przywódcy tej organizacji, między innymi Bin Laden i jego dowódca operacyjny Ajman az-Zawahiri, koordynowali działania z bezpiecznych kryjówek. Trzeba było czegoś więcej, by ich stamtąd wypłoszyć.

Pod koniec lata i wczesną jesienią Panetta i jego zespół sfinalizowali szczegółowy plan, który dyrektor miał przedstawić prezydentowi oraz kierowanej przez niego Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, która od kilku miesięcy dokonywała przeglądu swojej strategii wobec Afganistanu.

Panetta miał długą listę życzeń, ale najistotniejszy był punkt pierwszy: więcej samolotów robotów - dużo więcej. Nie tylko predatorów, ale przede wszystkim nowszych, mocniejszych samolotów Reaper, wraz z operatorami i osprzętem do ich obsługi. Panetta chciał radykalnie zwiększyć presję na Al-Kaidę, nie tylko poprzez zastosowanie większej siły rażenia, ale też wzmożenie ogólnej inwigilacji. Chciał, żeby obserwowało region przez okrągłą dobę tyle ludzkich i mechanicznych oczu, aby wykryły ruchy nawet najmniejszych grup bojowników. Jak powiedział później dyrektor CIA, miała to być „najbardziej agresywna operacja w historii Agencji", a jej głównym celem miało być odnalezienie i wyeliminowanie siwobrodych starców, podstawowej przyczyny wszelkich kłopotów.

„Przywódcy Al-Kaidy - od Bin Ladena poprzez pierwszą dwudziestkę - znajdują się w miejscu, które jest naszym najważniejszym celem - powiedział Panetta. - A my jesteśmy czołem uderzenia".

W stosownym czasie Panetta pojechał do Białego Domu, aby osobiście wystąpić z żarliwą mową do prezydenta Obamy.

„Panie Prezydencie - zaczął - oto rzeczy, których potrzebuję do pełnego zrealizowania naszej misji" Następnie przeszedł do opisu prężności struktur Al-Kaidy na obszarach plemiennych oraz swojego planu zwiększenia presji i niepozostawiania terrorystom miejsca na ukrycie się albo dokonanie przegrupowania.

Obama dłuższą chwilę wpatrywał się w Panettę zamyślonym wzrokiem, po czym zwrócił się do swoich doradców:

„Zrobimy, jak chce Leon".

Dyskusja była zakończona.

Rozmieszczenie nowych „orbit" - jak nazywano systemy złożone z samolotów bezzałogowych i ich operatorów - miało potrwać kilka miesięcy, lecz Agencja niezwłocznie zaczęła przygotowywać się do wdrożenia

elementów nowego planu. Targeterzy CIA byli teraz potrzebni nie tylko w Langley, ale także bliżej linii frontu, by koordynować bardzo konkretne poszukiwania najwyższych przywódców Al-Kaidy.

Ograniczenia tej nowej strategii były zrozumiałe. Predator to imponująca maszyna, ale potencjał lotniczy i zaawansowana robotyka sprawdzały się tylko do pewnego stopnia w walce z rozproszonym wrogiem, ukrywającym się wśród miejscowej ludności pakistańskich obszarów plemiennych. Te same zdobycze techniki pomogły wprawdzie zmienić bieg wojny na niekorzyść rebeliantów w Iraku[63], ale tamta sytuacja różniła się pod jednym ważnym względem - w okupowanym przez Stany Zjednoczone Iraku komandosi amerykańskich sił specjalnych mieli wolną rękę i mogli poruszać się po kraju bez ograniczeń. Pracowali razem z dronami i mogli reagować na nowe dane wywiadowcze natychmiast, w dowolnej porze dnia czy nocy, rozmieszczając w terenie małe oddziały, które zabijały albo chwytały przestępców. W Pakistanie nie było mowy o czymś takim.

Był jeszcze jeden problem. Żeby wyeliminować grube ryby Al-Kaidy, CIA musiała je najpierw znaleźć. Osiem lat po atakach terrorystycznych na Nowy Jork i Waszyngton wysocy oficerowie amerykańskiego wywiadu ciągle nie mieli pojęcia, gdzie szukać głównego sprawcy zamachów.

Sytuacja była gorsza, niż opinia publiczna sądziła. W latach po 11 września 2001 kilku wysokich amerykańskich urzędników sugerowało w wywiadach, że CIA zna przybliżoną lokalizację kryjówki Bin Ladena. Te twierdzenia były w najlepszym razie pobożnymi życzeniami. Ostatnie wiarygodne doniesienie o tym, że widziano Bin Ladena, nadeszło w 2002 roku, krótko po tym jak saudyjski terrorysta uciekł ze swojej twierdzy Tora Bora na granicy afgańskiej do Pakistanu. Od tamtej pory nic: żadnych chybień o włos, żadnych namacalnych tropów, ani jednej konkretnej

wskazówki. W 2009 roku sekretarz obrony Robert Gates w przypływie szczerości przyznał w wywiadzie telewizyjnym, że „minęły całe lata", odkąd czynnie zajmowano się sprawą Bin Ladena.

„Nie wiemy na pewno, gdzie znajduje się Osama Bin Laden - powiedział Gates. - Gdybyśmy wiedzieli, dopadlibyśmy go"[64].

Co jakiś czas pojawiały się tropy, które rozbudzały na nowo zainteresowanie polowaniem. Jeden z bardziej obiecujących[65] miał związek z kurierem Al-Kaidy, który podobno przekazywał wiadomości między dowódcami operacyjnymi tej organizacji a Bin Ladenem, celowo unikającym telefonów i poczty elektronicznej. Prawie wszyscy targeterzy grupy, w tym Jennifer Matthews i Elizabeth Hanson, byli w ten czy inny sposób zaangażowani w poszukiwania kuriera. Po dwóch latach ciężkiej pracy i fortunnych zbiegów okoliczności Agencja wydedukowała w końcu w 2007 roku nazwisko tego człowieka; dwa lata później nie miała pojęcia, gdzie go znaleźć ani czy kurier w ogóle żył.

Niemożność odnalezienia Bin Ladena była łyżką dziegciu w beczce miodu, wielkim czarnym znakiem zapytania, który przyćmił największy sukces taktyczny w historii CIA - obalenie w 2001 roku talibów i rozgromienie Al-Kaidy w Afganistanie. Gdy bliźniacze wieże w Nowym Jorku jeszcze się tliły, Agencja poprowadziła tak ogromną ofensywę, że tylko kilkuset żołnierzom i garstce wyższych przywódców udało się uciec, a tysiące innych zginęły albo skończyły w więzieniach.

Porażkę talibów wyreżyserowała grupka oficerów CIA[66], którzy rwali się do pogoni za Bin Ladenem jeszcze na długo, zanim szef Al-Kaidy wysłał swoje drużyny porywaczy z rozkazem uderzenia samolotami w budynki w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Dzięki ich pracy w ciągu paru godzin od ataków 11 września 2001 dyrektor CIA George Tenet mógł

złożyć na biurku prezydenta Busha gotowy plan, który miał pozwolić Białemu Domowi przystąpić do ataku na Al-Kaidę w Afganistanie niezwłocznie, nie czekając, aż Pentagon zorganizuje konwencjonalną kampanię militarną. 13 września na spotkaniu z prezydentem J. Cofer Black, ówczesny dyrektor Centrum Antyterrorystycznego CIA, opisał, w jaki sposób formacja złożona z dowodzonych przez CIA komandosów oraz przyjaznych bojowników afgańskiego Sojuszu Północnego mogłaby w ciągu kilku tygodni pokonać autorów ataków z 11 września.

„Jak z nimi skończymy, muchy będą łazić im po oczach” - wypowiedział słynne słowa Black[67].

Bush zaaprobował plan i operacja „Jawbreaker” się rozpoczęła. Zaledwie trzy miesiące później, w grudniu 2001 roku, upadł rząd talibów, a CIA polowała na niedobitki ich armii w całym południowym i wschodnim Afganistanie. Bin Laden i pozostałości jego wojska w liczbie kilkuset lojalistów podjęli ostatnią próbę stawienia oporu w górskiej twierdzy Tora Bora na granicy pakistańskiej.

Ale gdy w Pentagonie debatowano, czy nie wysłać amerykańskich żołnierzy, żeby dokończyli dzieła, przywódca terrorystów uciekł, podobno po wypłaceniu łapówek afgańskiemu watażce. Przekradł się przez linię proamerykańskich afgańskich bojowników i poszukał schronienia w Dżalalabadzie i w wioskach wschodnich prowincji Kunar i Chost. Przez krótki czas gościł u Dżalaluddina Hakkaniego, afgańskiego watażki i dawnego towarzysza z czasów wojny z Sowietami, po czym zniknął na dobre wśród pakistańskich wzgórz.

Przywódca numer dwa w Al-Kaidzie uciekł konno do Pakistanu inną trasą. W następnych latach sporadycznie odnotowane pojawienia się Ajmana az-Zawahiriego powodowały, że podejmowano gorączkowe działania, doszło też do nieudanej próby schwytania albo zabicia go. Bin

Laden pokazywał się tylko na nagraniach wideo, z brodą dłuższą i bardziej siwą niż zazwyczaj i w tradycyjnych szatach oraz w arabskiej kefiji zamiast, jak do tej pory, munduru polowego maskującego. Oficjalnie poszukiwania tego terrorysty trwały, ale w praktyce brakowało wskazówek czy tropów, którymi można by podążyć.

Jednostka CIA o kryptonimie „Alec Station", założona specjalnie po to, aby szukać Bin Ladena, stopniowo traciła swoich targeterów, którzy przechodzili do innych jednostek polujących na pomniejsze figury Al-Kaidy i lokalnych przywódców talibów. W 2005 roku zamknięto ją na dobre.

Nowe predatory Panetty przybyły do Afganistanu dopiero pod sam koniec roku. Na razie Agencja wysyłała do bazy w Kabulu dziesiątki nowych oficerów, w tym swoich najlepszych targeterów. Była wśród nich Elizabeth Hanson.

Trzydziestoletnia główna targeterka właśnie przechodziła nadzwyczajną passę - rozpracowała przeszło tuzin głośnych spraw, które zakończyły się eksplozjami pocisków Hellfire na pakistańskich obszarach plemiennych. Pomogła CIA zlokalizować niektórych z największych graczy w świecie dżihadu, od Usamy al-Kiniego po Bajtullaha Mehsuda. Teraz wydelegowano ją do Afganistanu w ramach nasilonej kampanii poszukiwania największych nazwisk.

W Kabulu, gdzie przyjechała w sierpniu, przywitała ją gryząca mieszanka zapachów, pyłu i potwornego skwaru. Przestrogi matki nadal dźwięczały jej w uszach. Pani Hanson, także nosząca imię Elizabeth, była bardzo nieszczęśliwa, kiedy jej córka wstąpiła do CIA, a jej decyzję o przenosinach w tak niebezpieczne miejsce jak Afganistan przyjęła ze zgrozą. Całymi tygodniami próbowała jej to wyperswadować i nie przestała się zamartwiać nawet wtedy, gdy stało się jasne, że nie ma odwrotu.

„Nie uważasz, że powinnaś przynajmniej nauczyć się karate, zanim tam pojedziesz?” - zapytała pani Hanson na dzień przed jej wyjazdem.

„Mamo, jeśli przyjdzie taki czas, że będzie nam potrzebne karate, to gra będzie już skończona” - odparowała córka.

To była cała Elizabeth - dla rodziny Bitsy albo Monkie - nieznośnie uparta, ale też kpiarska, co sprawiało, że trudno było się na nią dłużej gniewać. Pani Hanson nie miała wyboru i musiała pozwolić jej jechać, ale kazała córce dzwonić do domu prawie codziennie i na wypadek złych wieści - zawsze nosiła przy sobie telefon.

W istocie matka Elizabeth Hanson spodziewała się tego dnia od dawna. Kiedyś, w wieku około czterech łat, Bitsy klapnęła sobie na krzesełku przy stole w jadalni i oznajmiła bardzo dojrzałą angielszczyzną, że pragnie „spróbować w życiu wszystkiego i nauczyć się wszystkiego, co jest do nauczenia”. Po tych słowach podniosła kryształową czarę z wodą z lodem i ugryzła ją tak mocno, że roztrzaskała szkło.

„Szkło pękło jej w buzi - wspominała matka. - Ale nie speszyło jej to”. Wiele lat później wstąpiła do CIA z tego samego powodu, bardziej ceniąc sobie romantyzm i przygodę niż łatwe pieniądze, które mogła zarobić jako absolwentka prywatnej szkoły średniej i studiów z ekonomii. Była na wskroś kobieca, uwielbiała dzieci i doceniała ładne ciuchy czy dobry manikiur, jednak skwapliwie korzystała z każdej okazji ubrudzenia sobie rąk, czy to podczas wspinaczki wysokogórskiej albo skoków na bungee, czy to podczas strzelania z granatników i brnięcia przez błoto w akademii szkoleniowej CIA. Była zdeklarowanym nerdem i w wolnych chwilach czytywała podręczniki do fizyki, a przy tym miała tak duże wrodzone poczucie humoru, że przyjaciele namawiali ją - całkiem serio - żeby została komikiem estradowym. Taka kariera mogłaby bardziej zadowolić jej matkę,

gdyby nie to, że - jak wyjaśniła pani Hanson - jej gust komiczny nie był zbyt „odpowiedni dla damy”.

Pomysł ochotniczej służby w Afganistanie pasował do awanturniczej strony osobowości Hanson i jak wspominają jej przyjaciele, Elizabeth była zachwycona, że ma szansę tam pojechać. Jednak życie nawet w stosunkowo bezpiecznej afgańskiej stolicy niosło poważne ryzyko - zamachowcy samobójcy co jakiś czas taranowali wojskowe konwoje, a bandyci wpadali z bronią do pięciogwiazdkowych hoteli. Hanson miała pracować i mieszkać w bazie CIA mieszczącej się w ultrabezpiecznej ambasadzie USA, lecz jej praca wymagała spotykania się od czasu do czasu z informatorami za opancerzonymi bramami. Hanson znów była targeterką, ale teraz miała kierować skoncentrowaną akcją poszukiwania i eliminowania najwyższych przywódców Al-Kaidy i ruchu talibów - w tym Bin Ladena i az-Zawahiriego - mózgów afgańskiej rebelii, szykujących kolejne ataki terrorystyczne na kraje Zachodu.

Matka nigdy nie wypytywała Elizabeth o szczegóły jej pracy, ale wiedziała z grubsza, w czym rzecz, i nie pojmowała, jak jej córka jest w stanie przyzwyczaić się do pracy, która pociąga za sobą konieczność zabijania innych istot ludzkich, nawet terrorystów. Czasem pytała ją o to.

Jeśli chodzi o poglądy polityczne, Hanson skłaniała się na lewo i jak wspominała jej matka, „nienawidziła wojny”. Mimo to, jak się wydawało, nie miała żadnych wątpliwości, gdzie jest jej miejsce.

„To było dla niej bez znaczenia, czy popiera wojnę czy nie - opowiadała pani Hanson, przytaczając słowa córki: - Nie wolno uchylać się od walki i trzeba opiekować się ludźmi, którzy tam są i walczą za ciebie”.

Zwykle sprowadzało się to do tego, że - jak według pani Hanson mawiała Elizabeth - „to po prostu obowiązek”.

Hanson szybko przywykła do codziennego rytmu swojej nowej pracy. Jej mieszkanie w Kabulu składało się z malutkiego pokoiku ze wspólną łazienką i trudno było tam doświadczyć życia towarzyskiego, więc pracowała - czternaście godzin na dzień, siedem dni w tygodniu. Obiad i lunch przy biurku, po południu przerwa na siłownię. Przepracowywała cały dzień, zanim Langley się budziło, i jeszcze jeden cały dzień, kiedy wyżsi oficerowie Centrum Antyterrorystycznego siedzieli przy biurkach, zadawali pytania i domagali się najświeższych informacji.

Cele Hanson były teraz bliżej, zaledwie o pół godziny lotu helikopterem na wschód, ukryte w stromych wąwozach prowincji Kunar i Chost oraz na położonych jeszcze dalej pakistańskich obszarach plemiennych. Bajtullah Mehsud został unieszkodliwiony, ale jego sługusi ciągle jeszcze tam byli. Podobnie jak klan Hakkanich i lojalni wobec Al-Kaidy żołnierze oddziałów paramilitarnych Armii Cieni. W jednej z górskich wiosek szejk Said al-Masri przygotowywał swój następny krok, być może w porozumieniu z Ajmanem az-Zawahirim albo nawet samym Bin Ladenem.

Jeśli to w ogóle możliwe, Elizabeth Hanson ich odnajdzie.

ROZDZIAŁ 9
SZEFOWA

Chost, Afganistan - 19 września 2009

O 4.58 rano, dwie godziny przed wschodem słońca, obudził Jennifer Matthews donośny huk. Wybuch rozbrzmiał blisko - w ciemnościach trudno to było ocenić, a Matthews nie była przyzwyczajona do takich rzeczy - i był na tyle silny, że zatrzęsły się ramki ze zdjęciami w jej baraku. Instynktownie wygramoliła się z łóżka, chwyciła kamizelkę kuloodporną i hełm, wyszła z pokoju i pospieszyła w kierunku schronu. Atak rakietowy.

Na zewnątrz w tę samą stronę zmierzały inne postacie. Niektóre z nich pozdrawiały ją ponuro. Ciemne niebo było usiane gwiazdami, bez śladu księżyca, bo był akurat nów, który wieczorem miał wyznaczyć koniec miesiąca postu ramadanowego. Gdzieś w mieście muezzin ogłaszał przedporanne wezwanie do modlitwy, a jego melodyjny baryton wznosił się i opadał na tle skrzeków i bipnięć głośników używanych w bazie w sytuacjach awaryjnych.

Matthews czuła ciężkość powietrza, ciągle jeszcze ciepłego, nawet o tej godzinie. Reflektory lotniska błyszczały żółto przez pylistą mgłę, rzucając blade światło na spalony słońcem teren za ogrodzeniem.

W głębi doliny niczym dalekie konstelacje lśniły skupiska światełek z bazy wojskowej Salerno.

Był to zachwycający i osobliwie sielski widok. Bojownicy Hakkanich, którzy co jakiś czas ostrzeliwali bazę z moździerzy, rzadko w cokolwiek trafiali, toteż pospieszne spotkanie w betonowym schronie było na ogół traktowane jako drobna niedogodność i szansa wysłuchania najnowszych ploteczek. Ledwie dobę od rozpoczęcia nowej pracy jako szefowa bazy Chost Matthews była jednak zafascynowana nawet najmniejszymi drobiazgami. Może brzmiało to dziwnie, zwłaszcza w odniesieniu do kobiety, która tydzień wcześniej była mamą z przedmieść, pracującą w eleganckim biurowcu w północnej Wirginii, ale Matthews była podekscytowana pobytem w Afganistanie.

„To niesamowicie podniecające” - powiedziała bliskiemu przyjacielowi z Agencji zatrudnionemu w Langley. Afgańska misja miała zabrać rok z jej życia, a dzieci Matthews miały spędzić większość tego czasu bez niej. Wiedziała, że będzie jej brakowało dwunastu miesięcy meczów i całusów na dobranoc, bólów brzucha i szkolnych projektów, recitali i rodzinnych obiadów. No i Bożego Narodzenia. Matthews zgłosiła się jednak na to stanowisko zupełnie dobrowolnie i zdecydowała się wykorzystać to doświadczenie do ostatka. Zamierzała też w miarę możliwości cieszyć się każdą chwilą, nawet wizytami w schronie w środku nocy.

Ta na szczęście była krótka, bo nie było więcej eksplozji. Załoga śmigłowca krążącego nad bazą z reflektorem poszukiwawczym znalazła rozrzucone części ciała i szybko skojarzyła, w czym rzecz. Samotny mężczyzna zakradł się głównym podejściem do bazy w bezksiężycowych ciemnościach i próbował zakopać IED, improwizowany ładunek wybuchowy, w pobliżu obniżenia na drodze, gdzie za kilka godzin miały przejeżdżać konwoje. Bomba jednak wybuchła przed czasem, rozrzucając szczątki mężczyzny na autostradzie. Prawie identyczny incydent wydarzył się w pobliżu tego samego miejsca kilka miesięcy wcześniej, tyle że

zakończył się śmiercią nie jednego, lecz dwóch niedoszłych zamachowców, z których jeden był nauczycielem.

Takie ataki paradoksalnie utwierdzały Matthews w przekonaniu, że przebywanie w tym niebezpiecznym miejscu nie jest aż tak ryzykowne. W bazie Chost będzie bezpieczna[68] - jak powiedziała zmartwionym krewnym i przyjaciołom - ponieważ nie ma zamiaru wychodzić poza zasieki. Lokalne grupy bojowników dżihadu, które będą raz na jakiś czas próbować brać ich na cel, nie są prawdziwym zagrożeniem.

„Powiedziała kiedyś: »Ze względu na dzieci nie stać mnie na to, żeby narażać się na niebezpieczeństwo« - wspominał kolega z CIA, który spotkał się z Jennifer kilka tygodni przed jej wyjazdem i myślę, że szczerze w to wierzyła".

Matthews zdążyła już dojść do wniosku, że życie w strefie działań wojennych nie jest takie złe. Swój tymczasowy afgański dom zobaczyła po raz pierwszy z okna kołyszącego się helikoptera Black Hawk pod koniec półgodzinnego przelotu z Kabulu. Miasto i baza CIA przycupnęły na wysokim płaskowyżu otoczonym ciemnobrązowymi wzgórzami, a okolica przypominała jej częściowo amerykański Południowy Zachód. „Ciągle zdawało mi się, że zza wzgórza wyłoni się Marlboro Mań' - żartowała w emailu do koleżanki z Wirginii.

Ziemia miała surową urodę z rodzaju tych, które najlepiej podziwia się z powietrza. Na północy, widoczne z bazy w bezchmurne dni, wznosiły się ośnieżone szczyty Safed Koh („Białych Gór"), skrywające osławioną twierdzę Al-Kaidy Tora Bora, skąd Osama Bin Laden uciekł w 2001 roku. Niewidzialna linia oddzielająca Afganistan od Pakistanu biegła wzdłuż grzbietu niskich wzgórz, zaledwie trzydzieści kilometrów na wschód. Teren dzielący bazę od granicy wydawał się porośnięty niemal bujną, jak na warunki afgańskie, roślinnością: nawadniane pola i rozproszone drzewa

kontrastowały z nieubłaganym brązem dużej części kraju w gorących miesiącach.

Miasto Chost, zamieszkane przez sto sześćdziesiąt tysięcy w większości rdzennych Pasztunów, w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku było przez cztery lata oblężone przez wojska sowieckie i co niezwykłe, przetrwało prawie nienaruszone. Wydawało się nie zrujnowane, tylko zwyczajnie biedne - labirynt brudnych domów z cegły mułowej i sklepów, z raptem jednym godnym uwagi budynkiem publicznym, eleganckim meczetem o turkusowej kopule, zbudowanym przez Dżalaluddina, patriarchę klanu Hakkanich. Od wschodu do miasta przylegało betonowe, rozległe lotnisko i baza CIA: amerykańska wysepka odgrodzona od goszczącego ją kraju koncentrycznymi kręgami barier HESCO - udoskonaloną wersją worków z piaskiem stosowaną we wszystkich amerykańskich instalacjach militarnych w Afganistanie - i zasiekami z drutu kolczastego. Kilka podupadłych reliktów sowieckiej okupacji ciągle stało, między innymi wzniesiona przez Rosjan przysadzista dwukondygnacyjna wieża kontrolna służąca teraz za stanowisko obserwacyjne i jakiś tuzin wraków samolotów z lat osiemdziesiątych, które nadal zalegały po jednej stronie pasa startowego. Większość nowszych budowli stanowiły prefabrykowane budynki militarne, między innymi kontenery towarowe przekształcone w improwizowane koszary. Wszystkie elementy krajobrazu, te naturalne i te stworzone przez człowieka - budynki, ulice, domy, pojazdy, mundury - były w stonowanych odcieniach beżu i brązu, zmatowiałych od wszechobecnego pyłu.

Baza oferowała nie tylko poczucie bezpieczeństwa, ale i ponadprzeciętne udogodnienia. W stołówce podawano zaskakująco dobre jedzenie - w piątki homara i nóżki kraba. Odbiornik satelitarny w głównym pokoju rekreacyjnym nadawał mecze koszykówki i futbolu na żywo, a

także najnowsze produkcje Hollywood. Po godzinach pracy specjalny bar przyciągał tłumy oficerów prywatnym składem win i doskonale schłodzonym piwem. Siłownia bazy lśniła od najnowszego sprzętu do fitness - od trenażerów eliptycznych po stojaki z olimpijskimi sztangami.

Matthews była biegaczką i szybko wyrobiła sobie nowy nawyk: zaraz po wschodzie słońca wkładała adidasy i robiła rundkę wokół lotniska z eklektyczną grupą oficerów wojskowych i CIA, która nadała sobie nazwę Klubu Biegaczy z Chostu. Po treningu wracała do „przyczepy” i do jednego z najwspanialszych dodatkowych udogodnień przyznanych jej jako najwyższemu rangą oficerowi w bazie: prywatnej łazienki. Matthews negocjowała twardo, żeby zapewnić sobie dodatkową prywatność, chyba najbardziej pożądany luksus.

Ze swojego pokoju do biura CIA miała raptem kilka kroków, nie jak w domu - dwie godziny jazdy autostradą międzystanową i stania w korkach na stołecznej obwodnicy. Problemem, i to zdecydowanie najtrudniejszym, było jednak przystosowanie się do nowej roli. Tematykę swojej pracy - Al-Kaidę i rebelię talibów - znała dobrze, miała też doświadczenie w kierowaniu ludźmi. Teraz jednak dowodziła Amerykanami i Afgańczykami tam, gdzie bomby i kule były prawdziwe. Pierwszy raz w jej karierze trudne wybory zawodowe, przed jakimi stawała, decydowały o życiu i śmierci jej podwładnych.

Tak jak do tej pory Matthews odpowiadała przed swoimi przełożonymi w Langley, ale teraz miała do czynienia z nowymi partnerami, którzy myśleli inaczej i mieli inne priorytety niż CIA. Byli to żołnierze: wysokie szarże z Pentagonu i NATO w Kabulu, dowódcy polowi z Chostu i okolic oraz - najbliższe jej - zespoły Sił Specjalnych operujących poza bazą. Komandosi mieli tendencję do gwiazdorzenia: byli przesadnie pewni własnych umiejętności i przyzwyczajeni do tego, że traktowano ich jak

elitę. Naturalnie trzymali sztamę ze swoimi pobratymcami z Sił Specjalnych w obrębie CIA, w tym z niektórymi z oficerów paramilitarnych z Oddziału Akcji Specjalnych CIA (Special Activities Division, SAD), jak również zespołem ochrony bazy, między innymi z Zielonymi Beretami i członkami formacji Navy SEAL zatrudnionymi teraz w firmie Blackwater. Niektórzy z nich odnosili się pogardliwie do CIA w ogóle, drwiąc z nowo przybyłych, że to „dzieci" albo jajogłowe Clowns In Action. Nie chodziło tylko o to, że CIA brakowało umiejętności wojskowych; wielu jej pracowników, jak twierdzili oficerowie wojska, kiepsko znało miejscowy język i kulturę, i prawie nie wystawiało nosa poza teren bazy.

Niechęć była odwzajemniona. Oficerowie prowadzący i analitycy skarżyli się prywatnie na komandosów, że to „mięśniaki" i „szklarniowe kwiaty" o ego proporcjonalnym do ich napompowanych bicepsów. Oba te poglądy opierały się na stereotypach, ale Matthews była bardzo wrażliwa na męski sceptycyzm co do jej umiejętności. Zmagała się z tym przez całe swoje życie zawodowe.

Kiedy 3 stycznia 1989 roku Jennifer Matthews zaczęła pracę w CIA, Agencja była ciągle jeszcze zdominowana przez mężczyzn. W tym samym dniu amerykański wywiad zasiliły trzy inne kobiety i cała czwórka szybko zdecydowała, że musi trzymać się razem - „jedyne kobiety w morzu mężczyzn"[69], jak wspominała później jedna z członkiń tego kwartetu.

Traf chciał, że wyglądały podobnie: wszystkie były białe, około dwudziestopięcioletnie, mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała, wszystkie miały brązowe włosy i nosiły ciuchy w rozmiarze 38. Kiedy przyjeżdżały razem do pracy - a robiły to często - oglądali się za nimi wszyscy zapięci pod szyję faceci w korytarzach Langley.

Wszystkie cztery chodziły razem na lunche do stołówki, wyjeżdżały na wspólne wakacje, a nawet planowały swoje wesela. Matthews poczuwała

się do roli liderki, ponieważ była o kilka tygodni starsza od pozostałych. Miała też największe ambicje. Kiedy podczas spotkania informacyjnego pytano nowych rekrutów o ich plany na przyszłość, Matthews odpowiedziała bez wahania: „Zamierzam zostać DCI” - dyrektorem centrali wywiadu.

Tego rodzaju nieskrępowana ambicja i przeświadczenie, że siłą woli i ciężką pracą można pokonać każdą przeszkodę, była jej znakiem firmowym od zawsze. Jako mała dziewczynka, średnia z trójki dzieci operatora maszyny drukarskiej i pielęgniarki na robotniczym przedmieściu Harrisburga w Pensylwanii, siedziała z nosem w książkach, kiedy jej koleżanki uganiały się za chłopakami i imprezo wały. Dorastała z silnym pierwiastkiem feminizmu i wiarą, że to wola Boga ostatecznie kształtuje wszelkie ludzkie przeznaczenie. W dzieciństwie i później, w latach dorastania, jej świat obracał się wokół niewielkiej fundamentalistycznej społeczności chrześcijańskiej, która wierzyła zarówno w patriotyzm, jak i w dosłowną interpretację Biblii. Z wiekiem jej wiara ewoluowała, ale Matthews do końca życia uważała się za żarliwą chrześcijankę.

Po ukończeniu liceum zaczęła studia na Cedarville w zachodnim Ohio, małym baptystycznym uniwersytecie szczycącym się nauczaniem kreacjonistycznego podejścia do nauki. Matthews studiowała tam medioznawstwo i poznała takiego samego amatora biegów przełajowych jak ona, bardzo religijnego studenta chemii o nazwisku Gary Anderson, którego później poślubiła. Oboje dostali się na pobliski Miami University of Ohio, gdzie Matthews zdobyła tytuł magistra nauk politycznych. Pracowała krótko jako praktykantka adwokacka, zanim - za namową krewnego, który pracował w wywiadzie - zdecydowała się popróbować swoich sił w CIA.

W tamtym czasie bardzo niewiele kobiet mogło wstąpić do elitarnego bractwa oficerów prowadzących, więc Matthews i jej trzy nowe

przyjaciółki zatrudniły się na stanowiskach tradycyjnie otwartych dla kobiet. Matthews została analitykiem obrazów i spędzała wiele godzin nad zdjęciami satelitarnymi domniemanych fabryk broni w Libii. Jako osoba z wrodzonym talentem pisarskim objęła później funkcję oficera raportowego i przekładała surowe dane wywiadowcze na zwięzłą prozę.

Nawet tam jej siłą napędową był wewnętrzny przymus przyćmiewania otaczających ją mężczyzn, by zapewnić sobie akceptację, jak wspominała koleżanka z pracy należąca wtedy do grona jej bliskich przyjaciół.

„Pracowałyśmy długie, ciężkie godziny. Starałyśmy się bardziej, niż było trzeba. I stale prześcigałyśmy naszych męskich odpowiedników" - opowiadała przyjaciółka, która podobnie jak Matthews została w końcu tajną agentką o chronionej tożsamości.

Matthews na krótko wyjechała do Genewy, gdzie jej mąż pracował dla szwajcarskiej firmy. Później jednak oboje przyjęli typowo podmiejskowaszyngtoński styl życia, które organizowali sobie w dużej mierze pod kątem jej kariery zawodowej. Ponieważ pracowali w różnych miastach - Matthews na przedmieściach Waszyngtonu, jej mąż w Richmond - kupili dom położony mniej więcej w połowie drogi między jednym a drugim, niedaleko Fredericksburga w stanie Wirginia, i dziennie pokonywali w drodze do pracy ponad sto sześćdziesiąt kilometrów. Matthews zachowała swoje nazwisko panieńskie, a kiedy pojawiły się dzieci, zatrudniła z mężem nianie, by móc jak najszybciej wrócić do pracy Przyjaciele mówią, że uwielbiała trójkę swoich dzieci, ale była zaprogramowana na pracę. Gdyby została w domu, czułaby się tak samo obco, jakby wyrosły jej płetwy i zamieszkała w oceanie.

„Pod tym względem była zdecydowanie feministką, ale jednocześnie miała skrajnie tradycyjne poglądy na małżeństwo i rodzinę - wspominał przyjaciel z Agencji. - Była pogodzona z tą dychotomią i potrafiła oddzielać

od siebie różne części swojego życia. Między innymi dlatego była tak dobrym analitykiem”.

Po powrocie ze Szwajcarii w 1996 roku Matthews wróciła do pracy w Agencji, ale z zupełnie innymi aspiracjami. Przeniosła się z wydziału analitycznego do Dyrektoriatu Operacji, części CIA kierującej tajnymi misjami za granicą. Nowe stanowisko wymagało wielu tygodni surowych szkoleń na obozie dla rekrutów CIA znanym jako Farma. Ostatecznie musiała też zrzec się swojego nazwiska i zostać „tajnym oficerem”. Podobnie jak w wypadku koleżanki z wydziału operacyjnego Valerie Plamę, która w niedługim czasie miała zostać sławna, jej tożsamość była tajemnicą państwową.

Matthews tak naprawdę odnalazła się w CIA dopiero wtedy, gdy dołączyła do małej jednostki wydziału antyterrorystycznego znanej w świecie jako Alee Station. Składała się ona z oficerów różnych specjalizacji, z poświęceniem studiujących mało znane islamskie ugrupowanie terrorystyczne, które określało się jako Baza - Al-Kaida. Kiedy Matthews zaczęła tam pracę w 1996 roku, jednostkę tę uważano w CIA za nieistotną. Organizacje terrorystyczne były traktowane jako drugorzędne zagrożenie, a Al-Kaida grała drugie skrzypce w porównaniu z lepiej finansowanymi Hezbollahem i Hamasem. Sytuacja zaczęła jednak ulegać zmianie w 1998 roku, kiedy Al-Kaida przeprowadziła jednoczesne ataki na dwie amerykańskie ambasady - w Kenii i Tanzanii - zabijając ponad dwieście dwadzieścia osób. Za sprawą tych ataków Bin Laden natychmiast wylądował na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez FBI. Alee Station i jej analitycy nagle stali się bardzo potrzebni.

Oficerowie wpadli w taką zbiorową obsesję na punkcie Al-Kaidy, że w żartach mówili o sobie „rodzina Mansonów”. Najtrudniej było przekonać władze w Waszyngtonie, że Osama Bin Laden jest zagrożeniem dla samej

Ameryki. Kierowani przez przełożonego Matthews, nieowijającego w bawełnę analityka Michaela Scheuera, zyskali w końcu poparcie kierownictwa CIA, w tym dyrektora George a Teneta i Cofera Blacka, który szefował Centrum Antyterrorystycznemu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku oficerowie opracowali plany zabicia Bin Ladena[70] i wypędzenia z Afganistanu innych terrorystów, jego sprzymierzeńców, przy pomocy przyjaznych bojowników afgańskich oraz nowo zakupionego przez Agencję bezzałogowego aparatu latającego o nazwie Predator. Administracja Clintona nie wykorzystała jednak szansy zabicia Bin Ladena w 1999 roku, a nowa administracja Busha zbywała pilne prośby Teneta o podjęcie działań i odłożyła wszelkie znaczące dyskusje o polityce wobec Al-Kaidy do 4 września 2001 roku. Siedem dni później samoloty pasażerskie przejęte przez wyszkolonych przez Al-Kaidę porywaczy uderzyły w wieże World Trade Center i w Pentagon.

Dzień ataku miał być w Langley zwykłym dniem pracy. O 8.46, kiedy pierwszy samolot uderzył w Wieżę Południową World Trade Center, wielu pracowników CIA właśnie przychodziło do biura. Gdy siedemnaście minut później uderzona została druga wieża, z wszystkich piersi wydobyło się głośne westchnienie: To Al-Kaida.

Cofer Black, dyrektor wydziału antyterrorystycznego CIA, domyślając się, że centrala Agencji może znajdować się na liście celów terrorystów, polecił większości pracowników opuścić budynek, a sam, wraz z analitykami z Alec Station, został na stanowisku i zabrał się do pracy. Niektórzy z nich zobaczyli się z najbliższymi dopiero po kilku dniach.

„Jesteśmy w stanie wojny, wojny innej niż te, które prowadziliśmy kiedykolwiek w historii” - oznajmił Black swojemu zespołowi, przygotowując się do wydania „rozkazu do wymarszu”. „Wszyscy będziemy musieli zrobić, co do nas należy. Nie wszyscy z nas powrócą“.

Serdeczni przyjaciele Matthews wspominają, że przeżycia tych tygodni zmieniły ją na zawsze. Już przed 11 września pracowała do późna z kolegami z Alee Station, usiłując rozpracować spisek Al-Kaidy, który w ich przekonaniu się szykował, ale po atakach przesypiała się w fotelu w biurze i nie wracała do domu całymi dniami. Spodziewała się właśnie trzeciego dziecka, ale wyczerpana fizycznie w końcu poroniła - podejrzewała, że przyczyną tego nieszczęścia był stres związany z pracą. Pracowała jednak dalej bez wytchnienia, przypominając znajomym raz po raz, że lada chwila na pewno nastąpi kolejny atak i tylko CIA ma środki, żeby do niego nie dopuścić. Tam gdzie w grę wchodziła Al-Kaida, Matthews, jak ujął to przyjaciel z CIA, „nie szła na żadne kompromisy".

Matthews była jednym z pierwszych oficerów, którzy otrzymali wymyślony niedawno tytuł targetera, i zajęła nowo utworzone stanowisko w wydziale antyterrorystycznym Agencji. W niedługim czasie dostała też niebagatelną sprawę: miała prowadzić poszukiwania autora planów logistycznych Al-Kaidy, człowieka o pseudonimie „Abu Zubajda". Zubajda, Palestyńczyk, naprawdę nazywał się Zajn alAbidin Muhammad Husajn i przed 11 września kierował obozem dla dżihadystów w pobliżu Chostu. Przez lata wspomagał szkolenie i ułatwiał przemieszczanie się dziesiątkom bojowników Al-Kaidy w Afganistanie. Matthews uważała, że Zubajda zna szczegóły planów drugiej fali ataków Al-Kaidy na Stany Zjednoczone, i namówiła swoich przełożonych z CIA, aby pozwolili jej stworzyć zespół - złożony z nowo przyjętych oficerów wywiadu - który miał koordynować globalne poszukiwania tego człowieka.

Matthews zorganizowała swoje biuro w małej salce konferencyjnej, gdzie szybko zapanował nieopisany ścisk. Jej zespół pracował przy komputerach łokieć w łokieć całymi tygodniami, aż wreszcie, w marcu 2002 roku, nastąpił przełom: odnaleziono kryjówkę Zubajdy w

pakistańskim Fajsalabadzie. 28 marca pakistańscy i amerykańscy oficerowie wywiadu zrobili nalot na dom i ujęli mężczyznępo strzelaninie, w której odniósł poważne rany. Był to pierwszy znaczący agent Al-Kaidy zwinięty przez CIA.

W ciągu kilku dni po aresztowaniu Zubajda przekazał amerykańskim śledczym informację o przełomowym znaczeniu dla wywiadu - ujawnił tożsamość głównego architekta ataków z 11 września. Był to Chalid Szejk Mohammed. Później, kiedy Zubajda przestał współpracować z oficerami śledczymi, administracja Busha zezwoliła na wykorzystanie „rozszerzonych technik śledczych" - w tym waterboardingu - aby zmusić go do mówienia. Jednym ze świadków stosowania owych technik była Matthews, która poleciała do Tajlandii, aby pomóc śledczym z CIA w przesłuchiwaniu nowego więźnia. Kilka lat później sprawa stała się przedmiotem nieprzyjemnych kontrowersji[71]. Organizacje broniące praw człowieka, komisje Kongresu, a nawet byli członkowie administracji Busha kwestionowali każdy aspekt sposobu traktowania Zubajdy przez CIA. Z czasem przypadek tego terrorysty stał się symbolem debaty nad wykorzystaniem przez Agencję tajnych więzień wyłączonych spod normalnych ograniczeń prawnych, a także procedur prowadzenia przesłuchań uznanych przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża za tortury. Późniejsze dowody wskazywały, że Zubajda zasadniczo nie był nigdy przywódcą Al-Kaidy[72], raczej specem od logistyki, i miał ograniczoną wiedzę o strategii organizacji i jej planach. Mimo to Matthews była podziwiana w wydziale antyterrorystycznym za to, że w największym stopniu przyczyniła się do wyeliminowania przez Agencję pierwszego znaczącego terrorysty, który na dodatek doprowadził CIA do architekta ataków z 11 września.

W połowie dekady Matthews była już członkiem kadry kierowniczej i szefowała zespołom oficerów raportowych Centrum Antyterrorystycznego. Wchodziła też w alianse z innymi twardymi kobietami z wydziału, które pięły się coraz wyżej w hierarchii służbowej i były w swojej karierze o kilka kroków dalej. Jedną z jej nowych mentorek była słynąca z porywczości rudowłosa oficer, która odegrała kluczową rolę w wielu najbardziej agresywnych - i kontrowersyjnych - operacjach przeprowadzonych przez Agencję, od „rozszerzonych przesłuchań” po tajny program określany jako „transfer”, w ramach którego osoby podejrzane o terroryzm były porywane za granicą przez tajnych agentów CIA i przewożone samolotami do krajów trzecich na przesłuchania, a niekiedy także na tortury. Obie kobiety jednakowo podkochiwały się w aktorze Tommym Lee Jonesie, specjaliście od ról twardzieli, i lubiły cytować szczególnie trafną kwestię z jego filmu z 2007 roku, To nie jest kraj dla starych ludzi: „Tego, co ma być, nie powstrzymasz. Świat nie jest na twoich usługach”.

W drodze na szczyt Matthews spotykała się czasem z zarzutami, że jest konfliktowa, uparta i niecierpliwa. Nic nie doprowadzało jej do większej furii niż insynuacje, że jako kobieta nie nadaje się do zadania - żadnego zadania. Kilku kolegów w Langley nadało jej niepochlebne przezwisko - Ruth, od ruthless, bezlitosna.

I tam, i później w Choście czuła się zobligowana raz za razem udowadniać swoją wartość, walcząc w niekończącej się bitwie o szacunek w świecie od zarania dziejów zdominowanym przez mężczyzn.

„Mówisz chłopcom, co mają robić - wspominała specjalistka CIA od Afganistanu, która doradzała Matthews przed jej wyjazdem do bazy Chost. - A odpowiedź najczęściej brzmi: »Proszę pani, pani nie wie, jakjest«„.

Baza Chost, którą poznała Matthews, rzeczywiście w niczym nie przypominała tej sprzed kilku lat. Na długo zanim stała się bezpieczna dla ludzi w rodzaju analityków i targeterów, była własnością pierwszej amerykańskiej jednostki prowadzącej tajne operacje, oficerów paramilitarnych z Oddziału Akcji Specjalnych CIA. Rekrutujący się głównie z Zielonych Beretów, komandosów Navy SEAL i innych elitarnych formacji wojskowych oficerowie tego wydziału byli od lat pięćdziesiątych główną jednostką przeznaczoną do operacji takich jak sabotaż, wojna partyzancka czy zamachy, wykraczających poza zakres kompetencji konwencjonalnych jednostek wojskowych. W 2001 roku oficerowie Oddziału Akcji Specjalnych i komandosi Sił Specjalnych odegrali kluczową rolę w ataku na Al-Kaidę[73], w wyniku którego obalono rząd talibów w Afganistanie. Kilkunastu z nich rozbiło tamtej zimy obóz we wschodnioafgańskim mieście Chost, by rozpocząć wymiatanie pozostałych gniazd oporu talibów - oficerowie Oddziału pozostają tam do dziś.

W ostatnich dniach 2001 roku, kiedy Matthews i jej zespół z Langley patrzyli z bólem, jak Osama Bin Laden wymyka się do Pakistanu, zespół Oddziału Akcji Specjalnych w Choście zgrupował się w bazie powietrznej w pakistańskim Dżakobabadzie i przeleciał helikopterami przez góry, żeby przejąć kontrolę nad lotniskiem. W pierwszych minutach po lądowaniu o mały włos nie doszło do katastrofy.

Oficerowie przylecieli na lotnisko o drugiej nad ranem25, w przejmująco zimną noc, z lekką bronią i sprzętem, a także skrzynką gotówki i nadzieją na pomoc obiecaną przez lokalnego dowódcę przeciwnego tałibom. Miejscowy dowódca czekał zgodnie z obietnicą - ale wraz z nim czekały też dziesiątki bojowników z rywalizujących z nim klanów. Uzbrojeni, w turbanach na głowach, patrzyli na siebie groźnie w pełnym napięcia oczekiwaniu, a Amerykanie stali pośrodku.

Amerykański zespół zauważył w ciemności, że kilku Afgańczyków po obu stronach wyciągnęło granaty. Byli gotowi do walki na śmierć i życie - jak dowiedzieli się później oficerowie CIA - walki, która miała rozstrzygnąć, kto odegra rolę gospodarza i dostanie większość amerykańskich pieniędzy i nowoczesnej broni.

„Jedna z frakcji wiedziała o naszym przybyciu, a potem dowiedzieli się wszyscy pozostali - wspominał jeden z amerykańskich oficerów, który był świadkiem tego zdarzenia. - Było wcześnie rano i nie zdążyli jeszcze wypić herbatki, więc wyciągnęli granaty".

Jeden z oficerów CIA wykazał refleks i zaczął szczodrze chwalić Afgańczyków za ich gościnność i odwagę. Wujek Sam ma dużo pieniędzy - zapewnił grupę, obszarpaną zbieraninę z pasami na naboje i brodatymi twarzami o ostrych rysach, które przypominały mu Amerykanów w scenie w kantynie w Gwiezdnych wojnach. Bojownicy rozeszli się, a kryzys został chwilowo zażegnany. Zmęczeni oficerowie z ulgą ruszyli w ciemnościach przez miasto. Niektórzy zanocowali w budynku opuszczonej szkoły podstawowej, który miał służyć jako tymczasowa placówka.

Był to marny wybór. Szkoła mieściła się przy jednej z głównych arterii komunikacyjnych i była prawie niemożliwa do obronienia przed zamachowcami samobójcami i atakami rakietowymi. Pobliskie domy i drzewa zapewniały kryjówki snajperom. Nie było bieżącej wody ani prądu, a samo miasto było brudne i złowieszcze, opanowane przez uzbrojone gangi z aż siedmiu różnych klanów, które zmieniały strony niemal z dnia na dzień. Chaotyczne wystrzały o dziwnych porach trzymały oficerów w napięciu, bo nigdy nie było do końca wiadomo, czy to zapowiedź ataku, czy tylko jeszcze jedno afgańskie wesele.

Najstraszniejszy moment nadszedł 4 stycznia 2002 roku. Po spotkaniu Amerykanów ze starszyzną w pobliskiej wsi uzbrojony Afgańczyk

znienacka zaatakował ogniem zespół z bazy Chost. Jeden z oficerów paramilitarnych CIA runął na ziemię, trafiony przez kulę, która przedostała się przez lukę w jego kamizelce kuloodporneji przebiła klatkę piersiową. Kula dosięgła też energicznego sierżanta Zielonych Beretów Nathana Chapmana[74], specjalistę od łączności i weterana Pustynnej Burzy przydzielonego do zespołu CIA w bazie Chost. Trzydziestojednoletniego Chapmana, rannego w udo, uznano za mniej poszkodowanego niż oficer CIA.

W ciągu kilku minut obaj ranni lecieli już z powrotem do Chostu, gdzie stan oficera z raną klatki piersiowej został w końcu ustabilizowany. Chapman tymczasem szybko tracił krew z zerwanej, jak się okazało, tętnicy udowej. Kiedy helikopter wylądował w Choście, młody sierżant już nie żył. Był to pierwszy amerykański żołnierz poległy w walce w Afganistanie.

Niedługo potem CIA przeniosła swoją kwaterę na teren lotniska za miastem. Lotnisko nie było używane od lat, ale oferowało wystarczająco dużo miejsca do spania i pracy, a zachowana w bardzo dobrym stanie wieża kontrolna miała dach, który dawał rozległe pole rażenia cekaemistom. Pas startowy - co prawda zaśmiecony zepsutymi lub zbombardowanymi samolotami z czasów sowieckiej okupacji - był do uratowania. Amerykanie zabrali się do sypania piasku do barier HESCO, rozpoczynając umacnianie powstającej właśnie pierwszej afgańskiej bazy CIA poza Kabulem.

Ktoś zaproponował dla nowego kompleksu nazwę Wysunięta Baza Operacyjna Chapman, na cześć zabitego przed kilkoma dniami oficera Sił Specjalnych. Nazwa ta została przyjęta oficjalnie, ale mieszkańcy bazy używali nieformalnego skrótu - Chost.

Najbardziej priorytetowa była decyzja o tym, co robić z największym ugrupowaniem bojowym w regionie. Lokalny watażka Dżalaluddin Hakkani podczas wojny z Sowietami przewodził afgańskim rebeliantom i

przez lata był opłacany przez CIA[75], a teraz kontrolował tysiące bojowników wzdłuż granicy afgańskopakistańskiej. Nominalnie sprzymierzył się z talibami po ich dojściu do władzy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, jednak w praktyce działał na własną rękę i bardziej niż teologia czy podbój świata interesowało go utrzymanie własnego imperium przemytniczego i wymuszanie pieniędzy w zamian za ochronę.

Hakkani był też lojalny wobec swoich przyjaciół, także byłego towarzysza broni Osamy Bin Ladena. Obaj ugruntowali swoją reputację w latach osiemdziesiątych, walcząc z Sowietami w górach wokół Chostu, w rejonie, który coraz to okazywał się odporny na ataki Rosjan. Bin Laden, syn bogatego magnata z branży budowlanej, wykorzystywał saudyjskie pieniądze i znajomości w branży inżynierskiej, pomagając mudżahedinom w budowaniu kompleksu tuneli i jaskiniowych twierdz pod wzgórzami. Hakkani, już za życia legenda jako dowódca wojskowy, osobiście prowadził swoich bojowników do walki z sowieckimi komandosami i śmigłowcami bojowymi i odnosił nieprawdopodobne zwycięstwa, jak Dawid nad Goliatem. Sowieci zajęli i rozbudowali lotnisko w Choście głównie po to, żeby bombami przepędzić Hakkaniego i jego sprzymierzeńców z ich górskich redut, co im się nie udało.

Właśnie z tego powodu, kiedy pod koniec 2001 roku zespoły Oddziału Akcji Specjalnych i proamerykańskie siły afgańskie zbliżały się do Bin Ladena, przywódca Al-Kaidy zabiegał o ochronę watażki o bujnej brodzie, człowieka, z którym walczył ramię w ramię przeciwko Sowietom. Hakkani zaoferował przyjacielowi azyl w domu na przedmieściach Chostu do czasu, aż będzie mógł bezpiecznie przedostać się z powrotem do Pakistanu i ponownie dołączyć do swoich stronników.

Sam nigdzie się nie wybierał. Porażkę talibów traktował optymistycznie i był gotowy w razie potrzeby zmienić stronę, jak robił to często w przeszłości. Wysocy pakistańscy urzędnicy, którzy mieli z nim do czynienia od kilku dekad, gorąco namawiali Amerykanów, aby poszli mu na rękę, a może nawet dali mu symboliczne stanowisko w nowym afgańskim rządzie.

Ludzie Busha z Departamentu Obrony nie byli jednak w nastroju do targów. Hakkani pomógł zorganizować ucieczkę Bin Ladena i mógł znać jego aktualne miejsce pobytu. Zorganizowano dwie rundy tajnych rozmów z wysłannikami Hakkaniego, w Islamabadzie, a później w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Na obu spotkaniach, jak wspominał wtajemniczony w sprawę wyższy urzędnik amerykańskiego rządu, strona amerykańska zaoferowała te same warunki: bezwarunkowa kapitulacja, w ramach której Hakkani osobiście zgodzi się założyć pomarańczowe drelichy i dołączyć do innych zatrzymanych w nowo otwartym amerykańskim więzieniu w zatoce Guantanamo na Kubie. Po odpowiednio długim czasie - czyli przypuszczalnie kiedy już powie przesłuchującym wszystko, co wie o Bin Ladenie - będzie mógł wrócić do domu.

Jak powiedział były urzędnik wywiadu, było z góry przesądzone, że Hakkani nie przyjmie tej propozycji.

„Osobiście zawsze wierzyłem, że Hakkani to ktoś, z kim moglibyśmy współpracować - przyznał. - Ale w tamtym czasie nikt nie wybiegał myślą poza horyzont, nie zastanawiał się, gdzie możemy być za pięć lat. Decydenci myśleli po prostu: »Chrzanić tych małych śniadych ludzi«„.

Hakkani odmówił. Nękał Rosjan przez prawie dekadę wojny partyzanckiej w latach osiemdziesiątych XX wieku. Teraz, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, wybierał się na wojnę z Amerykanami. Z czasem tak zwana siatka Hakkanich, kierowana przez syna Hakkaniego Siradżuddina, stała się jednym z największych zagrożeń dla wojsk

amerykańskich w całym Afganistanie i to właśnie bojownicy Hakkanich budzili teraz Matthews i jej kolegów o najdziwniejszych porach, wystrzeliwując rakiety w kierunku murów bazy Chost.

W latach po ucieczce Bin Ladena część zespołów paramilitarnych CIA działała dalej tak jak przedtem, w małych kompleksach, gdzie oficerowie mieszkali i walczyli razem z afgańskimi żołnierzami. Stara baza Oddziału Akcji Specjalnych w Choście jednak się rozrosła i wzięła na siebie nowe obowiązki, głównie wspierając Pentagon w realizacji jego celów. Polowanie na Bin Ladena przeniosło się do Pakistanu i było w dużym stopniu uzależnione od samolotów robotów. Po raz pierwszy też oficerowie raportowi CIA, targeterzy i analitycy z Langley byli rutynowo rozmieszczani w bazach na linii frontu i pomagali w gromadzeniu oraz interpretowaniu danych wywiadowczych, obracając się w towarzystwie żołnierzy z bronią, a czasem nimi kierując.

W Langley uruchomiono program szkolenia interdyscyplinarnego dla dwóch bardzo różnych typów oficerów. Oficerowie Oddziału Akcji Specjalnych byli szkoleni w klasycznych technikach pozyskiwania danych wywiadowczych, a cywilni oficerowie wywiadu mający wyjechać do Afganistanu przechodzili obowiązkowy trzytygodniowy „kurs przygotowawczy za granicą”, gdzie poznawali podstawowe zasady przetrwania w strefie działań wojennych. Kursanci cywilni doskonalili umiejętności strzeleckie, uczyli się udzielania pierwszej pomocy na polu walki i ćwiczyli przejeżdżanie przez blokady drogowe i zasadzki. Program dopiero startował, ale niektórzy z trenerów już mówili otwarcie o jego nieadekwatności.

„To było bardzo podstawowe, elementarne szkolenie, które się odfajkowywało - wspominał jeden z zawodowych oficerów, którzy je

prowadzili. - Było to zaznajamianie się z tematem, a nie zdobywanie kompetencji”[76].

Dziesięć lat wcześniej ten sam kurs trwał dwadzieścia jeden tygodni i obejmował naukę obchodzenia się z bombami i materiałami wybuchowymi, a także pracy zespołowej, nawigacji, a nawet skakania ze spadochronem. Zrezygnowano jednak z niego, gdyż został oceniony jako zbyt kosztowny i czasochłonny dla Agencji, która potrzebowała szybko rozmieszczać agentów w terenie. Niektóre z umiejętności uczonych na tamtym kursie - na przykład skoki ze spadochronem - zostały uznane za nieistotne w epoce, w której szpiegowski fach w tak dużym stopniu zależy od sieci komputerowych, satelitów i robotyki.

„Po 11 września zadano sobie pytanie: czy musimy uczyć każdego tych praktycznych umiejętności? Odpowiedź brzmiała: nie - wspominał emerytowany oficer, który prowadził kurs zagraniczny. - Tę robotę można zlecić podwykonawcom”. Praktyczne umiejętności były domeną żołnierzy i elitarnych jednostek paramilitarnych. „Mięsożercy”, jak niektórzy z nich nazywali samych siebie, byli w bazie Chost nadal potrzebni, ale już nie oni byli tu szefami.

Teraz, kiedy potwierdzono śmierć Bajtullaha Mehsuda, w centrum dowodzenia w bazie Chost Matthews mogła skoncentrować się na czymś, co zawsze uważała za najwyższy priorytet: dążeniu do znalezienia i zabicia Bin Ladena, a wraz z nim jego zastępcy Aj mana az-Zawahiriego i innych wyższych dowódców.

Matthews szybko nauczyła się cenić niezwykłe zasługi bazy w polowaniu na terrorystów, zwłaszcza Kontrterrorystyczne Zespoły Pościgowe, nową formację opłacanych przez CIA afgańskich komandosów wyszkolonych przez Oddział Akcji Specjalnych. We wschodniej połowie

Afganistanu były trzy tysiące tych żołnierzy[77], rdzennych Pasztunów - niektórzy urodzeni w Pakistanie, inni w Afganistanie - którzy mogli przedostać się przez granicę w miejscowych tradycyjnych strojach i zabijać lub chwytać domniemanych terrorystów oraz zbierać informacje. Zebranymi przez siebie danymi dzielili się z amerykańskimi oficerami prowadzącymi, a ci przekazywali je, razem ze zwykłą paplaniną telefoniczną i internetową, do gigantycznych baz danych CIA, gdzie rozpracowywali je targeterzy - Elizabeth Hanson i inni. Aktualne informacje o określonych terrorystach mogły zostać szybko zamienione na konkretne geograficzne współrzędne dla rosnącej floty predatorów CIA.

Po ośmiu latach tryby machiny na ogół pracowały bez zarzutu. Ostatnio też ludzie odpowiedzialni za kierowanie tą skomplikowaną maszynerią dostrzegli nowe oznaki postępu. Po ponad roku bezlitosnych ataków rakietowych przywództwo Al-Kaidy w Afganistanie zdawało się w kompletnej rozsypce - tak wynikało z podsłuchanych rozmów między przygnębionymi tajnymi agentami organizacji. Bin Laden ukrył się tak skutecznie, jakby przestał istnieć. Az-Zawahiri wprawdzie w dalszym ciągu kierował strategią, ale codzienne dowodzenie operacjami przypadło garstce zastępców, głównie Egipcjaninowi znanemu jako szejk Said al-Masri, który wypełnił próżnię po śmierci Usamy al-Kiniego. Dane z nasłuchu CIA wskazywały jednak, że al-Masri był bardzo niepopularnym przywódcą, tyranem i manipulatorem o dyktatorskich zapędach. Bojownicy Al-Kaidy, których rozmowy monitorowano, skarżyli się z goryczą na faktycznego p.o. przywódcy organizacji.

Najlepsza wiadomość dotarła jednak nie z Pakistanu, lecz z Ammanu. Jordańskie służby wywiadowcze zwerbowały słynnego informatora, który z pomocą CIA został podrzucony na obszary plemienne. Nowy agent, Jordańczyk, właśnie odnalazł się po kilkumiesięcznej nieobecności, z

zapierającymi dech nowymi informacjami. W kilka miesięcy udało mu się jakimś cudem spenetrować najpierw ruch talibów, a później, wedle wszelkich danych, samą Al-Kaidę. Na zebraniach personelu wyższej rangi w Langley szefowie CIA mówili dyskretnie o „złotym źródle”.

Złote źródło działało tuż za wzgórzami w Pakistanie, może osiemdziesiąt kilometrów od małego biura, gdzie siedziała teraz Jennifer Matthews. Przeglądała codzienne depesze i z coraz większą niecierpliwością czekała na dalszy rozwój wypadków.

ROZDZIAŁ 10
PODWÓJNY AGENT

Langley, Wirginia – wrzesień-październik 2009

Załączam… Pierwsza znacząca zdobycz w karierze szpiegowskiej Humama Al-Balawiego[78], zdobycz, która gwarantowała mu wzrost notowań, dotarła do centrali CIA rankiem pod koniec sierpnia w formie pogmatwanego szyfru komputerowego w załączniku do emaila. Analitycy danych, uprzedzeni o wadze sprawy, zabrali się do niego niczym armia kucharzy w restauracji sushi. Kroili i filetowali, oddzielali większe partie danych od bitów i bajtów, by potem złożyć je na nowo.

Po kilku dniach badań pierwsze wrażenie Agencji się potwierdziło: plik był autentyczny. I było to prawdziwe cudo.

Prawie miesiąc po śmierci Mehsuda Al-Balawi najwyraźniej zapadł się pod ziemię. Agencja nie dostała nic, co by wyjaśniało, co się z nim stało: ani emaila, ani telefonu, ani nawet przechwyconych wiadomości talibów. Wtem jednak, pod koniec lata, dał znak życia Libijczyk Al-Rahman, islamski uczony, był od lat osiemdziesiątych najwyższym doradcą Bin Ladena[79] i zbiegł razem z nim do Pakistanu po katastrofie w Tora Bora pod koniec 2001 roku. Sądzono, że stamtąd uciekł do Iranu, ale powrócił w 2006 jako jeden z najważniejszych strategów i duchowych przewodników Al-Kaidy. To Al-Rahman próbował bez powodzenia powściągnąć zapędy

Abu Musaba azZarkawiego, przywódcy Al-Kaidy w Iraku, kiedy jego sadystyczne ataki na szyitów zaczęły zmieniać klimat opinii w Iraku na niekorzyść Al-Kaidy. Al-Rahmana nie widziano od lat, a tu perorował przed kamerą z informatorem CIA usadowionym u jego stóp.

Film wprawił CIA w osłupienie i wywołał lawinę pytań. Jedno było wiadomo na pewno: jordański lekarz Humam Al-Balawi przebywał w pokoju z jednym z najwyższych dowódców Al-Kaidy. Udało mu się udokumentować to spotkanie na taśmie. No i dostarczyć dowody pod same drzwi CIA.

Od rozpoczęcia wojny z Al-Kaidą osiem lat wcześniej nikt jeszcze nie dotarł tak blisko.

Leon Panetta trzy razy w tygodniu otwierał swoje biuro na szóstym piętrze dla najwyższych urzędników antyterrorystycznych CIA. W zebraniach brali udział jego zastępca Steve Kappes oraz dyrektorzy National Clandestine Service i Centrum Antyterrorystycznego z całą falangą doradców i raportowców. Ściśnięci wokół mahoniowego stołu Panetty, pod wystrzępioną amerykańską flagą, która łopotała kiedyś nad World Trade Center, popijali kawę z porcelanowych filiżanek i omawiali ostatnie wydarzenia w Pakistanie. Pewnego popołudnia na początku września grupa zebrała się, aby rozważyć niecodzienne dane uzyskane od tajemniczego agenta o kryptonimie „Wolf”.

Klatki z filmu i jego drobiazgowy opis - nagranie było wtedy ciągle jeszcze analizowane przez zespoły techniczne - ukazywały domniemanego informatora CIA rozmawiającego z jednym z wyższych doradców Al-Kaidy. Szefom Agencji cisnęły się na usta dziesiątki pytań. Skąd wziął się ten agent? Jak zdobył takie niesamowite dojścia? Nikt nie był jeszcze do końca pewien, co o tym myśleć, poza tym, że to fantastyczna wiadomość.

Panettę intrygowały zwłaszcza dwa aspekty sprawy. Po pierwsze to, że informator tak szybko zdołał wetknąć nos pod namiot Al-Kaidy. Dyrektor CIA sądził, że operacje z udziałem agentów w tym rejonie mają zawsze bardzo szerokie ramy czasowe. Ten agent ledwo zaczął, a już osiągnął istotny cel.

Po drugie, zaskakujące było to, jak mało Agencja wie o tajnym agencie, który przesłał nagranie.

„Nikt z CIA właściwie nie miał z nim żadnego osobistego kontaktu" - dziwił się Panetta.

Wszystko to dało się przekonująco wytłumaczyć. Informator był jednym z rekrutów Muchabaratu i znalazł się w Pakistanie, zanim którykolwiek z amerykańskich oficerów zdążył się mu przyjrzeć. Jeśli chodzi o dojścia, było to proste: Al-Balawi jest z zawodu lekarzem. A Al-Kaida rozpaczliwie potrzebuje lekarzy.

Nie ulegało wątpliwości, że Al-Balawi ma talent. Tego, jak jest dobry, Agencja musi się dowiedzieć, i to możliwie jak najszybciej.

„Dzięki Tobie mogliśmy podnieść czoło - napisał Ali bin Zeid do Al-Balawiego któregoś ranka w jednym ze swoich regularnych listów z Ammanu. - Dzięki Tobie możemy rozmawiać z Amerykanami z podniesionym czołem"[80].

Bin Zeid dostawał wyrazy podziwu od swoich jordańskich kolegów w związku z oszałamiającymi sukcesami jego głównego rekruta i chciał przekazać te komplementy dalej. Al-Balawi zaskoczył wszystkich, a najbardziej samego bin Zeida. Jak mu się to udało? Co jeszcze mógł im dostarczyć?

Zachęty chyba działały. W tygodniach po powrocie Al-Balawiego, kiedy suchy, jesienny wiatr z północy wymiatał ostatnie ślady letniego skwaru, jego emaile wprost kipiały od interesujących wiadomości. Al-

Balawi opisywał spotykanych przez siebie dżihadystów, przekazywał pogłoski i rozrysowywał skomplikowaną sieć relacji między lokalnymi ugrupowaniami bojowymi.

Co jeszcze bardziej intrygujące, zaczął serwować drastycznie szczegółowe opisy szkód wyrządzonych przez pociski rakietowe CIA[81], nie zapominając o takich rzeczach jak stan zwłok czy częściach ciała wyciągniętych z roztrzaskanych samochodów i zrównanych z ziemią domów. Pisał o frustracji i gniewie wśród przywódców talibów i Al-Kaidy, którzy żyli teraz w strachu przed buczącymi maczajami.

Al-Balawi rzadko potrafił wskazać dokładne lokalizacje - mówił słabo w paszto i ten rejon świata jeszcze ciągle był mu obcy - ale jego raporty pozwalały operatorom dronów CIA zawęzić obszar poszukiwań. Niektórzy wyżsi urzędnicy Agencji twierdzili, że dzięki szczegółowym raportom Al-Balawiego udało się zabić aż pięciu talibskich bojowników. Po ataku dronów informator przesyłał bin Zeidowi email z relacjami z miejsca zdarzenia, okraszony opisami śmierci i chaosu, a także słowami zachęty: Jesteście na dobrym tropie - pisał.

Analitycy CIA w Ammanie i Langley studiowali te wiadomości z coraz większym zafascynowaniem. Agencja gromadziła własne szacunki szkód wyrządzonych przez bomby, na ogół oparte na filmach robionych przez predatory krążące nad danym obszarem po ataku. Jej raporty pokrywały się z doniesieniami Al-Balawiego w zdumiewających szczegółach. Jordańczyk musiał być obecny w miejscach ataków, przypuszczalnie w charakterze medyka, ponieważ jego raporty były zawsze bezbłędne.

Formalnie rzecz biorąc, Al-Balawi komunikował się tylko z bin Zeidem, któremu przydzielono pieczę nad tą sprawą. Specjaliści z CIA zaczęli się jednak przekonywać, że mogą zadawać pytania i szybko uzyskiwać na nie

odpowiedzi. Mimo kompletnego braku przeszkolenia Al-Balawi zdradzał cechy rasowego podwójnego agenta.

Podczas zimnej wojny CIA zwerbowała garstkę skutecznych podwójnych agentów, z których najsłynniejszym był pułkownik sowieckiego wywiadu wojskowego Oleg Pieńkowski, kryptonim „Agent Hero”[82]. To Pieńkowski w 1962 roku powiadomił administrację Kennedy’ego o tajnych, zbudowanych przez Sowietów wyrzutniach rakiet balistycznych na rządzonej przez Fidela Castro Kubie, co zapoczątkowało kryzys kubański. Pieńkowski został zdradzony przez sowieckiego podwójnego agenta i stracony w 1963 roku.

Ostatnio CIA wykorzystywała informatorów, w większości zwerbowanych przez siatki szpiegowskie przyjaznych rządów, do unieszkodliwiania ugrupowań terrorystycznych. Tajni agenci odegrali ważną rolę w rozbiciu komórki terrorystycznej Abu Musaba azZarkawiego w Iraku, jak również sprzymierzonej z Al-Kaidą indonezyjskiej siatki terrorystycznej znanej pod nazwą Dżemaa Islamija33. W drugiej z tych spraw przywódca grupy Riduan Isamuddin, bardziej znany pod pseudonimem „Hambali”, został zakapowany przez informatora i schwytany podczas wspólnej operacji CIA i rajskiej policji w pobliżu Bangkoku w 2003 roku. Organizacja Hambalego została rozbita w drobny mak, a on sam był przenoszony z jednego tajnego więzienia CIA do drugiego, by na koniec wylądować w amerykańskim więzieniu Guantanamo na Kubie.

Drugi oficer przydzielony do sprawy Al-Balawiego nie podzielał tego entuzjazmu. Oficer prowadzący z CIA Darren LaBonte był z natury nieufny. Był również bardzo opiekuńczy wobec bin Zeida, którego znał dopiero dziewięć miesięcy, ale już uważał go za bliskiego przyjaciela, a może nawet młodszego brata. Choć obaj byli wytrawnymi oficerami

wywiadu mniej więcej w tym samym wieku, LaBonte był wyższy od bin Zeida o pół głowy i zaprawiony w boju po licznych podróżach po Afganistanie. Obaj wyjeżdżali razem służbowo aż do Azji PołudniowoWschodniej i wschodniej Europy, dzieląc się informacjami i koordynując taktykę obu służb w sposób, który odzwierciedlał bliskie związki między oboma krajami. Ale w pracy to LaBonte dyskretnie pilnował przyjaciela, martwiąc się, że może zostać porwany, zabity albo ucierpieć wskutek złego traktowania przez Muchabarat, znany z nieprzejrzystej polityki wewnętrznej i panującego w nim współzawodnictwa.

„Ali mnie potrzebuje - wyjaśnił koledze z Ammanu. - Muszę tam zostać ze względu na niego”[83].

LaBonte oficjalnie przeniósł się na Bliski Wschód z Azji Południowej, żeby odpocząć. Ten były żołnierz formacji Rangers prowadził tajne misje jako oficer paramilitarny CIA w ogarniętym przemocą wschodnim Afganistanie przez prawie dwa lata i ta praca pasowała mu równie dobrze jak wzmocnione rękawice wojskowe, które lubił nosić podczas wymiany ognia. Mimo to kiedy z początkiem 2009 roku CIA zaproponowała mu nowe stanowisko we względnie spokojnej Jordanii, zdecydował się na nie. Miał trzydzieści cztery lata i był teraz ojcem rodziny. Poza tym ostatnimi czasy docierały do niego sygnały, że pora ograniczyć adrenalinę.

Pierwszym znakiem był pocisk wystrzelony z granatnika przeciwpancernego, który o mało nie zmasakrował mu twarzy. LaBonte przebywał daleko na terytorium talibów, w pobliżu afgańskiego miasta granicznego o nazwie Asadabad, kiedy rebeliant wymierzył granatnik prosto w niego. Pocisk przeleciał ze świstem na odległość ręki, tak blisko, że LaBonte poczuł podmuch powietrza i zapach materiału miotającego.

Jeszcze się trząsł, kiedy dzwonił do żony przez Skypea kilka godzin później tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

Drugi komunikat dotarł do niego w dniu narodzin jego córki Rainy. LaBonte leciał całą noc z Afganistanu, żeby zdążyć na poród, i kiedy dotarł na waszyngtońskie lotnisko Dullesa, dowiedział się, że jego żona Rachael już zaczęła rodzić. Wskoczył do czekającego samochodu ojca i obaj pokonali ponad sto kilometrów ruchliwej autostrady w drodze do szpitala w Annapolis w stanie Maryland, gdzie lekarze robili, co w ich mocy, żeby zatrzymać zegar. Samochód podjechał z rykiem pod drzwi wejściowe, LaBonte wyskoczył i przebiegł sprintem obok sanitariuszy i wózków inwalidzkich na oddział położniczy. Pielęgniarki założyły na spoconego, nieumytego przyszłego ojca fartuch operacyjny i zaprowadziły go na salę porodową w samą porę, żeby mógł zobaczyć przyjście na świat swojego pierwszego dziecka.

Nieco ponad rok później LaBonte odłożył kamizelkę kuloodporną i gogle z noktowizorem i pożegnał się z Afganistanem, być może na zawsze. Jego nową placówkę, największy ośrodek antyterrorystyczny CIA na Bliskim Wschodzie, trudno było nazwać oazą spokoju, ale jordańska stolica była na tyle spokojna, że oficerowie mogli sprowadzać tam swoje rodziny. Pierwszy raz od wielu lat LaBonte mógł cieszyć się perspektywą wieczorów w domu z żoną, a Rachael mogła odpocząć od ciągłego strachu, że jej mąż został ranny w zasadzce albo wyleciał w powietrze po najechaniu na przydrożną bombę.

Amman to jednak nie było sanatorium. W marcu 2009 roku, trzy miesiące po przeprowadzce, zakres jego nowych obowiązków wreszcie się wyklarował. Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami polował teraz na większe sztuki - międzynarodowych terrorystów, a nie talibskich najemników, których często ścigał po afgańskich wzgórzach. Już niebawem miał więcej

roboty niż kiedykolwiek przedtem, stale pracował do późnego wieczoru i jeździł za granicę na potajemne spotkania z całą menażerią farbowanych lisów, hochsztaplerów i informatorów.

Stworzyli z bin Zeidem wyjątkowy team. Bin Zeid wnosił do niego dogłębną znajomość arabskiej kultury i lata doświadczenia w badaniu sieci bojowników dżihadu na całym Środkowym Wschodzie. LaBonte, jako weteran wojenny, był ekspertem od wszelkich umiejętności praktycznych niezbędnych w pracy tajniaka, od prowadzenia obserwacji po wyważanie drzwi kopniakiem.

W Rangersach nazywali LaBonte „Spartaninem” - ten przydomek wyjątkowo mu odpowiadał, bo ciągle porównywano go do bohaterów filmów akcji. Krewni nazywali go w żartach Kapitanem Ameryką, ze względu na szczery patriotyzm i sposób, w jaki bez śladu zażenowania mówił o tym, że chce chronić swój kraj. Jego przyjaciele z Agencji żartowali, że ma „pajęczy zmysł”, niesamowity dar przeczuwania niebezpieczeństwa, jak Spiderman.

Nawet wygląd miał odpowiedni. Wysoki na ponad metr osiemdziesiąt i szeroki w barach, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, LaBonte miał surową urodę i był dobrze umięśniony - urodzony atleta, który potrafił ponoć wycisnąć, leżąc, sto osiemdziesiąt kilo i przebiec maraton po raptem paru niezobowiązujących treningach. Emanował naturalną pewnością siebie, która czyniła go urodzonym przywódcą, najpierw jako świetny bejsbolista, później jako mistrz sztuk walki, ranger i wreszcie kadet FBI. Lubił być u steru, ponieważ lubił odgrywać rolę starszego brata albo opiekuna.

„Był jak owczarek, który pilnuje stada - ocenił jego bliski przyjaciel z wojska. - Tak siebie postrzegał”.

Pracy, w której mógłby wykorzystać swoje opiekuńcze instynkty, szukał z mozołem przez wiele lat. Jako facet o silnym ramieniu został zaproszony

do drugoligowej drużyny bejsbolowej Cleveland Indians, ale odrzucił tę ofertę, tłumacząc rodzinie, że zawodowa kariera w sporcie odwróci jego uwagę od ważniejszych celów, jakie sobie wyznaczył. Coraz bardziej pociągało go wojsko, ale zrezygnował z szansy pójścia do szkoły oficerskiej. Zdecydował się za to sprawdzić swój charakter w jednej z wojskowych jednostek Sił Specjalnych, słynącym z rygorystycznych wymagań fizycznych elitarnym 75. Pułku Rangersów. Szybko zdobył naszywkę rangera, a później prestiżową pozycję członka pułkowego pocztu sztandarowego.

Poza tym w wojsku poznał ładną studentkę tańca o imieniu Rachaeł. W marcu 1999 roku LaBonte nie miał z kim pójść na doroczny wielki oficjalny Bal Rangersów. W ostatniej chwili - raptem kilka godzin przed pierwszym tańcem - wspólny przyjaciel namówił Rachael, żeby pomogła wybawić z kłopotu jednego z jego kumpli z wojska.

„A fajny jest?” - zapytała Rachael. „Wygląda trochę jak Daniel DayLewis - odparł przyjaciel, przywołując postać aktora najbardziej znanego w tamtym czasie jako odtwórca roli Sokolego Oka w filmie Ostatni Mohikanin. - Tylko bez długich włosów”.

Jak opowiedziała później Rachael, wysoki młody ranger, który stanął tamtego wieczoru u jej drzwi w galowym mundurze, był więcej niż tylko przystojny.

„Wiedziałam od pierwszej minuty, że to ktoś dla mnie ważny - powiedziała o swoim przyszłym mężu. - Od tamtego momentu życie wyglądało inaczej”.

Wzięli ślub w następnym roku, a w 2001 Darren LaBonte nie służył już w armii, tylko jako oficer jednostki SWAT w wydziale policji Libertyville na północnych przedmieściach Chicago. Pracował na nocną zmianę, gonił

za rozwydrzonymi nastolatkami i nie mógł znaleźć sobie miejsca, kiedy przyszedł dzień, który miał na zawsze odmienić jego życie.

Rankiem 11 września, właśnie gdy wrócił z pracy, przerwano program telewizyjny, aby nadać wiadomość z ostatniej chwili o uderzeniu samolotu w jedną z bliźniaczych wież World Trade Center. LaBonte oglądał przez chwilę jak zahipnotyzowany, a potem zadzwonił do matki, mieszkającej w innej części przedmieść, o kilka minut jazdy samochodem.

„Włącz wiadomości” - powiedział.

Jak wielu Amerykanów tego ranka Camille LaBonte początkowo sądziła, że ta katastrofa to wypadek. Jej syn był jednak przekonany, że wydarzyło się coś bardziej złowieszczego.

„To nie była głupota. To było celowe” - powiedział.

Pojechał do domu rodziców, gdzie dotarł w samą porę, żeby zobaczyć, jak drugi samolot uderza w południową wieżę. Zaraz potem LaBonte i jego matka oglądali z niedowierzaniem, jak zawaliła się jedna, a potem druga wieża. Kiedy Camille popatrzyła na syna, zorientowała się, że płacze.

Kilka tygodni później LaBonte brał prywatne lekcje arabskiego, jednocześnie rozważając możliwości odegrania sensownej roli we właśnie się rozpoczynającej walce z terroryzmem. Przemyślał, a potem odrzucił pomysł ponownego zaciągnięcia się do armii; doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne, iż wyląduje na upragnionym stanowisku czy w jednostce, w której chciałby służyć. Postanowił więc wstąpić do United States Marshals Service, odpowiedzialnej za egzekwowanie prawa agendy Departamentu Sprawiedliwości, której zadaniem jest tropienie uciekinierów i ochrona sądów federalnych. Dzięki doświadczeniu w Rangersach uzyskał upragnione miejsce w zespole operacji specjalnych, jednak szybko stało się jasne, że nie była to praca, której szukał. Zamiast poszukiwać podejrzanych o terroryzm, spędzał dni na tropieniu dilerów narkotykowych.

Dlatego zaaplikował na dwa inne stanowiska, w FBI i CIA. FBI odezwało się pierwsze, więc zapisał się do akademii Biura w Quantico w stanie Wirginia. Jako kadet zdobył wyróżnienia za umiejętności przywódcze i strzeleckie, a po ukończeniu szkoły dostał pierwszorzędny angaż w nowojorskim biurze FBI, w badającej lokalne rodziny mafijne jednostce do spraw przestępczości zorganizowanej. Nadal jednak marzył o czymś więcej.

Wreszcie, w 2006 roku, CIA wystąpiła z ofertą, na którą czekał. Agencja wywiadowcza dostrzegła u niego kombinację cech, na które po pięciu latach globalnej wojny z Al-Kaidą było największe zapotrzebowanie: umiejętności taktycznych żołnierza Sił Specjalnych połączonych z pomysłowością klasycznego oficera prowadzącego z CIA. LaBonte należał do garstki rekrutów CIA posiadających obie specjalizacje. Momentalnie wystrzelił na pierwsze miejsce na liście oczekujących na przyjęcie na szkolenie w dawnej bazie Departamentu Obrony w południowej Wirginii znanej jako Farma. Kilka miesięcy później był już w drodze do Iraku, a potem do Afganistanu.

Nareszcie czuł się jak ryba w wodzie. Jego towarzysze i dowódcy byli pod wrażeniem entuzjazmu młodego eksrangera, który zawsze jako pierwszy zgłaszał się na ochotnika do trudnych zadań i jako ostatni skarżył się na trudy, jakie musieli znosić. Co prawda był mniej doświadczony niż niektórzy ze starszych weteranów działań bojowych, ale wyróżniał się trzeźwym myśleniem i wyostrzonym instynktem podczas wymian ognia. Jednego z oficerów, który walczył razem z nim w Afganistanie, uderzyła jego „całkowita pewność tego, kim jest i co robi. Realizował swoje powołanie bez pretensji czy oszustw, póz czy przechwałek - wspominał dawny towarzysz broni. - Darren wierzył, że jest predestynowany do tego,

żeby służyć jako zawodowy wojownik i chronić tych, którzy nie są w stanie ochronić się sami”.

LaBonte zademonstrował te przymioty pewnej letniej nocy, podczas dwuosobowej misji w prowincji Kunar. Szedł z partnerem brzegiem rzeki, kiedy nagły hałas uświadomił im, że zbliża się patrol talibów. Amerykanie zamarli i padli na ziemię, tymczasem rebelianci ukazali się jeden po drugim w ich polu widzenia i stanęli na polanie, kilka metrów od ich kryjówki. Przyszło dwunastu bojowników, potem jeszcze dwunastu, i jeszcze więcej. Ostatecznie grupa rozrosła się do ponad stu talibów, uzbrojonych w karabinki szturmowe i granatniki przeciwpancerne, ewidentnie szykujących się do jakiegoś ataku. Kręcili się tam przez kilkanaście minut, tak blisko, że Amerykanie słyszeli ich rozmowy. Gdyby któryś z nich zszedł metr czy dwa w stronę rzeki, niemal na pewno zostaliby zauważeni.

Towarzysz LaBonte był nowicjuszem w bazie CIA i jeszcze nigdy nie znalazł się w aż takich opałach. LaBonte trzymał dłoń na jego ramieniu i szeptem dodawał mu otuchy.

„Nie martw się, wszystko będzie OK” - mówił. W końcu rebelianci odeszli, a LaBonte i jego partner pognali z powrotem do bazy - wcześniej jednak przekazali współrzędne bandy talibów najbliższemu dyspozytorowi NATO.

Z każdym miesiącem LaBonte tracił jednak coś ze swojego początkowego optymizmu co do przebiegu walki z Al-Kaidą. Przyjechał do Jordanii przeświadczony, że Bin Laden i jego zwolennicy wygrywają walkę ideologiczną, zdobywając sympatię coraz większej liczby młodych muzułmanów, którzy będą służyć jako mięso armatnie w następnej fali samobójczych zamachów w krajach Zachodu. Rozmyślał bez końca o czekających ich nieuchronnie kolejnych atakach i martwił się, jak zabezpieczyć tych, na których najbardziej mu zależało.

Pierwsze na jego prywatnej liście tych osób były jego żona i maleńka córeczka, mieszkające teraz z nim w bliskowschodnim kraju, w którym wysocy amerykańscy urzędnicy padli już ofiarą niejednego zamachu. Na liście figurował też bin Zeid, który - jak się obawiał LaBonte - dawał się ponieść fali zbiorowego entuzjazmu dla poczynań Al-Balawiego, podwójnego agenta, którego osiągnięcia już teraz graniczyły z niemożliwością.

„Ten gość jest za dobry, żeby to była prawda” - stwierdził pod koniec jesieni w rozmowie z byłym przyjacielem z wojska.

W społeczności pracowników wywiadu zapanowała jednak prawdziwa gorączka na punkcie Al-Balawiego i zanosiło się na to, że będzie jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ 11
GRA

Langley, Wirginia - listopad 2009

Punkt zwrotny w karierze Humama Al-Balawiego jako szpiega, podniecający i zupełnie niespodziewany, miał postać stu megabajtów gorących rewelacji. Ale jego następna duża zdobycz zwaliła wszystkich z nóg.

Dotarła i tym razem emailem adresowanym do przełożonego bin Zeida, tyle że w formie prostej pisemnej wiadomości. Pan doktor Al-Balawi ma nowego pacjenta. Jego nazwisko: Ajman az-Zawahiri. Jordańczyk nawiązał bezpośredni kontakt z zastępcą dowódcy Al-Kaidy35. Ważniejszy od niego był już tylko Bin Laden.

Al-Balawi opisywał te wydarzenia w taki sposób, jakby był tak samo zdumiony jak wszyscy. Jednego dnia usłyszał, że az-Zawahiri ma problemy, a już następnego brodaty terrorysta w okularach stanął przed nim i poprosił o pomoc lekarską. Az-Zawahiri, który zresztą sam był lekarzem, cierpiał na szereg powikłań związanych z cukrzycą i miał nadzieję uzyskać od niego radę, a także lekarstwa. Az-Zawahiri, za którego głowę wyznaczono dwadzieścia pięć milionów dolarów nagrody, nie mógł za bardzo wypisywać sobie samemu recept.

Al-Balawi zgodził się ochoczo i już po paru minutach, sam na sam z az-Zawahirim, badał funkcje życiowe współtwórcy planu zamachów z 11

września 2001.

W swoim emailu przedstawił podsumowanie stanu fizycznego az-Zawahiriego, a także historię jego chorób, dostarczając szczegółów, które zgadzały się co do joty z dokumentami uzyskanymi przez CIA przed kilku laty od urzędników wywiadu z Egiptu, ojczyzny tego terrorysty. Co najważniejsze, Al-Balawi ujawnił, że umówił się ze swoim pacjentem na kolejną wizytę. Będzie go badał ponownie za kilka tygodni.

Marmurowe budynki od Kabulu przez Amman do Langley zatrzęsły się w posadach. Ostatnim razem CIA zwietrzyła trop az-Zawahiriego w 2006 roku, kiedy zbombardowała dom w południowozachodnim Pakistanie na podstawie błędnych informacji, że az-Zawahiri miał jeść tam obiad; od 2002 roku nie potwierdzono żadnego doniesienia od rządowych informatorów ani kogokolwiek z ludzi Zachodu o pojawieniu się tego człowieka.

Teraz wszyscy z dostępem do ściśle tajnych informacji chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o tym „złotym źródle", które miało okazję przebywać w obecności terrorysty. Nawet Biały Dom.

Panetta spotkał się z członkami Rady Bezpieczeństwa Narodowego, by powiadomić ich o tym zdumiewającym obrocie wydarzeń. Zadanie przeprowadzenia briefingu wziął na siebie sam dyrektor CIA, a wśród siedzących przy stole byli: James L. Jones, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego; Dennis C. Blair, koordynator służb amerykańskiego wywiadu; i Rahm Emanuel, stary przyjaciel Panetty i szef kancelarii Białego Domu. Później Panetta powtórzył treść briefingu na prywatnym spotkaniu z prezydentem.

„Wiele wskazuje na to, że [Al-Balawi] może mieć dostęp do az-Zawahiriego" - oznajmił Panetta rozmyślnie powściągliwym tonem. Teraz

trzeba będzie spotkać się z informatorem i przeszkolić go do nowej roli, tłumaczył.

„Jeśli uda nam się z nim spotkać i zaopatrzyć go w odpowiednie środki techniczne, mamy szansę dopaść az-Zawahiriego” - kontynuował Panetta36.

Reakcja była natychmiastowa i dramatyczna. Jak szybko możemy do tego doprowadzić?, dopytywali wysocy urzędnicy z Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

„Wszyscy byli rozentuzjazmowani - wspominał z dużą powściągliwością jeden z członków Rady obecnych na briefingu. - Pierwszy raz od długiego czasu mieliśmy szansę ścigać numer dwa”.

Al-Balawi nie mógł wywołać większego podniecenia, nawet gdyby zaoferował się wystawić samego Bin Ladena. Po tylu latach spędzonych w ukryciu samotniczy twórca Al-Kaidy był zwykłym figurantem. To az-Zawahiri, do spółki ze starym przyjacielem szejkiem Saidem al-Masrim, sterowali teraz okrętem Al-Kaidy. Ci dwaj Egipcjanie ustalali strategię organizacji, zbierali fundusze i planowali operacje. Było prawie pewne, że gdyby Al-Kaida miała przeprowadzić kolejny atak na miarę tego z 11 września, to byłby on dziełem az-Zawahiriego.

Lekarz ten, już pięćdziesięcioośmioletni i - po latach spędzonych w egipskich więzieniach - poraniony fizycznie i mentalnie, był Al-Kaidowską wersją szalonego naukowca, człowiekiem, który wiecznie obmyślał sensacyjne sposoby zabijania wielu ludzi przy użyciu środków chemicznych, wirusów, a nawet broni jądrowej - gdyby tylko mógł ją znaleźć. Był również wielkim mistrzem ucieczki - zawsze unikał śmierci czy schwytania, wymykając się akurat w momencie,gdy zamykał się potrzask. Pewnego razu, przed 11 września 2001, przyjechał niezauważony do Stanów Zjednoczonych, gdzie pod fałszywym nazwiskiem zbierał

pieniądze na organizację terrorystyczną i skąd wyjechał również nierozpoznany. Po atakach 11 września CIA trzykrotnie była o krok od zabicia go, ale az-Zawahiri za każdym razem wychodził z tego bez szwanku. Starsi spece od kontrterroryzmu w Langley, którzy zmagali się z nim od lat, szanowali jego możliwości i nienawidzili wszystkiego, co sobą reprezentował.

Az-Zawahiri był obserwowany przez CIA od połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, długo zanim ktokolwiek usłyszał o Bin Ladenie, i przez lata Agencja była świadkiem jego przemiany z egipskiego rewolucjonisty w międzynarodowego terrorystę. Człowiek ten był intelektualnym patronem wielu największych ambicji Al-Kaidy, między innymi jej pierwszych prób zdobycia broni jądrowej i biologicznej. To on zadekretował, że Al-Kaida musi zmierzyć się z „dalekim wrogiem" - Stanami Zjednoczonymi - zanim będzie mogła pokonać swój główny cel - „bliskiego wroga", czyli prozachodnie rządy arabskie, które stały na drodze marzeniom organizacji o zjednoczeniu wszystkich muzułmanów w ramach globalnego islamskiego kalifatu.

„Zabijanie Amerykanów i ich sojuszników - cywilnych i wojskowych - jest indywidualnym obowiązkiem każdego muzułmanina, który może to robić w każdym kraju, gdzie tylko to jest możliwe" - napisał az-Zawahiri w manifeście z 1998 roku38.

Jak wynikało z akt sprawy CIA, młodość az-Zawahiriego była uderzająco podobna do młodości Al-Balawiego. Obaj mieli wykształconych rodziców z klasy średniej i pochodzili ze środowisk, w których panowała tolerancja religijna, obydwu też pociągały jednocześnie studia medyczne i radykalna islamistyczna ideologia. Az-Zawahiri, który dorastał na zamożnych przedmieściach Kairu, był synem znanego profesora farmakologii, a jego dziadek ze strony matki był rektorem Uniwersytetu

Kairskiego. Jako poważny, garnący się do książek nastoletni młodzieniec, az-Zawahiri poznał pisma Saida Kutba, egipskiego autora i intelektualisty, jednego z ojców współczesnego islamskiego ekstremizmu. Stracenie Kutba z rozkazu egipskich władz natchnęło młodego az-Zawahiriego do zorganizowania grupy podobnie myślących przyjaciół w tajne stowarzyszenie, które nazwał AlDżihad, inaczej Egipski Islamski Dżihad. Kontynuował studia i zdobył w końcu dyplom lekarza, ale cały czas wyglądał dnia, kiedy AlDżihad spróbuje obalić świecki rząd Egiptu.

Jako świeżo upieczony lekarz az-Zawahiri spędzał czas, pracując ochotniczo w obozach dla uchodźców wzdłuż granicy afgańskopakistańskiej. Opatrując tam rany antysowieckim mudżahedinom, zetknął się po raz pierwszy z charyzmatycznym młodym Saudyjczykiem Bin Ladenem, który także przyjechał do Afganistanu wesprzeć niezorganizowanych rebeliantów w walce z komunistycznym supermocarstwem. Niedługo potem, po powrocie do Egiptu, az-Zawahiri i jego komórka dołączyli do innych antyrządowych frakcji, z którymi przedsięwzięły serię spisków przeciwko egipskim przywódcom - ich kulminacją było zabójstwo egipskiego prezydenta Anwara Sadata 6 października 1981 roku, gdy ten oglądał z trybun paradę wojskową. Az-Zawahiri został osadzony w więzieniu za domniemany udział w próbie uciszenia na zawsze jednego z najbardziej umiarkowanych i prozachodnich przywódców świata arabskiego. Później twierdził we wspomnieniach, że był torturowany przez egipskie służby bezpieczeństwa.

Doświadczenie to wzmogło jego determinację do podważania autorytetu świeckich arabskich rządów i podkopywania ich fundamentów finansowych poprzez spektakularne akty terroru. W latach przed Al-Kaidą jego znakiem firmowym stał się brutalny atak na zagranicznych turystów w sławnych egipskich ruinach Luksoru w 1997 roku, kiedy to uzbrojeni

bandyci metodycznie wymordowalisześćdziesiąt dwie osoby, w tym grupę japońskich turystów, pięcioletnie brytyjskie dziecko i czterech egipskich przewodników wycieczek.

Zwykli Egipcjanie, dotąd przyzwyczajeni myśleć o AlDżihadzie jako grupie zaangażowanej w oddolną walkę ze skorumpowanymi i autokratycznymi władcami, byli oburzeni tą niczym nieusprawiedliwioną rzezią i poparcie dla az-Zawahiriego i jego Dżihadu wyparowało. Wkrótce potem az-Zawahiri powiedział swoim stronnikom, że operacje w Egipcie są już niemożliwe, dlatego przenosi walkę do Izraela i jego największego sojusznika - Stanów Zjednoczonych. W 1998 roku AlDżihad połączyła się oficjalnie z większą i lepiej finansowaną Al-Kaidą Osamy Bin Ladena.

Nowo powiększona organizacja zaczęła od spektakularnych ataków na amerykańskie instytucje. Pierwsze na liście były amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii, które zaatakowano w skoordynowany sposób, zabijając setki ludzi.

Trzy lata później az-Zawahiri pomagał nadzorować z nowej bazy Al-Kaidy w Afganistanie planowanie ataków przewidzianych na 11 września. Skupiał się jednak przede wszystkim na planowaniu serii dalszych zamachów terrorystycznych, które nie ustawały całymi miesiącami i latami. Az-Zawahiri osobiście przejął kierownictwo nad ambitnym programem produkcji broni biologicznej, otworzył w Afganistanie laboratorium i rozesłał swoich uczniów w poszukiwaniu przychylnych mu naukowców.

Amerykański wywiad jest zdania, że podejmowane przez az-Zawahiriego wysiłki zmierzające do przeprowadzenia zakrojonego na szeroką skalę ataku z użyciem bakterii wąglika mogłyby się powieść, gdyby nie zabrakło mu czasu. W ciągu kilku tygodni od zawalenia się nowojorskich wież World Trade Center wspierana przez USA kampania wojskowa, która doprowadziła do pozbawienia Al-Kaidy i jej talibskich

sojuszników władzy w Afganistanie, zmusiła az-Zawahiriego do opuszczenia laboratorium broni biologicznej i ucieczki z kraju. Siły amerykańskie odnalazły później to laboratorium, wraz ze szczegółowymi instrukcjami, w których az-Zawahiri polecał swoim pomocnikom zdobyć wysoce śmiercionośny szczep bakterii wywołujący wąglika.

W 2002 roku az-Zawahiri, podobnie jak Bin Laden, ukrywał się w Pakistanie, a za jego głowę obiecywano nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów. Jednak w odróżnieniu od Bin Ladena w dalszym ciągu osobiście kierował wieloma operacjami terrorystycznymi, między innymi planem zamachu w 2003 roku na nowojorskie metro z użyciem broni chemicznej. Az-Zawahiri osobiście odwołał atak z przyczyn, które do dziś pozostają niejasne.

Mając na uwadze jego gotowość do udziału w akcjach terrorystycznych, CIA nie traciła nadziei, że az-Zawahiri w końcu popełni błąd, ale numer dwa w Al-Kaidzie uciekał za każdym razem, kiedy targeterom Agencji udawało się go zlokalizować.

Ostatnia próba miała miejsce w styczniu 2006 roku, kiedy informatorzy CIA dowiedzieli się o zebraniu przywódców Al-Kaidy w Damadoli, miasteczku w okręgu Badżaur na północy Pakistanu. Wiedziano, że az-Zawahiri odwiedził ten region dwa lata wcześniej[84], a urzędnicy Agencji byli w dużym stopniu pewni swoich racji, kiedy wysłali predatora, aby krążył wokół domulepianki kilka kilometrów za miastem. Pociski CIA zniszczyły budynek, zabijając osiemnaście osób, w tym kilka osobistości Al-Kaidy, wśród których nie było jednak az-Zawahiriego. Pakistański wywiad doniósł później, że zastępca przywódcy organizacji rozmyślił się w ostatniej chwili i wydelegował na spotkanie swoich adiutantów.

Kilka dni później az-Zawahiri pojawił się na nowym nagraniu wideo, żeby rozdrażnić Biały Dom.

„Bush, wiesz, gdzie jestem? - pytał z ekranu. - Jestem pośród muzułmańskich mas”.

Po tych wydarzeniach CIA nie dostała kolejnej szansy aż do tamtego ranka w listopadzie 2009 roku, kiedy mało znany jordański lekarz pojawił się z historią o niedomagającym az-Zawahirim, który powierzył się jego opiece.

W następnych dniach wyłonił się jeden imperatyw: CIA musi poznać Humama Al-Balawiego.

Kiedy pracownicy CIA w Langley przygotowali podsumowanie do tajnego przeglądu znanego pod nazwą codziennego briefingu prezydenckiego, teczka z dokumentami na temat Al-Balawiego była niepokojąco chuda.

Jordańczycy najwyraźniej mu ufali, ale żaden z Amerykanów nawet go nie poznał. Al-Balawi bombardował islamistyczne strony internetowe zaciekle antyzachodnimi elaboratami, ale wykonał woltę - raptem po trzech dniach stosunkowo łagodnych przesłuchań w Muchabaracie. W jego stylu życia nie było nic, co by sugerowało, że ceni sobie bogactwo materialne, a jednak wydawał się nader skory do tego, by w zamian za baksy narażać życie i sprzedawać swoich ideologicznych braci.

Ta sprawa nie trzymała się kupy. Z drugiej strony była kwestia filmu z Al-Rahmanem i szczegółów o stanie zdrowia az-Zawahiriego. W ciągu dwunastu lat, odkąd Al-Kaida zaistniała jako globalna groźba, nikt nie widział niczego podobnego.

Na spotkaniach i podczas telekonferencji między Langley a Ammanem rozpatrzono - i odrzucono - szereg możliwych scenariuszy spotkania z Al-Balawim8. Według jednej z propozycji Jordańczyk miał przylecieć na Bliski Wschód i złożyć wyczerpujący raport. Była to o tyle kusząca perspektywa, że Muchabarat i oficerowie CIA prowadzący sprawę Al-

Balawiego mieli bazę w Ammanie. Ta opcja nie przeszła, gdyż obawiano się, że przedłużająca się nieobecność Al-Balawiego w Pakistanie może wzbudzić podejrzenia jego talibskich patronów.

Alternatywny plan przewidywał potajemne spotkanie w którymś z pakistańskich miast - może w Islamabadzie albo w Karaczi - ale on też został zarzucony. Amerykanie celowo utrzymywali sprawę w tajemnicy przed pakistańską agencją wywiadowczą InterServices Intelligence od przyjazdu Al-Balawiego do tego kraju i nikt nie chciał ryzykować zdemaskowania Jordańczyka w tak delikatnym momencie. Większe miasta Pakistanu były naszpikowane agentami ISI, a zgromadzenie osobistości z CIA z całą pewnością zwróciłoby ich uwagę.

Postanowiono, że bezpieczniej będzie spotkać się z Al-Balawim w Afganistanie, przypuszczalnie gdzieś koło granicy, w miejscu łatwo dostępnym dla informatora, a zarazem dyskretnym i całkowicie bezpiecznym. Miejsce to musiałoby być na tyle blisko pakistańskiego regionu plemiennego, aby można było tam dojechać samochodem, a jednocześnie kontrolowane przez CIA i niemożliwe do wykrycia przez talibskich szpiegów.

CIA miała co najmniej sześć baz wzdłuż granicy afgańskiej, ale tylko jedna z nich była usytuowana przy asfaltowej autostradzie zapewniającej bezpośredni dojazd z Miranszahu, miasta w pakistańskim Północnym Waziristanie położonego najbliżej ostatniego znanego miejsca pobytu Al-Balawiego. Tak więc za sprawą geograficznego przypadku na miejsce wyczekiwanego spotkania z jordańskim agentem CIA wybrała swoją bazę znaną jako Chost.

Kluczowe szczegóły proponowanego spotkania jeszcze nie zostały ustalone, nie było też wiadomo, czy Al-Balawi się na nie zgodzi. Jednak od dnia, w którym agent wymienił nazwisko Ajmana az-Zawahiriego w

emailu, ściągnięcie Al-Balawiego do bazy w celu wydobycia z niego wszystkich informacji stało się priorytetem niemal nieporównywalnym z niczym innym.

„Rząd głośno domagał się informacji i odpowiedzi, które pozwolą zapewnić bezpieczeństwo krajowi” - wspominał były ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ Thomas Pickering, zawodowy dyplomata, który współprowadził tajne, niezależne śledztwo w sprawie tych wydarzeń. „Nie brakowało urzędników państwowych, którzy chcieli za wszelką cenę wykonać tę robotę i byli gotowi dołożyć wszelkich starań, by tego dopełnić“[85].

„Tak, ale…”

Humam Al-Balawi nie ułatwiał im sprawy. Kapitan jordańskiego wywiadu Ali bin Zeid, niepewny, jak Al-Balawi zareaguje, pierwszy raz poruszył kwestię ewentualnego spotkania dość ostrożnie. Twoje raporty były jak dotąd niezmiernie interesujące - napisał bin Zeid w emailu pod koniec listopada. - Teraz chcielibyśmy nadać sprawie trochę szybsze tempo.

Al-Balawi zgodził się natychmiast na kolejne spotkanie z bin Zeidem. Obwarował je jednak tak wieloma zastrzeżeniami i warunkami, że bin Zeid został z pytaniem, czy w ogóle dojdzie ono do skutku.

Tak, ale nie chcę widzieć się z nikim innym, tylko z Tobą - napisał w pewnym momencie.

Dobrze, ale przeprawa przez granicę jest zbyt niebezpieczna - stwierdził w innej notce. Na koniec zaś: Tak, powinniśmy się spotkać, ale uważam, że Ty powinieneś przyjechać do mnie.

Wymiana emaili trwała kilka dni, a Al-Balawi z każdym listem stawiał sprawę coraz ostrzej[86]. Idealnym miejscem na to spotkanie - oświadczył - będzie Miranszah, rozległe miasto targowe w Północnym Waziristanie,

oddzielone od Afganistanu pasmem górskim. Al-Balawi znał to miasto i obiecał znaleźć miejsce, gdzie zarówno on, jak i jego jordański rodak będą bezpieczni. Były tam wypełnione ludźmi kafejki, bazary, sklepy i meczety. Mogą spotkać się dyskretnie, nie zwracając niczyjej uwagi, a po spotkaniu Al-Balawi będzie mógł ruszyć dalej.

Bin Zeid łagodnie odwodził go od tego. Północny Waziristan to zbyt ryzykowne miejsce - mówił - za to Chost to ufortyfikowany obóz wojskowy strzeżony przez komandosów Sił Specjalnych i helikoptery szturmowe. Tam obaj będą bezpieczniejsi.

„To ja ponoszę całe ryzyko” - obruszał się Al-Balawi. Był przekonany, że zdradzą go afgańscy szpiedzy kręcący się w pobliżu bazy amerykańskiej, a wtedy będzie skończony - zabiją go w najbardziej makabryczny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Al-Balawi widział, co talibowie robią z osobami podejrzanymi o kapusiostwo. Ponowił swój apel.

Przyjedź do Miranszahu.

Bin Zeid udostępnił te emaile partnerowi z CIA Darrenowi LaBonte, który zaczynał się niepokoić. LaBonte był zasypywany prośbami o najnowsze informacje od szefów w Ammanie i Langley, a jego dotychczasowe odpowiedzi były uznawane za niezadowalające. Obaj partnerzy rozmawiali całymi godzinami o Al-Balawim i jego emailach, i o tym, co to wszystko znaczy. Zapowiadało się to na największą sprawę, z jaką mieli dotąd do czynienia, a jednak, w odróżnieniu od wszystkich wokół, nie mogli pozbyć się wątpliwości. Film wideo był niesłychanie imponujący jako dowód, ale zarazemwielce kłopotliwy. Jak to możliwe, że Al-Balawi, ten strachliwy jak mysz doktorek, który parę miesięcy wcześniej błagał o wypuszczenie do domu, wymyślił coś tak spektakularnego? Czy Al-Balawi to przypadkiem nie kanciarz? Czy nie próbuje wyłudzić od CIA więcej pieniędzy, jak czyniło w przeszłości wielu informatorów? Może ma

szczere zamiary, ale im dłużej obaj zastanawiali się nad tą zagadką, tym mniej byli co do tego przekonani. To było za dużo i za szybko.

Później LaBonte próbował streścić swoje obawy w wewnętrznej notatce służbowej. Rzecz w tym - zaznaczył - że CIA nie wie jeszcze wystarczająco dużo o tym jordańskim agencie, by móc mu całkowicie zaufać. Wydawał się uczciwy, ale na tej podstawie nie można było odgadnąć jego zamiarów.

„Musimy pracować nad tą sprawą trochę wolniej” - napisał[87]. Najwyższy oficer CIA w Ammanie był doświadczonym specjalistą, który służył w Pakistanie i lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał trudną sztukę prowadzenia tajnych agentów. Szef jordańskiej bazy, którego nazwisko pozostaje utajnione, zaakceptował sporządzony przez LaBonte opis kluczowych faktów w sprawie Al-Balawiego, ale doszedł do zupełnie odmiennego wniosku: spotkanie z Al-Balawim było pilnie potrzebne właśnie dlatego, że CIA wie tak mało o tym informatorze i jego motywach. Owszem, wiązało się to z pewnym ryzykiem, ale jeśli kiedyś miał być czas na podejmowanie ryzyka, to nastał on właśnie teraz. Idźmy dalej - polecił.

Ali bin Zeid spędził pierwsze dni grudnia na przygotowaniach do krótkiej, jak sądził, wycieczki. Zimy we wschodnim Afganistanie słyną z tego, że są zimne, więc bin Zeid zadzwonił do starszego brata Hassana i poprosił go, żeby pożyczył mu swoją zimową kurtkę z grubą podszewką i logo North Face. Zrobił ostatnie zakupy i wypolerował swoje czarne magnum 44 Desert Eagle, które lubił zabierać w podróże służbowe.

Kilka dni przed planowanym wyjazdem został jednak niespodziewanie wezwany na spotkanie z kierownictwem Muchabaratu. W sali konferencyjnej zastał swojego bezpośredniego przełożonego i kilku innych wyższych funkcjonariuszy, wszystkich w ciemnych garniturach i krawatach, z posępnymi twarzami.

Wyślemy na spotkanie z Al-Balawim w Afganistanie kogoś innego - oznajmił jeden z oficerów. - Ta misja jest za bardzo ryzykowna dla członka rodziny królewskiej.

Bin Zeid nie wytrzymał. „Ale przecież to moja sprawa” - zaprotestował[88].

Przez większość dnia próbował odwoływać się od tej decyzji we wszystkich możliwych pokojach centrali Muchabaratu. Przekonywał i skarżył się, a kiedy ani jedno, ani drugie nie dawało rezultatu, zaczął grozić.

„Pojadę do Afganistanu, choćbym musiał zrobić to na własną rękę” - oświadczył, po czym zmrużył oczy i rzucił największą groźbę.

„Pojadę do Afganistanu - powtórzył - nawet jeśli będę musiał się zabrać z Amerykanami”.

Bin Zeid przygotował się zawczasu do spełnienia tej groźby i rzeczywiście, w kwaterze głównej Muchabaratu odebrano telefon z bazy CIA w Ammanie, z oficjalną prośbą o przyjazd bin Zeida do Chostu. Amerykanie motywowali to w ten sposób, że tylko jordański kapitan zna osobiście Al-Balawiego i informator może się wzbraniać, jeśli go tam nie będzie.

„Ali jest nam potrzebny” - nalegał dzwoniący z CIA.

Muchabarat dał za wygraną.

Bin Zeid i LaBonte mieli wyruszyć do Afganistanu 6 grudnia, ale Jordańczyk był spakowany już w przeddzień wyjazdu. Nie obyło się bez łez, kiedy żegnał się z rodziną, także z bratową, która nie zaznała spokoju od chwili, kiedy dowiedziała się o tej wycieczce.

Żony obu mężczyzn również były wyjątkowo zaniepokojone. Rachael LaBonte zaczynała obawiać się o urlop we Włoszech, który oboje zaplanowali na Boże Narodzenie - miała przeczucie, że Darren nie zdąży wrócić na czas. Co ważniejsze, z obrazu, jaki sobie wytworzyła na

podstawie strzępów rozmów, wynikało, że mąż ma poważne wątpliwości co do informatora, z którym jedzie się spotkać w Afganistanie.

„On może być zamachowcem samobójcą!” - wyrwało jej się w końcu.

Darren LaBonte często rzucał jakiś żarcik dla rozładowania napięcia, kiedy żona mówiła o swoich obawach w związku z jego pracą. Tym razem tego nie zrobił.

„Masz rację, jest taka możliwość” - odpowiedział z powagą, po czym wziął ją za rękę i spróbował wytłumaczyć targające nim uczucia. Wyjaśnił, że ta sprawa jest akurat warta ryzyka i co więcej - jeśli wszystko się uda, może nareszcie poczuje się spełniony zawodowo. Może nawet raz na zawsze da sobie spokój ze ściganiem terrorystów.

„Ta sprawa jest dokładnie tym, czego szukałem, i jeśli nie pojadę, to będzie wielki błąd - ciągnął. - Jeśli nam się uda, będę mógł z tym skończyć i powiedzieć wreszcie, że zrobiłem to, po co tutaj przyjechałem”.

„Z drugiej strony, jeśli nie pojadę, a coś się stanie…” Urwał. Rachael wiedziała, że myśli o bin Zeidzie. „Nigdy bym sobie tego nie wybaczył” - dokończył.

Obie pary spotkały się na ostatnie pożegnanie w mieszkaniu państwa LaBonte o piątej rano, tuż przed wyjazdem obu oficerów na lotnisko, i wspólnie wypiły kawę na balkonie. Tradycyjne płaczliwe sceny na lotnisku zbytnio zwracały uwagę, poza tym żony zaplanowały tym razem coś wyjątkowego. Obie ogromnie denerwowały się wyprawą do Afganistanu, ale wspólnie postanowiły zrobić, co w ich mocy, żeby się z tym nie zdradzić.

Wiedziały, że ich mężowie są podobnie zafascynowani kulturą starożytnych wojowników, armiami Aten i Sparty. Fida Dawani i Rachael LaBonte pożegnały więc odjeżdżających mężów słowami, którymi Spartanki zagrzewały swoich synów do boju:

„Wróć z tarczą albo na tarczy”.

Gdy jednak obaj oficerowie zgromadzili bagaże, Fida nie mogła się powstrzymać. Odciągnęła Darrena na bok i szepnęła z błaganiem w ciemnych oczach:

„Opiekuj się Alim”.

Muchabarat jeszcze raz spróbował nie dopuścić do spotkania Alego bin Zeida z informatorem Humamem Al-Balawim. Stało się to 5 grudnia, kiedy kapitan jordańskiego wywiadu i jego partner z CIA LaBonte czynili ostatnie przygotowania do podróży.

Wieczorem tego dnia jeden ze starszych członków kierownictwa jordańskiego wywiadu zadzwonił do starego przyjaciela z bazy CIA w Ammanie, żeby porozmawiać prywatnie o sprawie Al-Balawiego.

Mamy poważne obawy - zakomunikował Jordańczyk, po czym przedstawił dwie z nich.

Pierwsza to kwestia precedensu historycznego. Muchabarat miał od lat do czynienia z dżihadystami wszelkiej maści i co nieco o nich wiedział, między innymi to, których można przeciągnąć na swoją stronę. Pomniejsze typki - zbirów i oportunistów, którzy podczepiali się pod ruchy terrorystyczne dla własnej korzyści - można było zrehabilitować i nawet uczynić pożytecznymi informatorami. Ale radykałowie i ideolodzy nigdy nie zmieniali stron. Prawdziwy wyznawca mógł kłamać i zwodzić, ale w głębi duszy nigdy nie mógł zdradzić swojej sprawy. A Humam Al-Balawi miał wszelkie cechy prawdziwego fanatyka.

Argument ten robił wrażenie, zwłaszcza w ustach weterana Muchabaratu, który przesłuchał w życiu dziesiątki radykalnych islamistów. Oficer CIA słuchał uważnie.

Druga obawa brała się z obserwacji zachowania Jordańczyka w ostatnich tygodniach. Czy to nie dziwne - zapytał - że Al-Balawi upiera się

przy spotkaniu w Miranszahu zamiast w ufortyfikowanej bazie, gdzie miałby zapewnione bezpieczeństwo?

Może chcieć was zwabić w pułapkę - ostrzegł oficer Muchabaratu.

Na koniec jednak przyznał, że Muchabarat nie znalazł nic na Al-Balawiego i nie miał konkretnych powodów wątpić w to, że agent faktycznie zyskał dostęp do wyższych szczebli Al-Kaidy. Tłumaczył, że opiera się niejasnych przeczuciach i obawie, iż bin Zeid może nie być odpowiednim oficerem do tej konkretnej sprawy. Może z czasem bin Zeid zanadto zbliżył się do tego rekruta i stracił zdolność trzeźwego osądu.

Jordańczyk na tym zakończył, więc oficer CIA podziękował mu za uwagi i życzył dobrej nocy. Kiedy później rozmyślał o tym ostrzeżeniu, zastanowiła go zwłaszcza jedna myśl wyrażona przez rozmówcę: bin Zeid może nie być odpowiednim oficerem.

Było wiadomo nie od dziś, że mimo wszystkich zalet Muchabaratu był on areną wewnętrznej rywalizacji i prowadzonej przez różne frakcje walki o wpływy. Nawet łagodny bin Zeid miał ponoć rozlicznych wrogów wśród wyższych oficerów, którzy bali się, że kuzyn króla może wykorzystać swoje szlachetne pochodzenie i znajomości w CIA do zapewnienia sobie najlepszego stołka.

W tym świetle ostrzeżenia nagle nabrały sensu. Jordańczycy byli przerażeni nie na żarty: oficer CIA domyślał się, że bali się, iż bin Zeid wkrótce zostanie ich szefem. Mentalnie odłożył wiec rozmowę i nie wspomniał, o niej nikomu, w Ammanie i wylecieli do Afganistanu.

ROZDZIAŁ 12
PRÓBA GENERALNA

Chost, Afganistan - grudzień 2009

Tuż po zachodzie słońca w Boże Narodzenie Jennifer Matthews usiadła przed komputerem i włączyła kamerkę internetową umieszczoną na górze monitora. Miała ciężki dzień i jeszcze o tym nie wiedziała, ale miało być jeszcze gorzej. Samolot Northwest Airlines z Amsterdamu zbliżał się właśnie do Detroit, wiozący na pokładzie młodego nigeryjskiego pasażera z osiemdziesięcioma gramami wojskowych materiałów wybuchowych ukrytych w ubraniu. Podjęta przez Nigeryjczyka próba zmiecenia samolotu z nieba chwilę potem wywołała alarm w bazach CIA na całym świecie i zapewniła antyterrorystom Agencji robotę na całą noc. W zaśnieżonym Fredericksburgu w Wirginii wciąż jednak panowała błoga cisza, a dzieci Matthews nie mogły się doczekać, kiedy otworzą świąteczne prezenty. Matthews miała przyłączyć się do nich za pośrednictwem Skypea44.

Kliknęła „Dom” i zaczekała na połączenie. W ciągu kilku sekund wyświetlił się mały panel wideo, a Matthews patrzyła na migoczące światełka choinki we własnym rodzinnym pokoju.

„Cześć, mamuś!” - dobiegło chóralne powitanie trojga dzieci. Mąż Matthews zadbał o połączenie wideo, żeby dzieci mogły nie tylko regularnie rozmawiać z mamą, kiedy była za granicą, ale też ją widzieć. Matthews i jej mąż zaplanowali wcześniej, że tak właśnie spędzą

bożonarodzeniowy poranek - rodzice Jennifer mieli dołączyć do wnuków i świętować Boże Narodzenie z twarzą córki na ekranie komputera. Wszyscy obiecali sobie, że postarają się, aby ten dzień minął im tak normalnie, jak to tylko możliwe.

Matthews wypytała o najnowsze wieści z domu, a później wszyscy rozpakowali prezenty: najpierw dzieci, potem mama, która otworzyła paczkę przysłaną jej do Afganistanu kilka tygodni wcześniej. Kiedy skończyli, a rozmowa o wszystkim i o niczym przycichła, sześcioletni synek Matthews, jej najmłodsze dziecko, pisnął nagle: „Mamusiu, pokażesz nam swój karabin?”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale Matthews posłusznie spełniła prośbę. Chwyciła karabin, który trzymała u siebie w baraku, a potem wyciągnęła z kabury pistolet. Twarz chłopca rozjaśniła się w uśmiechu. Niewiele mam jego kolegów miało swoje własne karabinki szturmowe.

Rozmowa zakończyła się raptem, kiedy do drzwi zapukał asystent, który powiadomił Matthews o obiedzie czekającym w stołówce. Oczekiwano, że Jennifer jako szefowa bazy weźmie udział w tym specjalnym świątecznym posiłku. Po słowach pożegnania i paru przesłanych całusach Matthews wróciła do swojej pracy w Afganistanie. Wzięła ciężki płaszcz i kamizelkę kuloodporną i skierowała się do jadalni.

Dzień w Choście był pochmurny, zimny i mokry, co jeszcze bardziej podkreślało ponurą atmosferę, jaka zaległa nad bazą przed dwoma tygodniami. Do grudnia życie wydawało się nowej szefowej bazy do ogarnięcia, przewidywalne, nawet poniekąd zwyczajne. Przywykła do długich godzin pracy i zaadaptowała się do ról, które początkowo wydawały się niezgodne z jej naturą. Biegała prawie codziennie i traciła na wadze. Zaczynała zdawać sobie sprawę, jak szybko może minąć rok w miejscu takim jak Chost. Wtedy pojawił się Humam Al-Balawi.

Matthews dowiedziała się o istnieniu tego jordańskiego informatora wczesną jesienią, ale do niedawna ani ona, ani Chost nie mieli z nim nic wspólnego. Al-Balawi został zwerbowany przez Amman i był prowadzony przez Langley oraz bazę CIA w Islamabadzie. Teraz jednak postanowiono, że Al-Balawi przyjedzie do Chostu, a Matthews odegra rolę gospodyni.

W normalnych okolicznościach dla nowej szefowej dążącej do ugruntowania swojej opinii byłaby to wielka gratka. Jednak po tygodniach wyczekiwania i niekończących się sporach o warunki - z własnym personelem, z Langley, a pośrednio także z samym informatorem - jej entuzjazm przygasł.

W operacji „Al-Balawi" pragnęło uczestniczyć mnóstwo osób z zewnątrz, w tym szefowie CIA w Langley, Ammanie i Kabulu. Nie było jednak nikogo, kto by wyraźnie nią kierował. Tymczasem Al-Balawi mógł się zjawić w bazie Chost choćby jutro, pojutrze, albo mógł się nie zjawić wcale.

Przynajmniej jednemu z tych problemów - kierownictwa - można było zaradzić. Matthews nigdy nie miała oporów przed zaznaczaniem swojego autorytetu. To prawda, podważano jej decyzje, ale Jennifer Matthews postanowiła, że jeśli ma się to wydarzyć w jej bazie, to ona tu będzie dowodzić.

Presja była niewyobrażalna. O zbliżającej się wizycie Humama Al-Balawiego wiedziały może dwa tuziny osób na całym świecie, ale tak się złożyło, że jedna z tych osób mieszkała przy Pennsylvania Avenue 1600 w Waszyngtonie. Prezydent Barack Obama, podczas drugiego briefingu na temat jordańskiego „złotego źródła" zostałpoinformowany o szykowanym przez CIA spotkaniu z informatorem w Afganistanie. Wiedział, że zespół Agencji przypatrzy się temu człowiekowi i go zweryfikuje, a następnie uzbroi na misję przeciwko jednemu z najbardziej zdeterminowanych

wrogów Ameryki, drugiemu człowiekowi w Al-Kaidzie - Ajmanowi az-Zawahiriemu. Prezydent Stanów Zjednoczonych tymczasem będzie oczekiwał wiadomości o nadzwyczajnych wydarzeniach w Choście.

Jako osoba odpowiedzialna za szczegóły wizyty Al-Balawiego Matthews usiadła któregoś zimowego popołudnia przed komputerem, żeby opracować plan najważniejszej operacji w swoim życiu[89]. Musiała wymyślić, jak przetransportować informatora do Afganistanu, namówić go do współpracy, przeszkolić i odesłać z powrotem w taki sposób, aby nikt nie zdążył za nim zatęsknić ani nawet zauważyć jego nieobecności. Nic, co napisała przez dwie dekady pracy w CIA, nie mogło się z tym równać. Kilka tygodni później weterani Agencji przestudiowali plan Matthews[90] i zachwycili się jego elegancką prostotą.

Decydujące znaczenie miała organizacja czasowa. W ocenie Matthews CIA miała na wszystko około dziewięciu godzin, niewiele więcej niż zwykły dzień roboczy w Waszyngtonie. Pierwszą przeszkodą do pokonania było wydobycie informatora z Pakistanu. Al-Balawi mógł dotrzeć samodzielnie do granicznego miasta Gulam Chan, ale potrzebował pomocy w przekroczeniu granicy i przedarciu się przez opanowane przez talibów góry. Matthews uznała, że nie ma mowy o użyciu helikopterów, a wysłanie oficerów SAD albo innych Amerykanów byłoby zbyt ryzykowne. Zwróciliby na informatora uwagę miejscowych i gdyby zostali zatrzymani, prawdopodobnie porwano by ich albo zabito. Zdecydowała więc, że wyślą na granicę zaufanego Afgańczyka.

Al-Balawi potrzebował pretekstu, wiarygodnego powodu, dla którego opuści na kilka dni swoich talibskich gospodarzy. CIA wymyśliła sprytną historyjkę. Jako nowy lekarz az-Zawahiriego musi pojechać do Miranszahu po lekarstwa dla swojego słynnego pacjenta. Agencja dostarczy Al-

Balawiemu paczuszkę, którą ten zabierze ze sobą do Pakistanu: tabletki i balsamy, które poprawią biednemu diabetykowi krążenie krwi i ulżą mu w problemach skórnych.

Następnym wyzwaniem było wprowadzenie Al-Balawiego do bazy i wyprowadzenie z niej w taki sposób, by osoby niepowołane nie poznały jego tożsamości. Matthews wiedziała, że największych kłopotów nastręcza brama wjazdowa. Wśród afgańskich żołnierzy rozstawionych wokół zewnętrznego ogrodzenia bazy mogli być talibscy szpiedzy, a już niemal na pewno nie brakowało ich wśród miejscowych cywilów, którzy gromadzili się przy bramie, szukając pracy albo pomocy medycznej. W Choście CIA zawsze błyskawicznie przewoziła kluczowych informatorów przez główną bramę, nie sprawdzając ich tożsamości, aby nikt nie zobaczył ich twarzy. Agent tak cenny jak Al-Balawi zasługiwał na jeszcze większe środki bezpieczeństwa.

Wreszcie - samo spotkanie. Matthews wyobrażała je sobie jako „walne zebranie”. Langley musiało wiedzieć, czy Al-Balawi jest szczery, czy to tylko utalentowany oszust, więc Matthews zdecydowała się wezwać swoich doświadczonych oficerów prowadzących, którzy mieli zadawać pytania i studiować mowę ciała agenta. Al-Balawi prawdopodobnie zna dużo szczegółów na temat wielu innych terrorystów oprócz az-Zawahiriego, więc Matthews potrzebowała swoich najlepszych ekspertów od Al-Kaidy i talibów, żeby w pełni wykorzystać to, co mogło okazać się jedyną szansą Agencji na wywiad ze swoim człowiekiem w Al-Kaidzie. Co najważniejsze, jeśli Jordańczyk miał rzeczywiście doprowadzić CIA do az-Zawahiriego, to potrzebował specjalnego przeszkolenia, a zapewne także narzędzi. Technicy mieli pokazać mu, jak za pomocą tajnych sygnałów komunikować, gdzie i kiedy powinien nastąpić atak. Agencja miała w swoim instrumentarium mnóstwo gadżetów, miedzy innymi telefon

komórkowy umożliwiający robienie i wysyłanie zdjęć, które wyglądają zupełnie zwyczajnie, a w istocie mają zakodowane współrzędne geograficzne. Po rozszyfrowaniu obraz daje odpowiedź na pytanie, w którym dokładnie miejscu na Ziemi został zrobiony.

Matthews zastanawiała się poważnie nad jeszcze jednym ważnym czynnikiem. CIA wymagała od Al-Balawiego, by narażał swoje życie, Agencja musiała więc zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby był zadowolony i zmotywowany. Matthews słuchała pilnie jordańskiego oficera prowadzącego Alego bin Zeida, gdy ten opisywał jej zmienność nastrojów informatora i jego delikatną psychikę. Al-Balawi pochodzi z kultury, która nakazuje uprzejmość w kontaktach służbowych - tłumaczył bin Zeid - i po dziesięciu miesiącach niebezpiecznej pracy w Pakistanie czuje, że należy mu się pewien szacunek. Matthews miała zadbać o to, aby dostał to, czego chciał. Będzie zatem oficjalność w arabskim stylu, w tym rozbudowane powitanie z prezentacjami, uściskami dłoni i wymianą uprzejmości. Zaoferują Al-Balawiemu jedzenie i opiekę medyczną, a w osobistym geście mającym scementować przyjaźń zaskoczą go tortem urodzinowym z polewą czekoladową, upieczonym przez własnych cukierników bazy.

„Musimy sprawić, żeby czuł się mile widziany” - powtarzała raz po raz podwładnym. Matthews przejrzała swoje notatki. Licząc razem z ochroniarzami i gościem, na spotkaniu miało być szesnaście osób, a może i więcej. Plan był niecodzienny, ale przecież Al-Balawi był bardzo niecodziennym agentem. Oferował coś więcej niż typowe plotki talibów, wymieniane szeptem w kawiarniach czy zaułkach. Obiecywał rewanż za 11 września i za sto innych niesławnych zbrodni. Bardzo możliwe, że wskaże im drogę do zniszczenia samej Al-Kaidy.

Po zakończeniu Matthews zreferowała swój plan Langley i poprosiła o zaopiniowanie go. Niektóre szczegóły trzeba było jeszcze uzgodnić, a CIA

zapowiedziała, że przyśle dwoje oficerów z Kabulu, zastępcę szefa bazy oraz Elizabeth Hanson, do pomocy przy organizacji spotkania. Kierownictwo CIA zgadzało się jednak w kluczowych punktach. Al-Balawi musi być chroniony za wszelką cenę, zarówno przed niebezpieczeństwem, jak i przed wzrokiem ciekawskich. Powinien być traktowany z szacunkiem, jakim darzy się kogoś zaufanego i bardzo cennego - usłyszała Matthews.

Czy był godzien zaufania? W spokojniejszych czasach, zanim jeszcze amerykański wywiad zaczął kierować gromadzeniem danych wywiadowczych jednocześnie w dwóch wojnach, Agencja przydzielała każdemu podwójnemu agentowi i zagranicznemu szpiegowi specjalistę, który badał jego zachowanie pod kątem ewentualnych oznak podstępu. Odsiewanie szpiegów było w CIA domeną wydziału kontrwywiadu, mistrzów w sztuce eliminowania kretów i innych zagrożeń wywiadowczych. Po rozpoczęciu wojny w Iraku rozpaczliwie brakowało jednak czasu na monitorowanie agentów i zalew informatorów nie pozwalał kontrolować ich wszystkich. Niepewni czy trudni agenci byli po prostu zwalniani albo zastępowani przez innych. Nie polecono kontrwywiadowi formalnie sprawdzić Al-Balawiego[91], gdyż agent ten został zwerbowany przez przyjazny wywiad i dostał zadanie, zanim amerykańscy oficerowie mieli szansę się mu przyjrzeć.

Wiele tygodni później zorientowani w sprawie oficerowie kontrwywiadu powiedzieli śledczym z CIA, że zachowanie Al-Balawiego wydało im się podejrzane[92]. Podobnie jak oficer Muchabaratu w Ammanie niepokoili się, że wydarzenia w Pakistanie dzieją się za szybko i za łatwo.

Matthews nie usłyszała jednak żadnej z tych obaw i pod koniec grudnia zyskała aprobatę dla swojego starannego, dobrze napisanego planu, którego

nadrzędnym celem było zapewnienie bezpieczeństwa Humamowi Al-Balawiemu.

Darren LaBonte przebiegł wzrokiem po tłumie zgromadzonym przed centrum raportowym CIA i pokręcił głową. Był dzień próby generalnej przed spotkaniem z jordańskim informatorem, ten jednak wciąż nie dawał znaku życia i wszystko wydawało się po prostu nie takie, jak trzeba[93].

„Stado gęsi - utyskiwał LaBonte, używając swojego ulubionego określenia na bezsensowne biurokratyczne spędy. - Klaunada".

Eksranger, w bazie Chost od dwóch tygodni, stał z Alim bin Zeidem i trzynastoma innymi oficerami na żwirowym placyku. Instruowano ich, jak mają przywitać Al-Balawiego, jeśli oczywiście nieuchwytny Jordańczyk postanowi się pojawić. Nierówny szereg powitalny mężczyzn i kobiet w dżinsach i ubraniach z demobilu ciągnął się wzdłuż frontu budynku, w którym miało się odbyć spotkanie, a Jennifer Matthews omawiała z każdym jego rolę. Budynek, szara betonowa konstrukcja z metalową markizą wspartą na stalowych słupach, był położony na odległym końcu minitwierdzy CIA mieszczącej się w obrębie bazy, kilka metrów od wieży strażniczej, z której roztaczał się widok na miasto Chost. Po dwóch nużących tygodniach w kompleksie CIA LaBonte dobrze znał to miejsce.

Przyjrzał się prowadzącej ćwiczenie. Lubił Matthews, ale jak wyjaśnił bliskiemu przyjacielowi w nocnej rozmowie przez Skypea podczas tygodnia świąt Bożego Narodzenia, jej styl rządzenia pod hasłem „zrobimy to po mojemu albo wcale" szybko zaczął działać mu na nerwy.

„Nieustannie ścierali się w związku z Al-Balawim - wspominał jego przyjaciel, referując poglądy LaBonte. - Był oficerem prowadzącym, więc była to jego sprawa. Ale nie podobało mu się, jak nią kierowano".

Główna skarga LaBonte brzmiała: za dużo osób. Czternastu agentów wywiadu plus kierowca to jak na jego gust około tuzina za dużo.

Zarówno LaBonte, jak i bin Zeid pracowali z wieloma tajnymi agentami w Afganistanie i na Bliskim Wschodzie i z doświadczenia wiedzieli, że spotkania z informatorami powinny być bardzo kameralne. Oficer podjeżdżał samochodem do umówionego miejsca, a jego partner, który siedział na tylnym siedzeniu, sprawdzał, czy informator nie ma przy sobie urządzeń podsłuchowych albo broni. W Choście oficerowie z Ammanu mieli zakaz opuszczania bazy - ryzyko porwania było zbyt wielkie - ale LaBonte i tak był zwolennikiem małych spotkań, ze względów bezpieczeństwa. Agencja zazwyczaj nie zdradzała swoich działań operacyjnych nawet najbardziej zaufanym informatorom i nie ujawniała przed nimi nazwisk ani twarzy agentów CIA innych niż personalia ich bezpośrednich przełożonych. Tak było bezpieczniej dla wszystkich: im mniej wiedział informator, tym mniej mógł zdradzić, gdyby wpadł w ręce drugiej strony i stanął wobec groźby tortur albo egzekucji.

Pomijając kwestie logistyczne, LaBonte miał złe przeczucia co do kierunku, w jakim zmierza ta sprawa, i wspominał o nich w rozmowach z bin Zeidem i z przyjacielem, z którym kontaktował się przez Skypea. Czy jego niepokój był po prostu skutkiem dwóch tygodni niepewności i nudy, czy było to coś więcej - może jego słynny „pajęczy zmysł” - trudno powiedzieć.

„Zarówno on, jak i Ali [bin Zeid] odnosili się do tego sceptycznie - wspominał przyjaciel. - Nie wykluczali, że facet może być oszustem albo czyhać na pieniądze. Niby nic nie wskazywało na to, że grozi im niebezpieczeństwo albo że facet zmienił strony, ale kto siedzi obok az-Zawahiriego, by zaraz potem wziąć udział w operacji, której celem jest jego zabicie?”

Inni, w tym ciężko uzbrojeni pracownicy ochrony bazy odpowiedzialni za bezpieczeństwo oficerów CIA, mieli podobne wątpliwości. Podczas

próby generalnej doszło do ostrej wymiany zdań między Matthews a szefem ochrony Scottem Robersonem. Incydent ten został opisany później przez świadków śledczym z CIA.

Roberson, choć sam był nowy w bazie, spędził dużą część ostatniej dekady, ochraniając najwyższych reprezentantów rządu USA w Bagdadzie i ćwiczył swój instynkt w najtrudniejszych latach, kiedy rebelianci przeprowadzali setki ataków dziennie. W dniu próby generalnej kilku oficerów widziało, jak Roberson i Matthews oddalają się od grupy, po czym zawzięcie dyskutują o czymś przyciszonymi głosami. Według relacji świadków Roberson podszedł następnie do ochroniarza Danea Paresiego i wzruszył ramionami. Nie było wiadomo, o co chodziło, ale tym, którzy to widzieli, wydawało się, że spór został zażegnany.

Mniej więcej w tym czasie Paresi, były zielony beret, poskarżył się kolegom z Blackwater na ustalenia w kwestii ochrony. A były komandos SEAL Jeremy Wise, na zleceniu w Choście dopiero od dwóch tygodni, w emailu przesłanym przyjacielowi z tej formacji 21 grudnia zasugerował, że na parę dni przed ważną operacją poróżnił się z cywilnym szefostwem Agencji. „Czasem człowiek ma obowiązek zwrócić na coś uwagę: »Sir, uważam, że nie powinien pan tego robić. To nie jest dobry pomysł«„ - napisał6.

Po wielu dniach takich przepychanek LaBonte postanowił wreszcie zwrócić się do swoich przełożonych z CIA w Jordanii. Usiadł przy komputerze i napisał do szefa bazy w Ammanie email z kopią do kilku innych członków kierownictwa bazy. Ostrzegł w nim, że istnieje niebezpieczeństwo, iż sprawa Al-Balawiego wymknie się spod kontroli.

Mamy trzy problemy - napisał, według relacji oficera, który przeczytał tę notkę. Następnie je wymienił. Zbyt wiele osób bierze w tym udział. Działamy zbyt szybko.

W zbyt dużym stopniu tracimy kontrolę, pozwalając Al-Balawiemu dyktować nam warunki.

Email wywołał poruszenie w Ammanie. Szef bazy przeczytał go dokładnie, ale nie zdecydował się interweniować. Sprawa jest na tyle ważna, że musi postępować - powiedział współpracownikom.

Nie wiemy, czy kierownictwo CIA w Langley widziało ten list przed przybyciem Al-Balawiego. Nie przesłano go do Matthews, która tak czy owak znała zastrzeżenia LaBonte na pamięć.

Później, podczas ostatnich przygotowań do wizyty Al-Balawiego, szef ochrony w bazie Chost udzielił dobrej rady koledze wybierającemu się na to spotkanie, żeby na własne oczy zobaczyć informatora, który zrobił taką furorę.

Trzymaj się od tego z daleka - ostrzegł Roberson.

Koniec świąt tylko wzmógł przygnębienie bin Zeida i LaBonte. Przylatując do Chostu, ci dwaj oficerowie z Ammanu myśleli, że czeka ich krótka wizyta i szybkie spotkanie, a tu siedzieli już trzeci tydzień w bazie prawie bezczynnie i w dodatku nie wyglądało na to, że Al-Balawi się pojawi.

Starania LaBonte o zmianę organizacji spotkania spełzły na niczym. W Choście szefową była Matthews, a Kabul i Langley stały za nią murem. Poszła na drobne ustępstwa w kwestii bezpieczeństwa - zgodziła się, aby Al-Balawi został przeszukany zaraz po wejściu do tajnej twierdzy CIA, podczas gdy oficerowie mieli zachować pełen szacunku dystans i stać piętnaście metrów dalej. Zmiana miejsca albo przekonania, że debriefing takiej wagi wymaga obecności dużego zespołu różnych specjalistów, nie wchodziła jednak w grę. LaBonte zaczynał się zastanawiać, czy to ma jakieś znaczenie: Al-Balawi dalej nalegał, by spotkano się z nim w

Pakistanie, choć wszyscy wiedzieli, że to niemożliwe. Istniała realna groźba, że spotkanie zostanie odwołane, a cała misja zakończy się fiaskiem.

Przygnębienie obu oficerów potęgowała jeszcze tęsknota za domem. Rodzina LaBonte już od tygodnia spędzała ferie w domku w Toskanii, który Darren osobiście wybrał przez internet. Zamiast dołączyć do żony i dzieci, spał na pryczy w śmierdzącym domu gościnnym, w towarzystwie obcych facetów. Bin Zeid tymczasem powoli dostawał kręćka po tygodniach izolacji od świata. Z obawy, że członek jordańskiej rodziny królewskiej może stać się kuszącym celem dla afgańskich żołnierzy, którzy mogli potajemnie sympatyzować z talibami, CIA ograniczyła jego swobodę poruszania się do niewielkiego wycinka terenu bazy.

Bin Zeid niechcący spowodował rzadki wybuch wesołości w bazie, kiedy omal nie spalił jednej z łazienek. Jako człowiek, który cierpiał na fobię na punkcie zarazków, poczuł się zmuszony wysterylizować toaletę i oblał deskę sedesową chemicznym środkiem czyszczącym. Kiedy zapalił zapałkę, buchnął płomień, który osmalił mu brwi.

Inni mieszkańcy bazy usiłowali wykorzystać do ostatka każdą najdrobniejszą przyjemność związaną z niedawno minionymi świętami. Wznoszono toasty w barze, jednym z nielicznych miejsc w suchej jak pieprz konstelacji amerykańskich placówek w Afganistanie, gdzie można było kupić piwo. Otwierano paczki z ciasteczkami i plackami bożonarodzeniowymi i częstowano kolegów. Wise, były komandos Navy SEAL i ochroniarz Blackwater, chwalił się ilustrowaną listą prezentów, którą pokolorował i przysłał mu emailem synek Ethan.

Trzy dni później ostatnie świąteczne smakołyki były już zjedzone, a nadzieje na spotkanie z Al-Balawim wyparowały. LaBonte skorzystał z komórki bin Zeida, żeby zawiadomić żonę, że sprawy w Afganistanie zostały zamknięte - wyleci do Włoch, jak tylko uda się mu zabukować lot.

Szybko się okazało, że się pospieszył. W ciągu kilku godzin od jego telefonu bin Zeid nareszcie otrzymał email z wiadomością, na którą wszyscy czekali. Humam Al-Balawi ostatecznie zgodził się przyjechać do Chostu. Zjawi się w bazie następnego dnia.

LaBonte zdecydował się nie dzwonić jeszcze raz do rodziny. Nie chciał rozczarować najbliższych, poza tym zmiana decyzji Al-Balawiego oznaczała tylko niewielkie opóźnienie w jego wyjeździe. Możliwe, że zdąży jeszcze dolecieć do Włoch na sylwestra.

Rychły przyjazd Al-Balawiego oznaczał także, że Elizabeth Hanson niedługo wróci do Kabulu. Targeterka zadzwoniła do matki w Rockford w Illinois, żeby jej o tym powiedzieć.

Zawsze starała się rozmawiać z mamą optymistycznym tonem, żeby oszczędzić jej zmartwień. Powiedziała o zbliżającym się ważnym spotkaniu, ale niewiele ponadto.

Jednak tego wieczoru, kiedy Al-Balawi był nareszcie w drodze, Hanson nie tryskała humorem jak zawsze. Zakończyła rozmowę słowami, których jej matka nie słyszała od niej, odkąd Elizabeth była dzieckiem. „Pomódl się za mnie - powiedziała. - Pomódl się, żeby wszystko dobrze się ułożyło”[94].

ROZDZIAŁ 13
POTRÓJNY AGENT

Datta Chel, Północny Waziristan - grudzień 2009

Pasztun znany jako krawiec Al-Kaidy mieszkał w domu niedaleko wsi Datta Chel w Północnym Waziristanie i zarabiał na życie, szyjąc kamizelki dla zamachowców samobójców. Pewnego ranka w połowie grudnia siedział przy swojej staroświeckiej maszynie do szycia, realizując nowe zlecenie, na kamizelkę zupełnie inną niż te, które robił zazwyczaj[95].

Słynął z genialnie prostych projektów, jednocześnie niezawodnych i tanich - mających zatem dwie kluczowe zalety dla organizacji terrorystycznej, która przeprowadzała zamachy samobójcze na skalę przemysłową. Zaczął od solidnej bawełnianej kamizelki z demobilu, jakie często można było znaleźć na lokalnym bazarze, i przyszył do niej grube pasy, pozwalające dokładnie i ciasno przymocować ją do torsu. Dodał płócienne kieszenie i wypchał je paczuszkami z białym proszkiem nadtlenku acetonu, materiałem wybuchowym popularnym na terytoriach plemiennych Pakistanu, ponieważ można go sporządzić w domu z ogólnie dostępnych składników. Następna była warstwa szrapneli - setki gwoździ i innych kawałków metalu przyklejonych do arkuszy grubego papieru lub płacht płótna pokrytych z jednej strony klejem. Na koniec wsunął do paczuszek z proszkiem spłonki i przyczepił je do kabli podłączonych do małej dziewięciowoltowej bateryjki i taniego detonatora. Ten ostatni wszył

w osobną kieszeń zamykaną na zamek błyskawiczny. Ten trik miał wedle jego wyjaśnień służyć temu, aby młodzi, zapalczywi przyszli męczennicy nie wysadzali się w powietrze zbyt szybko. Dodatkowa sekunda czy dwie grzebania przy zamku błyskawicznym miała przypomnieć zamachowcy, żeby przysunął się jak najbliżej celu i spowodował maksymalny rozlew krwi.

Ciasnota kamizelki oraz umiejscowienie kieszeni z materiałem wybuchowym miały skierować energię eksplozji na zewnątrz, w kierunku osób stojących bezpośrednio przed zamachowcem. Część fal tej energii musiała oczywiście popłynąć w górę, rozrywając jego ciało w najsłabszym punkcie, między kośćmi szyi a dolną szczęką. To tłumaczy osobliwe zjawisko: głowy zamachowców samobójców zostają w momencie detonacji oderwane od ciała i są później znajdowane w doskonałym stanie kilka metrów od poszarpanych szczątków torsu. Kiedy zastępy zamachowców atakowały izraelskie autobusy i kawiarnie podczas palestyńskiego powstania, które wybuchło w 2000 roku, policja przekonała się, że często można odróżnić ciało zabitego zamachowca od jego ofiar po tym, że jego zwłoki są pozbawione głowy[96].

Tego dnia podziwiała krawca przy pracy grupka młodych pakistańskich rekrutów, niektórzy wyznaczeni na przyszłych zamachowców. Jeden robił zdjęcia komórką, kiedy krawiec sięgnął do skrzyni z materiałami wybuchowymi i wyciągnął niespodziankę: nie zwykłe paczuszki z proszkiem, tylko podobne do plasteliny laski dużo silniejszego wojskowego materiału wybuchowego zwanego C4. Ugniótł je, rozpłaszczył i zaczął wsuwać kolejno do rzędu trzynastu płóciennych kieszeni, które przyszył do kamizelki od zewnątrz. Następnie zanurzył pędzel malarski w wiaderku z klejem przemysłowym i rozprowadził białą breję po dużym kwadracie solidnej bawełnianej tkaniny. Potem cierpliwie naszpikował tkaninę

kawałkami metalu, kawałek po kawałku, rząd za rzędem, stalowe kulki na przemian z gwoździami i odpadkami, a na koniec dołożył błyszczące poskręcane przedmioty dobrze znane każdemu Amerykaninowi - dziecięce hacele.

Przyglądający się temu młodzieńcy toczyli między sobą żywiołowe dyskusje o tym, kto założy tę specjalną kamizelkę. Większość spekulacji koncentrowała się na młodym obcokrajowcu, którego nazywali Abu Leila, zgodnie z arabskim zwyczajem tytułowania dorosłych mężczyzn imieniem ich najstarszego dziecka, poprzedzonym przedrostkiem Abu oznaczającym „ojciec”. Ojciec Leili nie był jednak tego taki pewien. Wyjeżdżając do Pakistanu, Humam Al-Balawi wyobrażał sobie siebie jako mudżahedina, bojownika świętej wojny, prowadzącego sprawiedliwą walkę z wrogami Boga, może nawet okupioną śmiercią. Nie wyobrażał sobie jednego: kamizelki zamachowcy samobójcy. Ta u krawca w Datta Chel już powstawała - rząd za rzędem nabity kawałkami metalu - ale Al-Balawi miał jeszcze czas. W następnych dniach starał się ze wszystkich sił doprowadzić do tego, żeby kamizelka jednak znalazła się na torsie kogoś innego. Wszystko jedno kogo, tylko nie jego.

Nic nie szło po myśli Al-Balawiego.

Śmierć Bajtullaha Mehsuda zdawała się kresem wszystkiego, może nawet życia jordańskiego lekarza. Drobniutki Mehsud był jego gospodarzem i głównym obrońcą, kiedy inni przywódcy talibów, a nawet doradcy jego protektora patrzyli na niego krzywym okiem. Teraz, kiedy odszedł, podejrzenia wróciły. Może to Jordańczyk skierował pociski przeciwko talibskim dowódcom, także przeciwko Mehsudowi?

Na szczęście dla Al-Balawiego innych podejrzanych było na pęczki. Piętnaście miesięcy nieubłaganych ataków dronów dało początek osobliwym teoriom na temat dziwnej precyzji ataków rakietowych

CIA[97]. Większość hipotez skupiała się na „atramencie sympatycznym”, którym rzekomo spryskiwano pojazdy ze strzykawek, albo na tajemniczych mikroczipach zwanych przez niektórych Pakistańczyków „kamieniami biżuteryjnymi”, służących jako urządzenia naprowadzające dla pocisków, możliwe do ukrycia w papierosach, a nawet zamaskowane jako zwykłe kamienie. Niejeden talib zginął z rąk pobratymców, podejrzany o podkładanie tych urządzeń w pobliżu domów prominentnych bojowników.

Poszukiwanie szpiegów zostało jednak przerwane, kiedy ludzie Bajtullaha Mehsuda zaczęli spierać się o to, kto zastąpi zabitego przywódcę. Jedna z dysput przerodziła się w strzelaninę i omal nie doprowadziła do śmierci Hakimullaha Mehsuda, charyzmatycznego młodszego kuzyna Bajtullaha i prawdopodobnego lidera w wyścigu o przywództwo. Ranny Hakimullah potrzebował lekarza, a umiejętności Al-Balawiego przypuszczalnie uratowały życie młodego człowieka, a może również samego lekarza.

Ledwie trzydziestoletni, Hakimullah był wysoki i przystojny - przy drobnym Bajtullahu wyglądał jak zarośnięty Che Guevara obok Karola Marksa, ale obaj byli tak samo porywczy i obaj polubili jordańskiego lekarza. Śmierć kuzyna głęboko dotknęła Hakimullaha, któremu jako nowemu szefowi przypadł moralny obowiązek dopełnienia badał - tradycyjnej pasztuńskiej krwawej zemsty plemiennej. Al-Balawi miał pożyteczne umiejętności, między innymi, jak się wydawało, możliwości komunikowania się z CIA. Czy pomoże pomścić śmierć Bajtullaha?

Na razie Hakimullah zdecydował, że Al-Balawiemu przyda się przeszkolenie wojskowe. Klan Mehsudów prowadził obozy szkoleniowe dla dżihadystowskich rekrutów i już niebawem młody lekarz zmierzał do zakurzonego obozu w wiosce Issori w Północnym Waziristanie, wraz z

kilkudziesięcioma innymi młodzieńcami, którzy mieli ambicję walczyć za sprawę talibów.

Dzień Al-Balawiego zaczynał się teraz o 5.30 rano[98] i do południa był wypełniony gimnastyką zdrowotną, strzelaniem do celu i pokonywaniem torów przeszkód. Po południu kursanci studiowali produkcję środków wybuchowych, w tym mechanikę działania kamizelek dla zamachowców oraz przydrożnych bomb. Po przerwie na posiłek i obowiązkowe codzienne modlitwy w meczecie grupa gromadziła się ponownie wieczorami na dyskusje teologiczne i taktyczne. Miejscowi młodzi Pasztuni, nastoletni i dwudziestoparoletni, bo tacy stanowili znakomitą większość uczniów, chętnie przywitali w swoim gronie starszego arabskiego doktora, o którym mówiono, że to słynny eseista Abu Dudżana al-Chorasaani. Jednak wyśrubowane wymagania kondycyjne na obozie obnażały zawstydzające wady Al-Balawiego. Po zakończeniu kursu ciągle jeszcze borykał się z podstawami strzelania z karabinka szturmowego AK-47 - pozwalał, żeby lufa odchylała się do góry pod wpływem siły odrzutu, przez co strzelał zawsze dużo powyżej celu.

Największy stres przeżył podczas ćwiczeń jednego z ulubionych przez talibów elementów taktyki, atakowania samochodów z zasadzki przez parę zabójców na motocyklach. Al-Balawi nigdy nie jeździł na motorze, a tutaj musiał pędzić po ubitej drodze, trzymając jednocześnie kierownicę i broń. W pewnym momencie na miękkim odcinku drogi stracił panowanie nad kierownicą i rąbnął w drugi motocykl, przewracając oba pojazdy. Poczuł bolesne chrupnięcie w dole prawej nogi, a chwilę potem pieczenie na twarzy i ręce, kiedy rzucony na drugą stronę drogi, zarył w żwir. Przez chwilę leżał nieruchomo, szacując w myślach szkody. Miał złamaną kość strzałkową prawej nogi, ale bez wątpienia gorsza była skaza na jego reputacji. Po co komu dżihadysta, który nie umie walczyć?

Al-Balawi nie miał pojęcia, że od kilku miesięcy jest pilnie obserwowany i badany przez ludzi, którzy dostrzegali w nim potencjał. W końcu, w tygodniach po śmierci Bajtullaha Mehsuda, Al-Kaida wykonała ruch.

Al-Balawi został zaproszony na spotkanie z dowódcą średniego szczebla Abdullahem Saidem alLibim, szefem operacyjnym Al-Kaidy w Pakistanie. Niedługo potem Libijczyk przygotował lekarzowi miejsce w swoim obozie, a Al-Balawi przeprowadził się tam na krótki czas. Jordańczyk stopniowo poznawał innych z wąskiego kręgu przywódców Al-Kaidy w Północnym Waziristanie. Pił herbatę z Atiją Abd Al-Rahmanem, ich doradcą religijnym oraz dyplomatą, a na koniec został przedstawiony komuś, kto faktycznie był głównym dowódcą taktycznym całej Al-Kaidy. Na prowadzonych przez Langley listach przywódców grupy człowiek znany jako szejk Said al-Masri figurował jako numer trzy. W rzeczywistości al-Masri dyktował warunki, podczas gdy numer jeden i numer dwa komunikowały się rzadko i tylko za pośrednictwem zaufanych gońców.

Al-Masri zerknął na Al-Balawiego przez wąskie, dziwnie kobiece okulary. Ten małomówny stary wojownik miał pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądał wiekowo - jego pociągła twarz była ogorzała i poorana zmarszczkami, a rozwichrzona broda przetykana siwizną. Na czole, tuż pod białym turbanem, miał siniak w kształcie kciuka, spadek po latach przyciskania głowy do podłogi podczas codziennych modłów.

Szejk nie lubił bezproduktywnego gadania. W młodości ten kairski radykał urodzony jako Mustafa Ahmed Abu al-Jazid był więziony i torturowany wraz z Ajmanem az-Zawahirim za udział w spisku mającym na celu zamordowanie prezydenta Egiptu Anwara Sadata. Dołączył do egipskiej komórki terrorystycznej az-Zawahiriego i był obecny podczas jej fuzji z Al-Kaidą. Przeżył liczne zamachy na swoje życie, między innymi

chybiony o włos atak w 2006 roku, kiedy pociski CIA uderzyły w dom w północnym Pakistanie, gdzie az-Zawahiri miał przebywać jako gość. Teraz, poszukiwany za terroryzm już od trzydziestu prawie lat, starannie dbał o swoje bezpieczeństwo, jednocześnie wykazując kompletną obojętność wobec bezpieczeństwa innych. Jego tajny profil skompilowany przez CIA na podstawie relacji informatorów i podsłuchanych rozmów ukazywał niepewnego cynika o skłonnościach do nadmiernego kontrolowania innych, manipulanta, człowieka chytrego i bardzo nielubianego przez podwładnych. Otaczał się strażnikami z karabinami maszynowymi, a swoich stronników podjudzał do samopoświęcenia swoim charakterystycznym ostrzeżeniem: „Jeśli nie ruszysz do boju, Allah ukaże cię bolesną męką“[99].

Al-Masri myślał o Al-Balawim w kategoriach szansy, jaka się przed nim otworzyła. Al-Kaida w niecały rok straciła ponad tuzin wyższych dowódców i setki bojowników. Może właśnie nadarzała się okazja do rewanżu. Koszt dla organizacji będzie minimalny albo nawet zerowy: jeden mało znany jordański lekarz, za którym nikt nie będzie tęsknił.

Gdy rozmawiali, wstępny plan zaczął nabierać realnych kształtów, skupiając się na osobie Alego bin Zeida, jordańskiego przełożonego Al-Balawiego. Bin Zeid był niemal doskonałym symbolicznym celem. Był to oficer jordańskiego wywiadu, a Muchabarat zadał Al-Kaidzie więcej ciosów niż którakolwiek pojedyncza organizacja oprócz CIA. Ściśle współpracował z amerykańską agencją wywiadowczą, a na dodatek był krewnym obecnego jordańskiego monarchy, króla Abdullaha II - Araba, który zawarł pokój z Izraelem, przez co stał się w oczach Al-Kaidy jednym z czołowych apostatów świata muzułmańskiego. Jeśli uda im się go zabić, rycerze dżihadu zadadzą niezapomniany cios śmiertelnemu wrogowi. Albo jeszcze lepiej - biorąc go do niewoli, mogliby upokorzyć jego i jego rząd przed całym światem. Mógłby zostać osądzony przez sędziego Al-Kaidy,

uznany za winnego, skazany i stracony w pokazowej egzekucji, którą będzie mógł zobaczyć w internecie cały świat.

Al-Masri miał przynętę do takiej pułapki: Humama Al-Balawiego. Pozostawało jedynie namówić doktora, żeby jakoś przekonał bin Zeida do przyjazdu do Pakistanu. W tym mogła pomóc Al-Kaida. Al-Masri i inni weterani dżihadu byli specjalistami od zachodnich agencji wywiadowczych i zwracali baczną uwagę na komunikaty CIA w zachodnich mediach. Niektórzy przeżyli przesłuchania w amerykańskich więzieniach[100], między innymi w zatoce Guantanamo. Znali szczegóły z rodzaju tych, które byłyby najbardziej zachęcające dla Amerykanów.

Tak oto Al-Kaida rozpoczęła akcję przeobrażania Al-Balawiego w niezastąpionego agenta. Miało się to odbywać etapami. Informator miał zacząć od rewelacji, czegoś, co natychmiast przykuje uwagę CIA. Musiało to być coś solidnego i wiarygodnego, a zarazem nie nazbyt bulwersującego, by nie wzbudziło podejrzeń. Coś, co natychmiast docenią ci maniacy techniki, Amerykanie.

Film był diabelnie sprytnym pomysłem al-Masriego. Wydział propagandowy Al-Kaidy dysponował już prymitywnym studiem produkcyjnym wyposażonym w kamery i oprogramowanie miksujące. Teraz dostarczy aktorów - Al-Rahmana, paru przywódców terrorystycznych i Al-Balawiego. Wszyscy będą grali siebie samych.

Zdjęcia odbyły się pod koniec sierpnia. Al-Rahman i Al-Balawi zajęli miejsca i udawali zajętych rozmową, a kamera pracowała. Plan filmowy został przysłonięty tak, aby film wideo sprawiał wrażenie amatorskiego, przypadkowego nagrania zwykłegcjspotkania. Później ekipa producencka wybrała z niego krótki cyfrowy fragment. Jordańczyk miał załączyć go do emaila i pozostawało już tylko czekać.

Po pierwszym etapie zaplanowano szereg drobnych wabików, celowo rozłożonych na kilka tygodni, aby podsycać zainteresowanie i zapał zachodnich analityków. Al-Balawi miał stwarzać wrażenie, że pomaga CIA w tropieniu celów, oferując to radę, to jakiś autentyczny szczegół, i udawać, że coraz bardziej, choć nie do końca, zbliża ją do największego sukcesu. Al-Kaida tymczasem zaczeka, aż szum wokół filmu z Al-Rahmanem przycichnie, by na koniec zarzucić najsmakowitszą przynętę. Al-Masri wiedział, jak głodni informacji o Bin Ladenie i az-Zawahirim są Amerykanie. Człowiek numer dwa, mimo swojej skrytości, miał wiarygodne powody, by chcieć spotkać się z Al-Balawim w związku ze swoimi problemami zdrowotnymi. Al-Kaida dostarczy więc szczegółów fikcyjnej wizyty lekarskiej, które wydadzą się analitykom CIA przekonujące - aż po ostatnią bliznę i plombę w zębie.

Każdy kąsek przynęty był łapczywie pożerany. Z Pakistanu nie sposób było ocenić, czy jordański i amerykański wywiad są całkowicie przekonane, ale nie ulegało wątpliwości, że obydwa jadły Al-Balawiemu z ręki. W listopadzie bin Zeid pochwalił swojego najskuteczniejszego rekruta w emailu, którym Al-Balawi podzielił się ze swoimi gospodarzami. „Dzięki Tobie możemy rozmawiać z Amerykanami z podniesionym czołem!” - paplał bin Zeid.

Al-Balawi był uszczęśliwiony, że może brać udział w czymś takim. Legendarna amerykańska agencja wywiadowcza omotała tylurycerzy dżihadu swoimi nowinkami technicznymi, pieniędzmi i sztuczkami. A teraz wyglądało na to, że sama pada ofiarą sprytnego podstępu Al-Kaidy, chyba nawet inteligentniejszego niż te wymyślone na Zachodzie.

„Niech będzie chwała Bogu, przynęta trafiła we właściwe miejsce - ocenił Al-Balawi - a oni tak się rozemocjonowali, że stracili głowę“[101].

Przełożeni Al-Balawiego z pewnością byli zainteresowani, ale nie lekkomyślni. Jordański lekarz przeżywał jedno rozczarowanie za drugim, kiedy jego zamierzony cel nie zgadzał się wskoczyć do pułapki zastawionej przez Al-Kaidę.

Początkowo plan koncentrował się na spotkaniu w Peszawarze, starożytnej stolicy Pasztunów, obecnie półtoramilionowej metropolii w północnozachodnim Pakistanie. Al-Balawi miał przeforsować spotkanie z bin Zeidem sam na sam. W odpowiednim momencie tego t?te?t?te mieli wpaść agenci Al-Kaidy z karabinami i porwać - bądź, jak mawiał Al-Balawi: „aresztować” - oficera Muchabaratu. CIA niemal na pewno będzie go pilnowała, a jej agenci spróbują im przeszkodzić, dlatego sporządzono też plan B. Jeśli porywacze znajdą się w pułapce albo zostaną osaczeni podczas ucieczki, w swoim ostatnim geście zabiją zakładnika.*

Bin Zeid początkowo był otwarły na propozycję spotkania w Peszawarze, gdyż wysocy urzędnicy CIA dobrze znali to miasto i mieli tam wielu agentów. To oddział CIA w Islamabadzie pomieszał mu szyki. Spotkanie w Peszawarze było zbyt ryzykowne, między innymi ze względu na duże prawdopodobieństwo, że dowie się o nim pakistański wywiad i Al-Balawi będzie spalony jako podwójny agent.

Drugą oczywistą propozycją bojowników było miasto Miranszah w centrum Północnego Waziristanu. Na dobrą sprawę rządziła w nim siatka Hakkanich, bliskich sprzymierzeńców Al-Kaidy, a kierowany przez Mehsudów sojusz talibów miał teraz swoje bazy w wioskach na jego przedmieściach. Bin Zeid mógł zniknąć w labiryncie murów z mułu, zaułków i bazarów, zanim CIA się spostrzeże.

Kiedy bin Zeid nie zgodził się na Miranszah, Al-Balawi prosił dalej. Podsuwał inne warianty tego samego planu i próbował wzbudzić w nim poczucie winy. „To ja ponoszę całe ryzyko” - powtarzał.

Upór Al-Balawiego zaczynał robić się nieznośny, ale weterani CIA zrzucili go na karb braku doświadczenia agenta. Informator ewidentnie się bał i nie uświadamiał sobie jeszcze granic wpływów CIA. Gdyby Amerykanie mieli wybór, nigdy nie zgodziliby się na tak ważne spotkanie w miejscu takim jak Miranszah, gdzie Agencja zdecydowanie nie mogła dyktować warunków.

Bin Zeid napisał, że jest tylko jedno sensowne miejsce na takie spotkanie: amerykańska baza w Choście, o rzut beretem od Miranszahu, tuż za granicą, po drugiej stronie gór. Al-Balawi może szybko tam dojechać i wrócić do Pakistanu, zanim ktokolwiek zdąży za nim zatęsknić. Chost zapewnia całkowite bezpieczeństwo i ochronę przed przypadkowym zdemaskowaniem przez talibskich szpiegów.

Al-Balawi nie był zainteresowany. Dobrze wiedział, że wyjazd do Chostu będzie niczym włamanie do więzienia. Nie było szans na zastawienie pułapki ani porwanie, ani asystę bojowników Al-Kaidy czekających na rozkaz do ataku. Nawet jeśli jakimś cudem uda mu się przeszmuglować do bazy broń, to raczej na pewno zostanie rozbrojony albo zabity, zanim zdoła puścić choć jedną serię.

To niemożliwe - odpisał.

Zaproszenie Al-Balawiego do znanej bazy CIA otwierało pewną intrygującą możliwość, która przy odrobinie szczęścia mogła pozwolić zadać cios jordańskiemu wywiadowi, a może również Amerykanom. Al-Balawi o tym wiedział, a jego gospodarze z Al-Kaidy też prawie na pewno o tym myśleli. W odróżnieniu od innych omawianych przez nich planów byłaby to samotna misja i gwarantowana wycieczka w jedną stronę. Byłoby to też przedsięwzięcie, które miało minimalne szanse powodzenia. Żeby zaistnieć jako zamachowiec samobójca, Al-Balawi musiałby jakoś poradzić sobie z całym systemem zabezpieczeń, poczynając od kilku pierścieni

afgańskich i amerykańskich strażników, przez rewizję osobistą i obwąchiwanie przez psy wytresowane do wykrywania bomb, na wykrywaczach metalu kończąc. Realistycznie patrząc, mógł liczyć najwyżej na to, że uda mu się zlikwidować kilku kiepsko opłacanych pasztuńskich nieszczęśników, którzy zarabiali na utrzymanie swoich rodzin, strzegąc bazy od zewnątrz.

Z rozgorączkowania, z jakim Al-Balawi usiłował uniknąć wyjazdu do Chostu, łatwo wydedukować, co myślał o misji samobójczej. Od początku grudnia przez kilka tygodni po przybyciu bin Zeida do bazy amerykańskiej zarzucał oficera Muchabaratu prośbami o to, by to on do niego przyjechał. Kiedy w końcu stało się jasne, że spotkanie w Miranszahu nie wchodzi w grę, rzucił jeszcze jedną propozycję - spotkania w plenerze, w Gulam Chan, na posterunku na granicy afgańskopakistańskiej, przy autostradzie prowadzącej z Miranszahu do Chostu.

Targi trwały jeszcze 17 grudnia, kiedy CIA przypuściła jeden ze swoich najbardziej zmasowanych ataków rakietowych od miesięcy w dystrykcie Datta Chel, niedaleko od wsi, gdzie szyto właśnie specjalną samobójczą kamizelkę. Co najmniej dziesięć pocisków trafiło obóz, w którym zebrało się kilkudziesięciu działaczy Al-Kaidy i ruchu talibów. Szesnastu z nich poniosło śmierć. Był to kosztowny atak. Wśród ofiar był Abdullah Said Al-Libi[102], szef operacyjny Al-Kaidy, z którym przez krótki czas mieszkał Al-Balawi.

Presja, żeby jakoś zareagować, rosła z dnia na dzień. Starzy wojownicy klęli na Amerykanów, zerkali nerwowo na krążące nad ich głowami drony i spoglądali wyczekująco na jordańskiego lekarza. Sytuacja stawała się coraz bardziej nagląca - szanse były może nikłe, ale były. Kiedy właściwie słowa Al-Balawiego poczują smak jego krwi?

W miarę jak mijał grudzień i wykluczano kolejne z dostępnych opcji, Al-Balawi popadał w coraz większą, potępieńczą rozpacz. Któregoś wieczoru zasiadł do pisania, jak gdyby próbował wyegzorcyzmować swoje wątpliwości, przelewając je na papier. Gdy tylko zaczął, uderzyło go, jak paradoksalne jest to, co zamierza zrobić.

„Często byłem ciekaw, co się dzieje w głowie męczennika przed aktem męczeństwa - napisał. - Dzisiaj mogę zaspokoić ciekawość innych”[103].

Zaczął wyliczać swoje prywatne lęki, przyznając się w chwili głębszej refleksji do poważnych wątpliwości co do sensu zamachów samobójczych. Problem polegał na tym, jak przyznał, że można „to zrobić tylko raz w życiu”, a istniało realne niebezpieczeństwo, że mu się nie uda i odda życie na darmo. Czy nie lepiej walczyć na linii frontu? - zapytywał siebie. Albo może użyć inteligencji do wymyślenia czegoś lepszego, „większej operacji, która sprawi ból wrogom Boga?”.

Próbował przekonać samego siebie, że tak naprawdę liczy się „intencja”: Bóg przyjmie jego poświęcenie, nawet jeśli zastrzelą go, zanim naciśnie przycisk detonatora. Trudniej było odpowiedzieć na pytanie, czy się na to zdobędzie. Co poczuje w tych ostatnich sekundach, gdy tylko drgnięcie palca będzie dzieliło go od nieodwracalnej zagłady?

„Czy nie boisz się, że w ostatnim momencie obleci cię strach - pytał samego siebie - i nie będziesz w stanie nacisnąć guzika?”

28 grudnia Humam Al-Balawi wrócił do publicznej centrali telefonicznej, żeby ułożyć krótką wiadomość do swojego rodaka Alego bin Zeida. Niech będzie tak, jak chcesz - napisał. Spotkam się z Twoim kierowcę dziś po południu w Miranszahu, jak 0to prosiłeś - kontynuował. - Zatem do zobaczenia jutro w Choście. Potem Al-Balawi wraz z dwoma wspólnikami z Al-Kaidy pojechali w teren i nakręcili film, na którym Jordańczyk oddaje parę serii z AK-47, lufa karabinka odskakuje w tył i w

górę, a kule wzniecają fontanny pyłu w oddali. Przed rozpoczęciem zdjęć odłożył kule inwalidzkie, żeby nie wyglądać na rannego, ale idąc, utykał mocno po wypadku na motorze. Jeszcze tego samego ranka Al-Balawi poszedł do swojego pokoju 1przymierzył kamizelkę samobójkę. Zacisnął pasy i poczuł na chudych ramionach ciężar czternastu kilogramów materiałów wybuchowych i metalu. Założył tunikę i popielate potu, podobny do szala koc, który może służyć jednocześnie za płaszcz i dywanik modlitewny, i wyszedł z powrotem na zewnątrz, gdzie obok białego hatchbacka czekał z kamerą jego przyjaciel. Sprawiał wrażenie zmęczonego i przez dziewięć miesięcy wyraźnie się postarzał, a pod prawym okiem wciąż miał blizny po wypadku motocyklowym.

Siedział za kierownicą, a kamerzysta kręcił. Zdecydował, że swoje przesłanie jako męczennika wygłosi po angielsku, by zapewnić sobie możliwie najszerszą widownię, jeśli wideo znajdzie się w internecie, i wybrał kwestie mające stworzyć wrażenie, że jest bezwzględny jak filmowy złoczyńca, hollywoodzki gangster wygłaszający ultimatum.

„CIA, dopadniemy was. Insza' Allah, jak Bóg da, pokojiamy was - powiedział. - Nie myślcie, że naciskając guzik i zabijając mudżahedinów, zapewniacie sobie bezpieczeństwo. Insza Allah, przyjdziemy do was w niespodziewany sposób"[104].

Al-Balawi podniósł lewą rękę i spod rękawa jego tuniki wychynęło coś, co wyglądało jak zegarek na rękę. „Patrzcie, to dla was. To nie zegarek, to detonator" - obwieścił. Granie twardziela niezbyt mu jednak wychodziło. Al-Balawi sprawiał wrażenie wzburzonego i rozgoryczonego i za każdym razem kiedy kończył myśl, odwracał głowę od kamery. Kiedy wypluł ostatnie słowa, miał czerwone oczy.

„Mój cel jest taki: zabić was i waszego jordańskiego partnera. Insza Allah, pójdę za to do alFirdaws - raju - powiedział. - A was poślę do

piekła”.

Przy ostatnim zdaniu załamał mu się głos, jakby dławił łzy. Al-Balawi odwrócił wzrok i obraz na ekranie zniknął.

ROZDZIAŁ 14
NIE MA BOGA PRÓCZ ALLAHA

Chost, Afganistan - 30 grudnia 2009

30 grudnia Dane Paresi wstał wcześnie rano i natychmiast zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze, było zimno - minus 5 stopni o świcie w kwaterach pracowniczych firmy Blackwater, a wewnątrz też niezbyt ciepło. Po drugie, zapach jedzenia. W Siłach Specjalnych nadano mu przydomek Szakal, w uznaniu jego legendarnego apetytu oraz skłonności do podbierania kolegom z talerzy. Paresi miał do stołówki w Choście wyjątkową słabość i oceniał ją jako jedną z lepszych spośród kilkunastu, jakie miał okazję wypróbować w Afganistanie. O szóstej rano naleśniki właśnie zjeżdżały z blachy do pieczenia, a aromat tłustego bekonu i czarnej kawy mógłby przyciągnąć tego byłego komandosa Zielonych Beretów za kołnierz z drugiego końca budynku.

Jego myśli zajmowało jednak coś poważniejszego[105], kiedy ubierał się w lodowato zimnym pokoju: cenny informator CIA był wreszcie w drodze do Chostu. Paresi miał w swojej karierze do czynienia z dziesiątkami informatorów, ale jeszcze żaden z nich nie wzbudził jednocześnie tak wielu sprzecznych emocji. Plany sesji raportowej z udziałem agenta pochłaniały kierownictwo bazy od wielu tygodni, a napięcie sięgało zenitu. Paresi był osobiście bardzo sceptyczny co do planu ochrony przećwiczonego przez oficerów i podzielił się swoimi obawami

zarówno z przełożonym w Wirginii, jak i z szefem ochrony w Choście, Scottem Robersonem. Roberson niezależnie doszedł do tego samego wniosku w jego zdaniem fundamentalnej kwestii: zbyt wiele osób miało stać zbyt blisko agenta, który prowadzi podwójne życie, więc z definicji nie można mu ufać.

W normalnych okolicznościach takie różnice zdań uznano by za naturalne. W ciągu prawie dwudziestu siedmiu lat służby w wojsku, w tym niespełna sześciu lat spędzonych w Siłach Specjalnych w Afganistanie, Paresi był świadkiem niekończących się sporów o taktykę. Żołnierze sprzeczali się, czasem wściekali, ale koniec końców decyzja należała do oficerów i każdy robił, co do niego należało. Zdawało się, że dzisiejszy dzień będzie wyglądał podobnie, coś jednak go odróżniało. Paresi nie potrafił jeszcze określić co.

Ubrał się szybko i poszukał w baraku ciężkiego płaszcza oraz broni. Jego pokój był tylko odrobinę większy niż wojskowy namiot, ale ściany ze sklejki zapewniały prywatność i akurat wystarczało miejsca na łóżko, ubrania i sprzęt, wraz z książkami i czasopismami, które przywiózł ze sobą, żeby mieć się czym zająć w wolnych chwilach. Korytarz za drzwiami prowadził do niewielkiego holu ze skórzaną sofą, gdzie pracownicy kontraktowi mogli grać w karty, czytać albo po prostu siedzieć z laptopami, czytać najnowsze wiadomości i sprawdzać emaile. W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach psa, pozostałość po licznych zbłąkanych zwierzakach, które przewinęły się przez bazę i czasem były przygarniane przez jej mieszkańców. Ostatni z nowo przybyłych ochroniarzy Blackwater, Navy SEAL Jeremy Wise, zaprzyjaźnił się z kłapouchym białym kundelkiem. Charlie, bo takie dostał imię, sypiał w kwaterach strażników i lubił podskubywać brody siedzącym na sofie ochroniarzom. Paresi nie miał nic przeciwko. Uwielbiał psy i tęsknił za swoim czarnobiałym terierem

bostońskim, pieskiem tak kompletnie zbzikowanym, że dał mu na imię Retard. Czworonogi przypominały mu o domu, gdzie planował znaleźć się w lutym, porzuciwszy na dobre Afganistan i pracę w wojsku.

Dane Paresi spędził na salutowaniu całe swoje dorosłe życie. Chciał być żołnierzem już od najmłodszych lat, kiedy bawił się w żołnierzy w lasach otaczających cmentarz weteranów Willamette w pobliżu rodzinnego domu w Portland w stanie Oregon. Wstąpił do wojska dzień po ukończeniu szkoły średniej, a później został spadochroniarzem i służył w Iraku w czasie pierwszej wojny w Zatoce. Na krótko opuścił armię, ale w nieunikniony sposób trafił do niej znowu, tym razem po to, by zostać członkiem elitarnej jednostki Sił Specjalnych. Spalił prawie czternaście kilogramów w wyczerpujących sprawdzianach i kursach szkoleniowych, ale w 1995 roku, w wieku trzydziestu dwóch lat, założył wreszcie zielony beret.

Niedługo potem, oglądając wystawy sklepowe w centrum handlowym w pobliżu bazy w Fayetteville w Karolinie Północnej, zauważył w sklepie Bath & Body Works ładną brunetkę jedzącą loda i wszedł do środka, żeby ją zagadnąć. Dziewczyna w pierwszym odruchu wzdrygnęła się na widok chudego jak szczapa faceta w podkoszulku z Batmanem, białych skarpetkach i brzydkich, za dużych okularach - później nazywała je „okularami antykoncepcyjnymi”. Jej przyjaciółki o mało nie wezwały ochrony, ale już za parę minut oboje śmiali się i umawiali na kawę. Przyszła Mindy Lou Paresi zapisała swoje imię i numer telefonu szminką na papierowej serwetce, a osiem miesięcy później oboje byli już małżeństwem.

Życie było dla nowożeńców niekończącą się serią rozstań, Paresi służył bowiem w Bośni, Rwandzie i na Filipinach, a także w innych miejscach zapalnych. 11 września 2001 roku był akurat w domu, ale oboje wiedzieli, że czeka ich coś jeszcze gorszego.

„Muszę do pracy, skarbie” - powiedział.

Pojechał do Afganistanu, a później do Iraku. Wracał do domu na kilkutygodniowe urlopy, żeby pobyć z Mindy Lou i córeczkami, Alexandra i Santiną. Nie opowiadał zbyt wiele o swoich pobytach zagranicznych, narzekał jedynie na burze piaskowe, paskudną pogodę i - na osobności - na daremne jego zdaniem amerykańskie wysiłki przeszczepienia demokracji w zachodnim stylu do skorumpowanego, klanowego społeczeństwa, w którym dwie trzecie dorosłych nie umie czytać ani pisać. Mindy Lou dowiedziała się, że odznaczono go Brązową Gwiazdą, kiedy wręczył jej oficjalny list z Pentagonu i poprosił o jego przeczytanie. Przedstawiono w nim oficjalny opis współorganizowanego przez Paresiego ataku z zasadzki na konwój Al-Kaidy, w którym jechał jeden z wyższych dowódców organizacji. W tej operacji, przeprowadzonej w 2002 roku, zabito szesnastu rebeliantów, a jeden został ranny.

Paresi był znany w jednostce z niewzruszonego spokoju i niemal zenistycznej dbałości o najmniejsze detale. Szturmował kryjówki talibów w środku nocy i przebrany za Afgańczyka odbywał potajemne misje, infiltrując wsie rojące się od rebeliantów, niekiedy z tylko jednym Amerykaninem u boku.

„Wiedziałeś, że z takiej misji musisz wrócić sam, bo nikt po ciebie nie przyjdzie - wspominał jeden z komandosów walczących razem z Paresim. - Musiałeś mieć pewność, że twój partner zna się na rzeczy, bo tylko on może sprowadzić cię z powrotem, żywego lub martwego. Taki właśnie był Paresi. Nigdy się nie ekscytował i zawsze wiedziałeś, że cię pilnuje”.

Po powrocie do obozu Paresi siadał w jakimś spokojnym miejscu, żeby odreagować, zwykle z książką, fajką i butelką wody. Nigdy nie pił alkoholu ani głośno nie rozmawiał. Kiedy się czymś martwił albo coś go dręczyło, spacerował po pokoju albo znajdował sobie coś do roboty.

Jesienią 2008 roku skończył właśnie czterdzieści pięć lat i był w życiowej formie, kiedy Departament Obrony poinformował go, że już go nie potrzebuje. Po dwudziestu sześciu latach służby miał duże szanse na awans do stopnia sierżanta sztabowego, ale zamiast awansu dostał wymówienie. Armia, pełna świetnych sierżantów w średnim wieku, dała mu trzydzieści dni na spakowanie manatków.

Paresi marzył o tym, żeby zaszyć się w górach zachodniego Oregonu, łowić ryby i razem z Mindy spokojnie się zestarzeć. Ale emerytura wojskowa weteranów jego rangi nie dawała szans na opłacenie rachunków, dlatego zaczął szukać pierwszej pracy w cywilu. Mijały tygodnie i miesiące, kończyły się pieniądze, a widoków na zatrudnienie nie było, więc postanowił zgłosić się na roczny kontrakt do firmy ochroniarskiej Blackwater. Jego praca była podzielona równo między zadania instruktorskie na miejscu oraz obowiązki ochroniarskie za granicą, głównie w Afganistanie, gdzie zatrudniano pracowników Blackwater do chronienia instalacji i oficerów CIA. Dzienna stawka za pracę za granicą wynosiła siedemset dolarów, wystarczająco dużo, żeby państwo Paresi mogli zapłacić rachunki i zacząć odkładać na emeryturę. Pod koniec lutego, niespełna cztery miesiące po przyjeździe do Chostu, miał wrócić do domu, tym razem rozstawszy się z Afganistanem na dobre.

Warunki mieszkaniowe były zdecydowanie lepsze niż w ponad tuzinie baz, gdzie miał okazję mieszkać. W tamtych przerażających miejscach Amerykanie i Afgańczycy spali z bronią, ułożeni jak kredki w śmierdzących wieloosobowych namiotach, a o poranku wychodzili ukradkiem, żeby załatwić się nad prymitywnymi dziurami pod gołym niebem. Teraz Paresi nie był już jednak zielonym beretem ani nawet żołnierzem, lecz wysoko opłacanym ochroniarzem firmy uwikłanej w liczne skandale rozdmuchane przez prasę, podejrzewanej między innymi o

to, że jej pracownicy zabijali niewinnych irackich cywilów. W praktyce jednak szefami Paresiego byli oficerowie CIA, z których większość była młodsza od niego, a żaden nie dorównywał mu doświadczeniem. Mówił śmiało, co myśli, kiedy ich decyzje doprowadzały go do rozpaczy, ale też znał swoje miejsce w szeregu. Miał rodzinę na utrzymaniu i był gotów robić, co do niego należy, nawet gdy mu się to nie podobało.

Po śniadaniu, kiedy odłożono tace, trzeba było zagospodarować sobie czas przed przyjazdem informatora, więc Paresi poszedł do parku samochodowego, gdzie wpadał już od kilku dni. Był kiedyś mechanikiem wojskowym i podczas poprzednich wypraw do Afganistanu nauczył się paru sprytnych sposobów zabezpieczenia pojazdu przed przydrożnymi bombami. Poświęcał temu godziny swojego wolnego czasu, zupełnie za darmo i tylko po to, żeby mieć czym zająć umysł. To samo planował zrobić i tego ranka, pracując samotnie w chłodzie nad starymi gruchotami, których afgańscy agenci CIA używali do spotkań w terenie.

Paresi nie otworzył swojego dziennika - któremu zwykle powierzał myśli - od wielu dni, bo nie mógł usiedzieć spokojnie na tyle długo, by pisać. Kiedy dzwonił do domu, jego głos brzmiał inaczej, jakby coś go rozpraszało albo pochłaniało jego umysł. Mindy Lou znała ten ton i natychmiast się zaniepokoiła.

„Dane, jesteś bezpieczny?” - zapytała. Wiedziała z góry, jaka będzie odpowiedź.

„Tak, skarbie” - odparł krótko.

Humam Al-Balawi, z kulą inwalidzką w ręku, lustrował wzrokiem szereg samochodów i taksówek, wypatrując tego umówionego. Było popołudnie 30 grudnia, kiedy dotarł wreszcie do Gulam Chan[106], na jedyne przejście graniczne między pakistańską prowincją Północny Waziristan a Islamską Republiką Afganistanu. Al-Balawi był spóźniony na

spotkanie w Choście już o ponad dobę. Czy ktokolwiek będzie jeszcze na niego czekał?

Pakistański posterunek, skupisko budowli z cegły mułowej, był obsadzony przez garstkę nerwowych strażników z karabinkami i jednym przestarzałym kaemem z lufą wycelowaną w kierunku Afganistanu. Pasażerowie przechodzący na stronę afgańską czekali tutaj w kolejce na taksówki i prywatne samochody, które przewoziły ich przez oddaloną o półtora kilometra granicę i dalej, do miejsc położonych nawet tak daleko na zachodzie jak Kabul. Kolejka posuwała się do przodu centymetr po centymetrze, a Al-Balawi niepewnie obserwował ubranych w ciężkie płaszcze strażników, jak zaglądali do bagażników, sprawdzali dokumenty i grzebali w walizkach w poszukiwaniu narkotyków i broni.

Fizycznie Al-Balawi był wrakiem. Ciągle bolała go noga. Popołudnie, bardzo nerwowe, spędził na zrytej koleinami drodze z Miranszahu, z przytroczonymi do piersi czternastoma kilogramami metalu i materiałów wybuchowych. Teraz czekał w kolejce na kontrolę graniczną, z jordańskim paszportem z pakistańską wizą, która straciła ważność siedem miesięcy temu, i z bombą pod koszulą. Kolejka znowu minimalnie posunęła się naprzód.

Al-Balawi podniósł wzrok i zobaczył, jak ktoś macha do niego z miejsca, gdzie stały taksówki czekające na chętnych na kurs do Afganistanu. Był to wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna, sądząc po ubiorze - Afgańczyk. Kiedy znaleźli się na tyle blisko siebie, by móc porozmawiać, przywitał Al-Balawiego cicho po angielsku, z pasztuńskim akcentem.

Następnie otworzył drzwi białego sedana. Al-Balawi wsiadł, samochód ruszył i włączył się w szereg pojazdów zmierzających na zachód. Kierowca pokazał dokument tożsamości i przepuszczono ich. Przez kilka minut

toczyli się z łoskotem w górę stromego wzniesienia, aż w końcu przekroczyli oznakowaną granicę i znaleźli się na terytorium afgańskim.

Kierowca wymamrotał parę słów do telefonu komórkowego i rozpoczęli godzinny zjazd do na wpół wyschłej doliny, zamieszkanej przez większość z miliona obywateli prowincji Chost. W tym miejscu droga wiła się serpentynami po stromych graniach, a kierowcy musieli skręcać gwałtownie albo hamować, by uniknąć wyrw po powodziach albo lejów po bombach.

Afgański oficer siedział sam z przodu, a jego pasażer bezpośrednio za nim. Arghawan był jednym z ulubieńców CIA w Choście, pracowitym i niezawodnym jak wschód słońca. Ten zaledwie trzydziestoletni młody człowiek o piwnych oczach i schludnie przystrzyżonej brodzie wcześnie ukończył miejscową szkołę Sił Specjalnych i został szefem oddziału afgańskich strażników zatrudnionych przez CIA do pomocy w ochranianiu bazy. Fakt, że wysłano go samego do odebrania tak ważnego informatora, świadczył o zaufaniu, jakim darzyła go Agencja. Amerykanin mógł teoretycznie rozpocząć debriefing agenta w samochodzie, po szybkiej rewizji osobistej. Jednak Amerykanin nie byłby w stanie wjechać do Pakistanu i wyjechać z niego tak dyskretnie i swobodnie jak znająca paszto osoba z okolic Chostu.

W miejscu gdzie teren w końcu robił się płaski, samochód skręcił z autostrady do małej wioski. Arghawan prowadził powoli po niebrukowanej ulicy, wypatrując czegoś. Po chwili zatrzymał się obok czerwonego hatchbacka marki Subaru, stojącego za murkiem z włączonym silnikiem. Mężczyzna siedzący za jego kierownicą i Arghawan wysiedli z samochodów i zamienili kilka słów, następnie Arghawan wrócił i otworzył tylne drzwi obok Al-Balawiego.

Wysiadaj. Zamieniamy samochody - powiedział - Dla bezpieczeństwa.

Już za chwilę byli znowu w podróży. Teraz poruszali się szybciej, bo drogi były płaskie, a po obu stronach ciągnęły się nawadniane pola. Minęła właśnie 16.15 - informator był spóźniony na spotkanie już o prawie dwadzieścia sześć godzin.

Początkowe opóźnienie było winą talibów. CIA spodziewała się, że ałBalawi przyjedzie do pakistańskiego Miranszahu we wtorek 29 grudnia, a następnie wypożyczy samochód, który przewiezie go przez granicę, gdzie będzie czekał na niego Arghawan. Przywódca talibów Hakimullah Mehsud najwyraźniej chciał jednak wykorzystać do ostatka potencjał propagandowy męczeństwa Al-Balawiego, bo opóźnił wyjazd Jordańczyka, aby dokumentaliści Al-Kaidy mogli zorganizować całą serię sesji filmowych. Kiedy Al-Balawi dotarł do Miranszahu, było już za późno, aby zdążył dojechać do granicy przed zamknięciem na noc punktu kontrolnego.

Al-Balawi był bliski wyczerpania tym hurtowym dokumentowaniem jego ostatnich myśli. W ostatnich dniach grudnia napisał co najmniej dwa eseje i wziął udział w przynajmniej trzech wyczerpujących wywiadach wideo i kilku krótszych rozmowach. Na jednym z nagrań, wciśnięty między dwóch zamaskowanych uzbrojonych terrorystów, opowiadał o zaletach męczeństwa. Inny wywiad miał formę podobną do talkshow, w którym Al-Balawi odpowiadał na pytania niewidocznego na ekranie „gospodarza programu”. Na jeszcze innym nagraniu Al-Balawi siedział, cokolwiek zdenerwowany, obok samego Hakimullaha Mehsuda i obaj ogłaszali zamiar pomszczenia śmierci kuzyna przywódcy talibów Bajtullaha.

Na ostatnim z tych filmów mówili w różnych językach - Mehsud w paszto, Al-Balawi po arabsku i po angielsku - i siedzieli po turecku na macie otoczeni karabinami i podłużnymi kawałkami materiału wybuchowego C4, prawie na siebie nie patrząc. Talibski przywódca mówił

bezpośrednio do kamery i chwalił Al-Balawiego jako tego, który „pragnie dostąpić męczeństwa”[107].

„Sumienie nie pozwoliło mu pracować dla niewiernych i szpiegować swoich muzułmańskich braci” - mówił Mehsud. Przyznał, że samoloty szturmowe CIA sprawiły im „ból oraz smutek” i potwierdził, że talibowie już wiedzą, jak „infiltrować amerykańskie bazy za pomocą fedainów i zadać im straszny cios, który zapamiętają na sto lat”.

Al-Balawi, ubrany w mundur połowy, sprawiał wrażenie małego i bladego, gdy odczytywał napisane wcześniej notatki. „Zorganizowaliśmy ten atak razem - oznajmił - żeby Amerykanie zrozumieli, że wiary w Boga, naszej wiary, i pobożności, do jakiej dążymy, nie da się zamienić na całe bogactwo świata”.

Pobożność, do jakiej dążymy. Z miejsca, w którym siedział, Al-Balawi widział Arghawana w lusterku wstecznym. Pasztun, z wzrokiem utkwionym w drodze, instynktownie - jak wszyscy afgańscy kierowcy - wypatrywał świeżo rozkopanej ziemi, która mogła sygnalizować przydrożną bombę. Strażnik zarabiał na utrzymanie rodziny, ale był też na usługach Amerykanów. Dwa dni wcześniej Al-Balawi zadeklarował, że tacy ludzie są odszczepieńcami i nie mają prawa istnieć - „nawet ich kucharze i kierowcy (…) nawet ten, co pracuje w ogrodzie albo w myjni”.

„Zabicie kogoś takiego jest jeszcze bardziej usprawiedliwione niż zabicie Amerykanina - stwierdził w jednym z nagrań wideo. - Bo to najemne psy”[108].

Rozległe lotnisko było widoczne w oddali przez kilka kilometrów, a teraz Arghawan wskazał je Al-Balawiemu. Chost.

Samochód był poza zasięgiem telefonu komórkowego już prawie od dwóch godzin, ale teraz, gdy szybko zbliżali się do przedmieść, Al-Balawi

ruchem ręki poprosił kierowcę o jego komórkę. Wystukał numer zapisany na skrawku papieru i już za moment w słuchawce rozbrzmiało znajome arabskie powitanie.

Salem alejkum - powiedział Ali bin Zeid. Pokój z tobą.

Al-Balawi przeprosił za spóźnienie i powtórzył, że obawia się, iż afgańscy strażnicy, którzy mogą przecież być szpiegami, będą nim pomiatać. Potraktujecie mnie jak przyjaciela, zgoda? - zapytał.

Bin Zeid starał się go uspokoić.

Samochód pędził z rykiem naprzód, koła wzniecały obłoki drobnego pyłu. Zwolnił na podjeździe do głównej bramy. Przejechał między wysokimi murami, które zwężały się przed punktem kontrolnym, ograniczając ruch do jednego pasa. Na odcinku ostatnich kilku metrów przejeżdżało się przez rękaw z barier i zasieków z drutu kolczastego, które kierowały pojazdy w zasięg karabinu maszynowego kalibru 12,7 mm. Al-Balawi siedział nisko w fotelu, ciężka kamizelka gniotła go w brzuch, ale zgodnie z obietnicą bin Zeida nie poddano go rewizji osobistej. Arghawan skręcił w lewo w główny wjazd. Prawie nie zwalniając, samochód pokonał zygzakiem ostatnią serię barier HESCO i wyjechał na otwartą przestrzeń lotniska w Choście.

Skręcili jeszcze raz w lewo, by przejechać wzdłuż krawędzi pasa startowego, obok samochodów cystern, burych transporterów opancerzonych oraz dziwnie wyglądającego zielonego helikoptera, który stał bezczynnie na płycie lotniska z łopatami głównego śmigła lekko opuszczonymi, jak skrzydła jakiegoś odpoczywającego, ogromnego prehistorycznego ptaka. Na prawo wznosiło się jeszcze więcej wysokich murów i zasieków z drutu kolczastego, a za nimi metalowe dachy budynków, wciąż jeszcze niewidocznych dla Al-Balawiego.

Jordańczyk osunął się jeszcze niżej na siedzeniu. Od wielu dni wyobrażał sobie właśnie ten moment. W swoich tekstach pisał o dżinnach - demonach - które wlewały w jego duszę wątpliwości i kazały mu cofnąć się znad krawędzi.

Chcesz przeprowadzić swój dżihad i dać się zabić, żeby twoja żona wyszła ponownie za mąż, a dzieci stały się sierotami?[109]

Komu zostawisz swoją ładną żonę? Kto zaopiekuje się twoją słabą matką?

Jak możesz porzucić swoją cudowną pracę? W murze była luka i Arghawan przeprowadził subaru przez drugi otwarty posterunek kontrolny, a potem skręcił w lewo i przejechał przez trzeci. Al-Balawi znajdował się teraz w obrębie ufortyfikowanego kompleksu z wysokimi na trzy metry murami z ułożonych piętrowo barier HESCO zwieńczonych drutem kolczastym. Naprzeciwko bramy, wewnątrz kompleksu, znajdowało się pięć stojących w rzędzie nowych budynków z metalowymi dachami i kilka mniejszych. Przedostatni z nich miał szeroką markizę. Al-Balawi zobaczył przed nim dużą grupę ludzi stojących w szeregu. Brama do wewnętrznej części bazy zamknęła się za nim.

Arghawan zatrzymał pojazd na środku żwirowego placyku przed budynkiem, równolegle do markizy, w odległości kilku samochodów. Z siedzenia za kierowcą Al-Balawi wreszcie miał dobry widok na ludzi oczekujących na spotkanie z nim. Było ich przynajmniej tuzin, w tym kilka kobiet. Chwilę później zauważył Alego bin Zeida w czapce w kolorach maskujących, a obok niego wyższego mężczyznę w dżinsach i besjbolówce na głowie. Obaj stali na samym końcu kolejki powitalnej, ale też trochę bardziej z boku i na tyle blisko, że Al-Balawi widział, jak bin Zeid się do niego uśmiecha.

Al-Balawi wpatrywał się tępo w grupę, kiedy drzwi otworzyły się nagle i znalazł się twarzą w twarz ze zwalistym mężczyzną o krótko przystrzyżonej brodzie i świdrujących niebieskich oczach. Jedna dłoń w rękawiczce sięgnęła po Al-Balawiego, druga ściskała karabinek szturmowy z lufą skierowaną w dół. Al-Balawi zamarł, a potem zaczął powoli przesuwać się na siedzeniu, coraz dalej od postaci z karabinem.

Nacisnął klamkę po drugiej stronie i wysiadł z samochodu, najpierw stawiając na żwirze chorą, potem zdrową nogę. Podniósł się z bólem, wsparty o metalową kulę. Miał niejasną świadomość, że bin Zeid go woła, ale nie podniósł wzroku.

Kiedy moje słowa skosztują mojej krwi?

Al-Balawi pokuśtykał przed siebie powoli, jak w zwolnionym tempie. Poszukał prawą ręką przycisku detonatora.

Na samej krawędzi dżinn będzie stawiał ci najstraszniejsze pytania - napisał wcześniej.

Kto się zaopiekuje twoim małym dzieckiem? A twoim starym ojcem?

Mężczyźni krzyczeli na niego, poruszeni, mierząc do niego z karabinów.

Jest powiedziane w hadisie, że ten, kto mówi: „Nie ma Boga prócz Allaha i jemu należy się chwała”, jest w tym dniu chroniony przez Boga przed Szatanem - napisał Al-Balawi. - W dniu męczeństwa wróg Boga cię nie dosięgnie.

Teraz Al-Balawi powiedział bezgłośnie po arabsku: La ilaha Ula Allah! Nie ma Boga prócz Allaha!

Mężczyźni krzyczeli głośno coś o jego ręce, ale Al-Balawi szedł dalej. Słyszał coraz wyraźniej swój własny głos.

La ilaha Ula Allah!

Ktoś zagrodził mu drogę. Podniósł głowę i zobaczył, że z obu stron otaczają go żołnierze z wymierzonymi w niego karabinami. Brodacz, który otworzył drzwi samochodu, obszedł ich i krzyczał coś do niego z prawej strony. Dwóch innych ciężko uzbrojonych oficerów stało bezpośrednio przed Al-Balawim. Odgrodzony samochodem, znalazł się w pułapce - nie mógł się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Jeden z mężczyzn, jasnowłosy i młodszy od pozostałych, jakby przyczajał się do skoku.

Al-Balawi obrócił się nieznacznie, trzymając palec na detonatorze, i popatrzył ponad samochodem. Uśmiechy zniknęły, a bin Zeid ruszył w jego stronę. Wysoki mężczyzna stojący obok chwycił go za ramię, żeby go powstrzymać.

Al-Balawi przymknął oczy i niezauważalnie poruszył palcem.

ROZDZIAŁ 15
MĘCZENNIK

Chost, Afganistan - 30 grudnia 2009

W ułamku sekundy Humam Al-Balawi zniknął w rozbłysku o niewyobrażalnej jaskrawości. Spłonki posłały impuls energii przez laski materiału wybuchowego C4, a ten zapalił się z siłą, która mogłaby złamać stalowe dźwigary. Ciepło wytworzone w eksplozji poszybowało na krótko do ponad 2200 stopni Celsjusza, po czym same cząsteczki zostały wyrzucone naprzód z falą wybuchu z prędkością ponad 4500 metrów na sekundę.

Fala uniosła samochód nad ziemię i uderzyła w ludzi niczym ściana betonu, rozrywając im bębenki w uszach i powodując zapadnięcie się płuc. Trzech ochroniarzy stojących najbliżej zamachowca zostało ciśniętych do tyłu - Dane Paresi uderzył w stojącą kilkanaście metrów dalej ciężarówkę. Bazą wstrząsnął ogromny grzmot, po którym dał się słyszeć chrzęst setek stalowych kulek wbijających się w szkło, metal i ludzkie ciało.

Grad odłamków najcięższej uszkodził żywą tkankę. Kierowca samochodu oraz pięciu oficerów, którzy mieli niczym nieprzysłonięty widok na zamachowca - trzech strażników ochrony, Darren LaBonte i Ali bin Zeid - zginęło na miejscu. Jedenaścioro innych osób, stojących dalej od subaru, zostało ściętych z nóg przez malutkie stalowe pociski, które przeleciały pod

i nad samochodem, a niekiedy na wskroś. Szrapnele przebiły metalową bramę kompleksu ponad sześćdziesiąt metrów dalej.

Wszyscy zostali trafieni, ale stopień odniesionych obrażeń był różny. Jennifer Matthews została ciężko ranna, podczas gdy mężczyzna stojący przy niej wyszedł prawie bez szwanku. Elizabeth Hanson, jak się wydawało, zdrowa i cała, dźwignęła się i pobiegła między dwa budynki, by tam osunąć się na ziemię.

Eksplozja wstrząsnęła budynkami na drugim końcu bazy, w odległości ośmiuset metrów, i odbiła się echem od gór, przez które przed chwilą przejechał Al-Balawi. Potem zapadła cisza, przerywana tylko hukiem spadającego gruzu.

Głowa Al-Balawiego, w momencie detonacji wyrzucona w niebo, odbiła się od ściany budynku i wylądowała na żwirowym placyku. Była to jedyna możliwa do rozpoznania część jego ciała.

Jednym ze świadków wybuchu[110] był lekarz wojskowy CIA, którego wezwano na spotkanie z Al-Balawim, aby zajął się nogą i innymi dolegliwościami agenta. Chwilowo pozbawiony przytomności przez falę uderzeniową, ocknął się otoczony ludzkimi szczątkami i gruzem.

Choć sam był ranny, zaczął czołgać się od jednego ciała do drugiego, oglądając rany, sprawdzając tętno i wrzeszcząc o pomoc. Szybko natknął się na Jennifer Matthews, jęczącą i półprzytomną, z ziejącymi ranami na szyi i nodze. Nieopodal leżała w zupełnym bezruchu Elizabeth Hanson, krwawiąc z małej ranki w piersi.

Pomoc nadeszła w ciągu kilku sekund, bo na dźwięk eksplozji oficerowie Sił Specjalnych - niektórzy z zaawansowanym przeszkoleniem w zakresie kryzysowych sytuacji bojowych - wybiegli sprintem z pobliskich budynków z gotowymi do użycia karabinami i zestawami pierwszej pomocy. Na miejscu ocenili sytuację jako skrajnie dramatyczną.

Ofiary wybuchu były tak porozrzucane i przysypane gruzem, że trzeba było kilku minut, by je wszystkie odnaleźć. Sześć osób, w tym kierowca, nie żyło, a liczne ofiary odniosły groźne dla życia obrażenia, między innymi głębokie rany głowy. Lekarz CIA jeszcze raz sprawdził stan ciężej rannych, kiedy żołnierze zakładali opatrunki polowe i opaski uciskowe. Ocenił, że pięć osób umrze w ciągu kilku minut, jeśli nie zostaną natychmiast zoperowane. W tej piątce były Matthews i Hanson. Z lotniska po drugiej stronie kompleksu dobiegł ryk startującego silnika helikoptera. MI17 rosyjskiej produkcji, własność afgańskiej armii, w czasie zamachu był akurat w Choście i został natychmiast wciągnięty do służby. Zaledwie kilka kilometrów na północ od miasta Chost, w amerykańskiej bazie Camp Salerno, znajdował się światowej klasy szpital wojskowy, ale można było się tam dostać szybko jedynie helikopterem. W niejeden wieczór oficerowie CIA obserwowali z Chostu, jak specjalnie wyposażony helikopter Black Hawk błyskawicznie transportował do bazy Amerykanów i Afgańczyków rannych w wymianach ognia w całym wschodnim Afganistanie. Tego wieczoru do szpitala przyjadą ranni z samego Chostu.

Po wzbiciu się w powietrze MI-17 mógł dolecieć do Salerno w niecałe pięć minut. Co za szczęście - myślał lekarz CIA, pomagając załadować nosze na pokład.

Tylko czy to wystarczająco szybko?

Chirurg wojskowy kapitan Josh Alley właśnie kończył swoją zmianę w Camp Salerno Combat Support Hospital[111], kiedy przyszła wiadomość o incydencie w bazie CIA po drugiej stronie miasta.

„Chapman właśnie zaliczył bezpośrednie trafienie z moździerza” - zawołał jeden z lekarzy wojskowych, biegnąc korytarzem. „Jedzie do nas nieznana liczba ofiar”.

Alley, zaprawiony lekarz wojskowy, weteran służby w Iraku, przebrał się w fartuch chirurgiczny i zabrał się do mycia, a tymczasem powoli napływały szczegóły ataku. Według pierwszych raportów seria z moździerza dosięgła siłowni w bazie CIA - ta wiadomość trafiła Alleyowi do serca, bo korzystał z sali fitness w Salerno prawie codziennie. Podobnie jak jej sąsiadka z CIA baza Salerno była częstym celem dla rakiet.

Parę minut później lekarze dowiedzieli się, że był to jednak zamach samobójczy i zaczęli w pośpiechu przygotowywać łóżka intensywnego nadzoru dla sześciorga pacjentów. Przy każdym stanowisku zgromadziła się grupka techników, którzy nasłuchiwali warkotu nadlatujących helikopterów.

Pierwsze ofiary przyleciały o zmierzchu. Na lądowisku kilka kroków od szpitala jeden z lekarzy dokonywał pospiesznej selekcji rannych, sondując wzrokiem rany i ustalając priorytety za pomocą kodu numerycznego. To będzie dwa. To trzy. W żargonie szpitali polowych „dwa” oznacza krytyczne, groźne dla życia obrażenia. „Jeden” znaczy tyle co „oczekujący”, czyli prawdopodobnie bez szans na przeżycie.

Na blok operacyjny przywieziono dwóch pacjentów i Alley właśnie wypytywał jednego z nich - mężczyzna był ciężko ranny, ale przytomny - kiedy inny lekarz zawołał go do poważniejszego przypadku.

„Rana klatki piersiowej!” - krzyknął.

Alley przybiegł rzucić okiem. Na stole operacyjnym leżała młoda blondynka w czerwonym topie na ramiączkach i naszyjniku. Oszacował jej wiek na dwadzieścia pięć lat, może mniej. Nie wyczuł tętna. Był przyzwyczajony do widoku amerykańskich żołnierzy i zwykłych Afgańczyków z przerażającymi ranami, miał za sobą setki operacji, jak je nazywał, „na klopsikach”, wydłubał szrapnele z niejednej nogi rozerwanej przez minę przeciwpiechotną, ale ta piękna, nietknięta młoda dziewczyna to było coś nowego. Znalazł w klatce piersiowej Elizabeth Hanson otwór

wielkości groszka i postanowił operować natychmiast, żeby sprawdzić, czy nie ma rozległych obrażeń wewnętrznych. Szybko przeciął kości i mięśnie, po czym wyczuł palcem aortę, tętnicę główną wychodzącą z serca. Była spłaszczona i pusta. Zaczął desperacko uciskać i masować serce, a w tym czasie asystent włożył rurkę w otwór w klatce piersiowej. Rurka błyskawicznie wypełniła się jaskrawoczerwoną krwią, co świadczyło o potężnym krwotoku wewnętrznym.

Zabrakło mu możliwości. Pojedynczy kawałek szrapnela mniejszy od kulki do gry rozdarł żyły oraz tętnice najbliżej serca i zgasił w niej życie.

„Czy ktoś wie, jak ona się nazywa?" - zawołał Alley. Brak odpowiedzi.

Nie było czasu na zadumę. Przywieziono kolejnego pacjenta, tym razem starszą kobietę w bojówkach, z rozległymi obrażeniami od szrapneli. Podobnie jak Hanson, Jennifer Matthews przestała oddychać w czasie krótkiego lotu helikopterem z Chostu, jednak Alley spróbował ją uratować.

Szybko ocenił sytuację. Szrapnel oddarł spory kawałek szyi kobiety. Jej noga, nieco poniżej polowej opaski uciskowej, została prawie odarta ze skóry i mięśni, tak że widać było kość. Niewielki skrawek szrapnela przebił jej brzuch, a rana nabrzmiała w sposób, który sugerował krwotok wewnętrzny. Alley przycisnął do klatki piersiowej kobiety sondę USG, żeby spojrzeć na serce. Było nieruchome.

Nie mógł nic zrobić.

Gorączkowe wysiłki trwały nieprzerwanie przez wiele godzin. Razem z drugim chirurgiem Alley łatał zerwane żyły i zmasakrowane nogi. Zajął się najlepiej, jak potrafił młodym oficerem z kawałkiem szrapnela tkwiącym niebezpiecznie w mózgu. Wszystkich pozostałych udało się doprowadzić do stanu stabilnego i umieścić w helikopterach, którymi mieli za godzinę dolecieć do bazy powietrznej Armii USA Bagram koło Kabulu, gdzie zajmą się nimi inni lekarze.

Ostatniego z rannych zabrano późną nocą. Alley wyszedł na zewnątrz i zlany potem od adrenaliny i prawie trzydziestostopniowego gorąca w sali operacyjnej usiadł na kilka minut w chłodzie. Ciągle przybywały inne ciała - oficerów CIA zabitych w trakcie eksplozji. Miały zostać przewiezione do kostnicy w Salerno. Dowiedział się, że wśród szczątków są fragmenty ciała Humama Al-Balawiego, zebrane, jak się domyślał, do badania DNA.

Alley obgryzał loda Popsickle, żeby ukoić wyschnięte gardło. Ponad 90 procent amerykańskich żołnierzy, którzy docierali żywi do tego szpitala, przeżywało. Wiedział, że dziś w Choście każdy z kilkunastu czynników zależnych od ludzi zadziałał idealnie - od pierwszej pomocy paramedyków, przez dostępność helikopterów aż po stawienie się najlepszego zespołu chirurgów w ciągu niespełna pięciu minut od zamachu. Wszystko poszło tak, jak trzeba, ale to nie wystarczyło.

Pomyślał jeszcze raz o dwóch cywilnych kobietach, których nie zdołał uratować. Nadal nie wiedział, jak się nazywały. Czy to pracownice humanitarne? Dziennikarki? Każdy dzień przynosił do sali operacyjnej świeżą porcję cierpienia. Alley przywykł do radzenia sobie z nim i przechodzenia dalej, ale wojna na ogół polegała na tym, że mężczyźni walczyli z mężczyznami. Tym razem czuł się dziwnie.

Do lądowiska zbliżały się kolejne helikoptery. Alley wstał i skierował się z powrotem do szpitala, żeby wrócić do pracy.

ROZDZIAŁ 16
POLEGLI

Langley, Wirginia - 30 grudnia 2009

W chwili eksplozji - w Waszyngtonie było wcześnie rano - Michael V. Hayden przebywał w Langley z wizytą w swoim dawnym biurze[112]. Były dyrektor CIA został poproszony o wygłoszenie przemówienia w Pittsburghu i chcia? zebrać do niego materiały. Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem w kwaterze zazwyczaj było spokojnie, ale ten tydzień bynajmniej nie należał do zwyczajnych. W noc Bożego Narodzenia omal nie doszło do katastrofy, kiedy młody Nigeryjczyk Umar Faruk Abdulmutallab próbował wysadzić samolot nad Detroit. Ta sprawa, podobnie jak wiele innych w ostatnim czasie, nie miała sensu. Jak inteligentny, wykształcony chłopak z zamożnej rodziny może chcieć zabić siebie i kilkuset nieznajomych za pomocą bomby ukrytej w bieliźnie?

Hayden skończył pracę i postanowił zajrzeć do znajomych z szefostwa. Dyrektor Leon Panetta był na świątecznym urlopie, stary zastępca Haydena Steve Kappes tak samo, więc były dyrektor szedł dalej korytarzem, żeby przywitać się z Mikiem Sulickiem, człowiekiem, którego awansował na szefa Clandestine Service CIA. Dwóch innych kierowników właśnie wychodziło z biura Sulicka. Wyglądali, jakby mieli mdłości.

„Jest bardzo źle - powiedział jeden z nich. - Siedmioro oficerów nie żyje”.

Najwyższy rangą oficer w budynku właśnie się dowiedział. Ciągle napływały dalsze szczegóły, a piętro kierownicze opanowywało coś na kształt nerwicy frontowej. Hayden, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, zaszedł do swojego starego biura, gdzie zastał szefa sztabu CIA Jeremy'ego Basha przy telefonie, w trakcie przekazywania najnowszych wiadomości szefowi w Kalifornii.

Pierwsze raporty napłynęły do domu Panetty w Monterrey w Kalifornii tuż przed piątą rano, kiedy jeden z członków jego osobistej ochrony zapukał do drzwi jego sypialni. Jedna z jego doradczyń potrzebowała z nim pilnie porozmawiać za pośrednictwem bezpiecznych łączy telefonicznych.

„Mam straszną wiadomość - zaczęła kobieta. - Straciliśmy siedmioro oficerów w Choście".

„Cholera, jak to się stało?" - krzyknął Panetta, raptem oprzytomniały. Usłyszał słowa „jordański informator" oraz „zamach samobójczy" i obraz katastrofy powoli zaczynał klarować się w jego umyśle. Podwójny agent. Długo oczekiwane spotkanie. Szansa dopadnięcia Ajmana az-Zawahiriego. To wszystko był podstęp.

Panetta chciał słyszeć więcej szczegółów, ale o tej porze było ich jeszcze niewiele. Odłożył słuchawkę i siedział, licząc, że jakimś cudem okaże się to tylko złym snem.

Jako szef kancelarii Białego Domu w administracji Clintona czuwał przy prezydencie w 1993 roku, kiedy dotarła wiadomość o ataku bombowym na Budynek Federalny Alfreda P. Murraha w Oklahoma City - w zamachu przeprowadzonym przez amerykańskich prawicowych ekstremistów zginęło 168 osób. Nigdy jednak nie zabito ludzi pod jego bezpośrednimi rozkazami.

To prawdziwa wojna - pomyślał.

Nie rozłączając się z Bashem, Panetta zaczął telefonować do najważniejszych osób w państwie, w przekonaniu, że złą wiadomość powinni usłyszeć najpierw od niego. Zadzwonił do Dennisa Blaira, koordynatora amerykańskiego wywiadu, i do Roberta Gatesa, sekretarza obrony. Wystukał też numer wiceprezydenta Joe Bidena.

Później zadzwonił do prezydenta.

Barack Obama był na świątecznym urlopie na Hawajach, ale po chwili Panetta został połączony. Straciliśmy siedmiu oficerów w Choście - zaczął.

„Facet, który miał zaprowadzić nas do az-Zawahiriego, okazał się podwójnym agentem i wysadził się w powietrze” - poinformował prezydenta.

Panetta streścił w kilkuminutowej rozmowie skąpe fakty, którymi dysponował na tym etapie. Obama z początku słuchał w milczeniu, potem raz po raz przerywał Panetcie, domagając się szczegółów. Chcę zrozumieć, co się stało - powiedział.

Rozmawiali o tym, co będzie dalej. Oficjalne powiadomienia rodzin. Nabożeństwa. Biały Dom powinien wziąć w tym udział - myślał głośno Obama. - Rodziny muszę wiedzieć, że jesteśmy z nimi.

Informuj mnie na bieżęco, Leon - poprosił na koniec prezydent. - Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić…

W Langley Bash zaproponował Haydenowi, żeby został, a Hayden skorzystał. Zaczęły powoli napływać pierwsze nazwiska ofiar. Jedno z nich dotknęło Haydena do żywego: Elizabeth Hanson.

Ciągle pamiętał jej młodą twarz z czasów, kiedy przedstawiała najnowsze wiadomości o Al-Kaidzie na zebraniach wyższych członków personelu. Pamiętał jej głos z późnowieczornych telefonów z Centrum Antyterrorystycznego, kiedy Agencja była na tropiejakiegoś wyższego dowódcy w Pakistanie. Elizabeth była inteligentna, pewna siebie,

atrakcyjna - prawdziwa chodząca reklama Agencji. Roztaczała wokół siebie aurę entuzjazmu i kompetencji, które napawały Haydena dumą, kiedy służył jako dyrektor CIA.

Długo siedział w biurze dyrektora z Bashem i Sulickiem, rozmawiał o tych wydarzeniach i ludziach, zastanawiał się, co poszło źle. W końcu pożegnał się z innymi i wyszedł. Przeszedł obok stanowiska strażników i przez marmurowy hol z wygrawerowaną w podłodze słynną pieczęcią CIA. Minął ścianę poświęconą pamięci poległych oficerów Agencji, na której dziesiątki granitowych gwiazdek upamiętniają poległych agentów wywiadu, w tym wielu takich, których nazwiska na zawsze pozostaną tajemnicą.

Na dworze było pochmurno i lodowato zimno. Hayden w pośpiechu podszedł do samochodu i siedział kilka minut na parkingu. Myślał o Hanson i pozostałych, i o wielu rodzinach, które o tej godzinie jeszcze nie wiedziały, co je czeka.

Bez świadków, w samochodzie, w przenikliwym chłodzie, Michael Hayden pozwolił sobie na łzy.

Jeszcze zanim poznano zasięg strat, najwyżsi urzędnicy CIA mieli gotowy plan postępowania Agencji w nadchodzących dniach. Zaczęto natychmiast od całkowitego odseparowania Chostu, zamknięcia bazy i odcięcia łączności ze światem zewnętrznym. Kilku osobom udało się jednak przedtem zadzwonić do Stanów Zjednoczonych z telefonów komórkowych. Jedną z nich był oficer Sił Specjalnych, który widział następstwa zamachu i zatelefonował z wiadomością do przyjaciela z CIA.

„Właśnie wysadzili twoją bazę” - powiedział. Agencja narzuciła blokadę informacyjną, starając się zachować szczegóły ataku w tajemnicy przed opinią publiczną do czasu, aż kierownictwo będzie miało jasny obraz sytuacji i uruchomi procedurę powiadamiania rodzin zabitych i rannych. W

ciągu kilku godzin w internecie zawrzało od plotek o poważnej eksplozji w tajnej bazie CIA, ale oficjalną reakcją z Langley było milczenie. W centrali i w bazie Agencji w Ammanie powołano zespoły, których zadaniem nie do pozazdroszczenia było zlokalizowanie żon i rodziców, aby można było przekazać im wiadomość osobiście[113].

30 grudnia CIA nie miała nikogo w okolicach Toskanii, więc obowiązek wykonania telefonu do Rachael LaBonte przypadł bazie w Ammanie. Jej szef wiedział, że rodzina LaBonte jest we Włoszech i spodziewa się Darrena lada chwila. W rzeczywistości jego żona już wyczuła, że w Afganistanie stało się coś bardzo złego. Późnym popołudniem zaczęła dostawać pilne esemesy od Fidy, żony Alego bin Zeida. Jordanka widziała w serwisach informacyjnych doniesienia o jakimś ataku w Afganistanie i była zaniepokojona. Mąż nie zadzwonił, tak jak się umówili, a teraz nie mogła się do niego dodzwonić. Czy Rachael ma jakieś wieści od Darrena?

Rachael LaBonte doszła do wniosku, że to tylko problem z połączeniem, ale dla pewności wystukała numer oficera dyżurnego w bazie CIA w Ammanie. Głos po drugiej stronie brzmiał trochę nerwowo, ale też krzepiąco. Racheal usłyszała, że nie ma żadnych wiadomości z Chostu, ani dobrych, ani złych.

Kilka godzin później, kiedy kładła do snu ich córkę Rainę, poczuła strach - jakby jednocześnie kłuły ją tysiące małych noży. Usłyszała pukanie do drzwi - właściciel domu powiedział, że ktoś z rządu próbuje skontaktować się z rodziną. Zadzwonił telefon. Na linii był szef bazy w Ammanie.

„Proszę usiąść. Czy teść jest z panią?” - zapytał. „Niech pan mi powie, co ma pan do powiedzenia - zażądała Rachael. - Chcę to usłyszeć osobiście”.

„Nie wiem, jak to pani powiedzieć. Darren zginął od bomby zamachowca samobójcy” - zaczął.

Rachael padła na kolana z telefonem ciągle przyciśniętym do ucha. Rodzice Darrena stali nad nią i wypytywali, co się stało.

„Darren nie popełnił żadnego błędu - mówił szef bazy. - Jest bohaterem. - Po chwili: Rachael, jest pani tam?”

Rachael miała tak ogromny zamęt w głowie, że wydawało się jej, jakby to wszystko przydarzało się komuś innemu. „Będzie pan musiał powiedzieć Davebwi” - powiedziała i przekazała teściowi telefon. Słyszała jak przez mgłę, jak David LaBonte krzyczy do telefonu, a w jego głosie słychać złość i ból.

„Co to ma znaczyć? - dopytywał. - Co pan mówi?”

Podniosła wzrok i zobaczyła Camille, przerażoną i zdezorientowaną, pełną najgorszych obaw, ale jeszcze niczego nieświadomą. Rachael ujęła ją za rękę, żeby powiedzieć jej delikatnie, że syn nie wróci do domu.

W tym samym czasie kilkuosobowe zespoły oficerów CIA wsiadały do samolotów i samochodów zmierzających do małych miejscowości w Wirginii, Pensylwanii i Illinois. Dwie z bliskich przyjaciółek Elizabeth Hanson brnęły przez śnieżycę, żeby zapukać do drzwi domu jej matki na przedmieściach Chicago. Inne siedziały z Janet Brown, której mąż Harold miał do zakończenia misji w Choście zaledwie parę tygodni i wkrótce spodziewano się go w domu; a także z ciężarną Molly Roberson, za dwa miesiące spodziewającą się córeczki, której wraz ze Scottem postanowili dać na imię Piper. Czwarty zespół odnalazł męża i dzieci Jennifer Matthews w kurorcie narciarskim. Gary Anderson usiadł z teściami, Billem i Lois Matthews, w hotelu w Hershey w Pensylwanii, żeby dowiedzieć się szczegółów o okolicznościach śmierci żony.

Xe Services LLC, firma bardziej znana jako Blackwater, wysłała swoich przedstawicieli do Virginia Beach i DuPont w stanie Waszyngton, by spotkali się z żonami ochroniarzy - Danea Paresiego i Jeremy'ego Wisea. Goście Dany Wise pojawili się przed jej domem, kiedy wybierała się załatwić jakieś sprawunki i właśnie sadzała synka Ethana w samochodzie. Wysłała sześciolatka do jego pokoju, a sama usiadła z mężczyznami w salonie. Zanim wyszli, zebrała się w sobie, żeby przekazać synowi straszną wiadomość.

Ethan był jej dzieckiem z poprzedniego małżeństwa, ale Jeremy go adoptował i kochał jak własnego syna. Kiedyś, wracając z długiej misji w Iraku, postanowił zrobić Ethanowi niespodziankę i przyjechał do niego do szkoły. Był to najszczęśliwszy dzień w życiu chłopca.

Teraz powroty do domu się skończyły. Dana Wise ze łzami w oczach przytuliła syna i siedzieli objęci na jego łóżku, otoczeni zabawkami i pluszowymi zwierzątkami. W końcu zdobyła się na odwagę.

„Tatuś odszedł" - powiedziała cicho.

Mindy Lou Paresi i jej córka Santina, po wylądowaniu na lotnisku w Seattle po świątecznych odwiedzinach u rodziny, z ulgą przeczytały tego wieczoru uspokajający email od Danea. Miały ciężką podróż, pełną nieskończenie długich kolejek i opóźnień, a kiedy przyjechały, były tak wykończone, że położyły się spać, nie rozpakowując walizek. O 14.00 w sylwestra Mindy Lou obudziło pukanie do drzwi. Wyjrzała przez okno na piętrze i zobaczyła stojących u drzwi trzech mężczyzn, w tym jednego oficera policji.

„Czy z Daneem wszystko OK?" - zawołała z góry.

„Niestety nie, proszę pani".

Wpuściła ich do środka, ale nie wierzyła w to, co mówili. To jakaś pomyłka, przecież wieczorem dostałam od niego email - powiedziała.

Przedstawiciele Blackwater byli zaskoczeni. Jeden z nich zadzwonił do firmy, żeby sprawdzić jeszcze raz.

Odpowiedź była jednoznaczna: Dane Paresi nie żyje.

Minęły prawie dwa dni, zanim Mindy Lou Paresi pozwoliła sobie na płacz. Tego ranka godzinami chodziła tam i z powrotem po mieszkaniu, składając pranie i wykonując jeden telefon za drugim.

Potem spakowała rzeczy przed wyjazdem do Dover w stanie Delaware, gdzie miał wylądować samolot wiozący ciała z Afganistanu. Wyciągnęła mundur i buty wojskowe męża z szafy i włożyła je do osobnej torby. Wiedziała, że Dane chciałby zostać w nich pochowany.

W Nowy Rok pojechała na lotnisko, trzymając torbę z mundurem Dane'a blisko siebie w samochodzie i później, w lotniskowym terminalu. Członek personelu na stanowisku kontroli bezpieczeństwa poprosił o torbę, żeby móc przenieść ją przez bramkę z wykrywaczem metalu. Z początku Mindy nie mogła się z nią rozstać, a kiedy to zrobiła, nie wytrzymała i zaczęła niepohamowanie szlochać.

Wiadomość o zamachu dotarła do Jordanii późnym wieczorem - najpierw do Muchabaratu, a następnie do pałacu królewskiego. Urzędnik dworu królewskiego zatelefonował do braci i żony Alego bin Zeida i poprosił ich, aby zebrali się w domu rodzinnym w Ammanie.

Kiedy wszyscy się tam zjechali, przed domem zgromadziła się delegacja najwyższych rządowych oficjeli. Był brat króla książę Ali bin alHusajn, premier, szef Muchabaratu oraz dowódca jordańskich sił zbrojnych. O 21.30 przeszli w smutnym pochodzie do drzwi frontowych.

Kiedy drzwi się otwarły, przez kilka minut nikt - ani dygnitarze, ani rodzina - nie odezwał się ani słowem. „Wszyscy wiedzieli" - wspominał brat Alego Hassan.

Chalilowi Al-Balawiemu, ojcu zamachowca, nie złożono takiej wizyty. Jednak rankiem w sylwestra zadzwonił telefon zarówno w domu Balawich, jak i w domu rodziców Defne Bayrak w Stambule. Dzwoniący, w obu przypadkach ten sam człowiek, mówił po arabsku i się nie przedstawił.

Miał taki głos, że Chalilowi Al-Balawiemu wydawało się, iż przynosi dobre wieści. Humam zabił siedmioro oficerów CIA w akcie męczeństwa w Afganistanie, powiedział.

„Niech pan się nie smuci - mówił mężczyzna. - Z woli Allaha na pewno jest już w najwyższym niebie".

Chalil Al-Balawi był wtedy z rodziną, ale jeszcze przez kilka godzin nie mógł zdobyć się na to, żeby powiedzieć jej o telefonie - a może nawet żeby w niego uwierzyć - ale po upływie tego czasu w okolicy rozniosła się wiadomość, że za zamachem bombowym, który zdominował czołówki serwisów informacyjnych arabskiej telewizji AlDżazira, stoi Humam, lekarz z sąsiedztwa. Zaczęli dzwonić krewni i przyjaciele rodziny, niektórzy z kondolencjami, inni z czymś, co brzmiało bardziej jak gratulacje.

Chalil Al-Balawi mówił niewiele, a w pewnym momencie przeprosił pozostałych, poszedł do swojej sypialni i wyciągnął dziennik, próbując doszukać się sensu w myślach kłębiących się w jego głowie.

„Na początku 2009 roku został aresztowany i był przetrzymywany przez Muchabarat - wspominał starzec. - Po trzech dniach go zwolniono. Jego ojciec może poświadczyć, że od tego dnia nastąpiła w nim drastyczna zmiana".

„Właśnie przez to - napisał - straciłem syna".

ROZDZIAŁ 17
DETERMINACJA

Langley, Wirginia - styczeń 2010

Szejk Said al-Masri uśmiercił giganta i nie posiadał się ze szczęścia. „Heroiczny sukces” - tak określił zamach w rzadkim publicznym wystąpieniu człowiek numer trzy w Al-Kaidzie[114]. Chwalił wybitnego zabójcę Humama Al-Balawiego, „znanego pisarza i głosiciela mądrości… przesiedleńca i mudżahida”, który spenetrował bazę ich śmiertelnego wroga - CIA.

W przesłaniu zamieszczonym na stronach internetowych bojowników dżihadu krótko po ataku al-Masri nie wziął za niego odpowiedzialności, bo jako stary wojownik wiedział, że naraziłby się w ten sposób na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Zasugerował jednak, że zna od podszewki szczegóły spisku, nazywając go wzorem „cierpliwości, dobrego planowania i organizacji”.

„Zdetonował świetną, zaskakującą i doskonale zaprojektowaną bombę, niewidoczną dla oczu tych, którzy nie wierzą” - oznajmił al-Masri. Potem, zwracając się bezpośrednio do nieżyjącego zamachowca, oficjalnie rozwiał wątpliwości na jego temat, ucina jąc wszelkie spekulacje.

„Zwyciężyłeś za sprawą Pana Kaaby, o Abu Leila, z Bożą pomocą? powiedział. - Byłeś szczery i dowiodłeś tego”.

Reakcja al-Masriego była powściągliwa w porównaniu z odpowiedzią lidera talibów Hakimullaha Mehsuda. Były gospodarz Al-Balawiego zadał sobie trud, żeby nagrać Jordańczyka na wideo przed jego śmiercią, miał więc dowody, że jest powiązany z misją samobójczą. Jednak w dniach po ataku konkurujące ugrupowania talibów zaczęły rościć sobie do niego prawa. Jedna z frakcji chwaliła się, że za zamachem stoi niezadowolony afgański żołnierz.

Tak rozsierdziło to Hakimullaha, że zaczął rozsyłać emaile do zachodnich dziennikarzy pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

„Przyznajemy się do odpowiedzialności za atak na CIA w Afganistanie" - ogłaszał w emailach[115]. Zamach był „zemstą za zabicie Bajtullaha Mehsuda oraz zabicie Abdullaha z Al-Kaidy" - najwyraźniej Abdullaha Saida alLibiego.

Trzydziestoletni przywódca talibów zaczął też czynić aluzje, że klan Mehsudów wkracza w nowy, brawurowy etap. Zamach Al-Balawiego był największą operacją jego ugrupowania poza jego rodzimą bazą i wzmocnił osobiste znaczenie Hakimullaha Mehsuda. Hakimullah nie był już tylko lokalnym dżihadystą o zaściankowych ambicjach. Podobnie jak jego poległy kuzyn zaczął chwalić się, że planuje zaatakować Zachód, poczynając od „Ameryki, przestępczego państwa", które obwiniał o śmierć Bajtullaha.

„Nasi fedaini przeniknęli do terrorystycznej Ameryki - ostrzegł ostentacyjnie w sfilmowanym komunikacie. - Zadamy fanatycznej Ameryce niezmiernie bolesne ciosy"[116].

Al-Balawi przewidział to w godzinach przed śmiercią. Jego czyn - obwieścił w jednym z ostatnich nagrań wideo - będzie „pierwszą z operacji

odwetowych przeciwko Amerykanom i ich dronom poza granicami Pakistanu”.

Innymi słowy - Chost to dopiero początek.

4 stycznia o 8.30 rano członkowie kierownictwa CIA zebrali się w biurze dyrektora na najsmutniejsze poniedziałkowe zebranie personelu od prawie dekady66. Na prośbę Panetty rozpoczęło się ono minutą ciszy. Najwyżsi urzędnicy wydziału antyterrorystycznego Agencji skłonili głowy, jedni pogrążeni w modlitwie, inni płacząc.

Zazwyczaj gadatliwy Panetta był przygaszony, oczy miał opuchnięte z braku snu. Zaraz po zebraniu miał wyruszyć z Langley do Bazy Sił Powietrznych Dover w Delaware, żeby przywitać samolot wojskowy wiozący ciała zabitych do ojczyzny. Stanie na płycie lotniska w przejmującym chłodzie i będzie patrzył na wynoszone kolejno z samolotu okryte flagami trumny. Potem razem z rodzinami, w pustym ciasnym hangarze, weźmie udział w krótkim nabożeństwie żałobnym, pierwszym z wielu zaplanowanych na najbliższe dni.

Panetta nie wiedział dokładnie, kiedy miało odbyć się spotkanie z Al-Balawim, ale znał planowany przebieg operacji i niecierpliwie czekał na jej rezultaty. Teraz dźwigał ciężar znajomości nazwisk i twarzy każdego z zabitych i rannych. Zdawał sobie sprawę, że poznał niektórych z nich w czasie swoich podróży do baz CIA; jego wizyty prawie zawsze obejmowały nieformalne spotkania ze zwykłymi oficerami prowadzącymi i analitykami, którzy mogli na nich zadawać dyrektorowi CIA pytania. Czuł się dumny, że może szefować takim inteligentnym, kompetentnym ludziom. Teraz, w prywatnych rozmowach przebieg spotkania zrelacjonowali w wywiadach z autorem dwaj urzędnicy Agencji, którzy brali w nim udział. z bliskimi przyjaciółmi wyrzucał sobie, że zdrada Al-Balawiego nie została wykryta. Panetta przeczytał po raz drugi kartotekę informatora i przestudiował

zdjęcia czerwonego subaru z roztrzaskanymi szybami i setkami dziur po szrapnelach. Starał się roztaczać aurę spokoju, ale był głęboko sfrustrowany. Jak mogli pozwolić terroryście wślizgnąć się do środka ot, tak? - pytał raz po raz. „Leon czuł się odpowiedzialny - powiedział przyjaciel z administracji, który spotkał się z nim w pierwszych dniach po ataku. - Wszyscy czuliśmy się odpowiedzialni, każdy, kto wiedział o spotkaniu mającym się odbyć tamtego dnia".

Gdy jednak Panetta stanął przed szefami poszczególnych wydziałów CIA na porannym zebraniu, głos miał zdecydowany. Po minucie ciszy powiedział zebranym, żeby przygotowali się na to, że będą teraz wyjątkowo zajęci. W swoim czasie zostanie przeprowadzone wyczerpujące śledztwo, ale na razie CIA ma skoncentrować swoją energię na obszarach plemiennych północnozachodniego Pakistanu. Utrata siedmiorga oficerów w ciągu jednego dnia ma historyczne znaczenie - jest to największa strata od ćwierćwiecza - ale Agencja nie może dać nieprzyjacielowi ani chwili wytchnienia. Właściwie to szykuje coś zupełnie przeciwnego - powiedział.

„Kiedy prowadzi się wojnę, podejmuje się ryzyko, ale my jesteśmy rodziną, musimy nią być - tłumaczył. - Musimy teraz się zjednoczyć, nie tylko po to, żeby poradzić sobie z bólem po tej stracie, ale też po to, by mieć pewność, że nasza misja zostanie spełniona".

Weterani Agencji siedzieli w ciszy, a Panetta mówił dalej.

„W ostatnim roku daliśmy im łupnia, więc będą próbowali nam oddać - powiedział. - Ale to my musimy pozostać w ofensywie".

Nowa ofensywa de facto już się rozpoczęła. W sylwestra, kilka godzin po zamachu, samotny predator CIA przeprowadził pierwszy atak odwetowy[117], trafiając w kryjówkę talibów w pobliżu miasta Mir Ali w Północnym Waziristanie. Wśród czterech zabitych był jeden z przywódców

talibów Hadżi Omar Chan, bliski sprzymierzeniec rodziny Mehsudów i weteran wojny afgańskiej.

Niespełna dobę później przeprowadzono drugi atak, na trzech talibskich bojowników jadących samochodem kilka kilometrów od Mir Ali. Dwóch innych zabito w tej samej okolicy w trzecim ataku 3 stycznia.

A była to dopiero rozgrzewka.

6 stycznia, dwa dni po przemówieniu Panetty do wyższych członków personelu, samoloty roboty krążyły nad obozem szkoleniowym w Datta Chel, niedaleko domu, gdzie została zrobiona zabójcza kamizelka Al-Balawiego. Pierwsza seria pocisków uderzyła w fortecę z cegły mułowej, służącą za kwaterę główną obozu. Kiedy rebelianci rozeszli się po zrujnowanych budynkach, szukając ciał ofiar, wystrzelono drugą salwę. Po opadnięciu pyłu ukazały się trupy co najmniej jedenastu osób, w tym dwóch Arabów, których pakistańskie władze zidentyfikowały jako agentów Al-Kaidy.

Kolejny atak - piąty w ciągu dziewięciu dni - zabił pięć osób w kryjówce talibów 8 stycznia. Następnego dnia w uderzeniu na obóz szkoleniowy w wiosce koło Miranszahu zginęły jeszcze cztery. Wśród zabitych był jordański agent Al-Kaidy, zatrudniony jako osobisty ochroniarz szejka Saida al-Masriego. Jeśli al-Masri tam był, to udało mu się uciec.

Ofensywa trwała. Do 19 stycznia, w niecałe trzy tygodnie po zamachu, CIA przeprowadziła jedenaście niezależnych ataków rakietowych na niewielkim obszarze Północnego i Południowego Waziristanu, zabijając co najmniej sześćdziesiąt dwie osoby. Była to wojna dronów w najzacieklejszym wydaniu: nigdy, odkąd wypuszczono pierwsze predatory nad Pakistanem w 2004 roku, ataki nie były tak wzmożone.

Ataki rakietowe były zatwierdzane przez wszystkie szczeble hierarchii, aż po Biały Dom. Według najwyższych urzędnikówadministracji wszystkie talibskie cele były na liście obserwowanych przez Agencję, zanim doszło do ataku samobójczego w Choście. Przed rozpoczęciem nowego roku flota samolotów robotów CIA jednak urosła: nowe „orbity" zostały zatwierdzone przez prezydenta Obamę jesienią. Co ważniejsze, Agencja uzyskała zgodę na czasowe zawieszenie jednej z niepisanych zasad kampanii z udziałem dronów. Przed zamachem bombowym w Choście CIA starała się unikać zmasowanych ataków, które mogły wywołać ostry sprzeciw zwykłych Pakistańczyków. Teraz szefowie Agencji i prezydent USA nie mieli ochoty dłużej okazywać takiej powściągliwości.

„Po wydarzeniach w Choście polityczna wrażliwość przestała już być argumentem za tym, żeby czegoś nie robić - wspominał jeden z wyższych urzędników do spraw bezpieczeństwa w administracji Obamy, który brał udział w dyskusjach dotyczących amerykańskiej reakcji na zamach. - Zrzuciliśmy okowy".

Do ataku, który wywołał największe emocje w Langley, doszło 14 stycznia w słabo zaludnionym rejonie Szaktoi, w pobliżu granicy między dwoma Waziristanami. Samolot CIA krążył powoli nad byłą medresą, szkołą religijną, służącą obecnie za bazę talibów. Informatorzy donieśli o obecności w obozie rosłego taliba o poszarpanej brodzie, ewidentnie dowódcy wysokiej rangi. Podsłuchana rozmowa telefoniczna potwierdziła, że był to Hakimullah Mehsud.

Tuż przed świtem dwie duże eksplozje zrównały z ziemią budynek szkoły i sąsiedni dom. Wśród dziesięciu ciał były zwłoki kilku uzbeckich bojowników, znanych członków osobistego zespołu ochroniarzy przywódcy talibów.

Pakistańskie media pospieszyły z publikacją w internecie wiadomości: Hakimullah Mehsud, człowiek, który pomógł przygotować Al-Balawiego do misji samobójczej, przebywał w obrębie bazy, kiedy spadły na nią pociski, i prawdopodobnie leży pogrzebany pod zwałami gruzu. Pewien angielskojęzyczny portal informacyjny zamieścił na swojej stronie głównej napisaną dużą czcionką informację: „Istnieją obawy, że Hakimullah nie żyje”[118].

Panetta dzień za dniem siedział z uchem przy telefonie i przez bezpieczne łącza wydawał rozkazy i odbierał raporty od zespołów operatorów dronów. Publicznie jego rolą było jednak przeprowadzenie Agencji przez długi okres żałoby. Wraz ze swoim zastępcą Steveem Kappesem wziął udział w ponad dwudziestu pogrzebach i nabożeństwach żałobnych, od zgromadzenia w Dover aż po ostatnie pochówki na Arlingtońskim Cmentarzu Narodowym wiele tygodni później. Pojechał do Jordanii uspokoić kierownictwo Muchabaratu i spotkał się ze współpracownikami Darrena LaBonte w bazie CIA w Ammanie, gdzie zobowiązał się osobiście dopilnować, aby wdowa i dziecko zostały otoczone należytą opieką.

Ludzki wymiar tej katastrofy ujawnił się w pełni w Dover[119]. Panetta poleciał do bazy w Delaware z generałem Jamesem E. „Hossem” Cartwrightem, generałem Korpusu Marines oraz wiceprzewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, aby przyjąć zwłoki. Spodziewał się, że porozmawia z członkami rodzin zabitych w prywatnych, specjalnie do tego przeznaczonych pokojach, ale rodziców, dzieci, żon i mężów było tyle, że musieli przenieść się do dużego, wielofunkcyjnego pomieszczenia w kaplicy bazy. Panetta wszedł do sali wypełnionej po brzegi krewnymi

zabitych. Dorośli stali w grupkach wzdłuż ścian, a dzieci bawiły się albo siedziały na kolanach rodziców.

„Widok tak wielu ludzi był szokujący” - powiedział później jeden z doradców Panetty. Szef CIA przechodził przez tłum, ściskając dłonie i obejmując niektóre osoby. Następnie wygłosił krótką mowę skierowaną do wszystkich.

„Musicie wiedzieć dwie rzeczy - powiedział. - Uhonorujemy waszych najbliższych w stosowny, godny sposób, zaczynając tutaj, w Dover. Będziemy także dalej toczyć walkę, bo tego właśnie by od nas chcieli”.

Tymczasem w Jordanii inni członkowie szefostwa CIA i dygnitarze Departamentu Stanu zgromadzili się w Ammanie na królewski pogrzeb Alego bin Zeida. Ceremonia rozpoczęła się wniesieniem ze wszelkimi honorami ciała kapitana Muchabaratu w asyście kompanii honorowej złożonej z dwudziestu czterech żołnierzy elitarnej jednostki w tradycyjnych czerwonobiałych kefijach na głowach. Korpus dudziarzy poprowadził oficjalny kondukt pogrzebowy, w którym szedł między innymi kuzyn bin Zeida król Abdullah II, wraz z królową Ranią i najstarszym synem księciem Husajnem.

Amerykańskie rodziny zgromadziły się na serii prywatnych nabożeństw od wybrzeża Oregonu przez Rockford w Illinois po przedmieścia Bostonu[120]. Koledzy z formacji Navy SEAL zebrali się w kaplicy marynarki wojennej w Virginia Beach w Wirginii, żeby oddać cześć poległemu towarzyszowi Jeremy’emu Wisebwi, a dwoje najstarszych dzieci Harolda Browna juniora, dwunastoletni Paul i jedenastoletnia Magdalena, zagrało duet na saksofonie i klarnecie na cześć ojca podczas nabożeństwa w katolickim kościele w jego rodzinnym Bolton w stanie Massachusetts. Oficerowie wydziału narkotykowego i policjanci na motocyklach płakali nad trumną Scotta Robersona w Akron w Ohio, zaś w katedrze w Annapolis

w stanie Maryland jeden z kumpli Darrena LaBonte z CIA wspominał odwagę byłego rangera znanego jako Spartanin. Oficer porównał swojego dawnego kolegę z Leonidasem, starożytnym walecznym królem Sparty, który gdy znacznie liczniejsze siły perskie kazały mu złożyć broń, odparł: Molon labe - „Przyjdźcie i sami ją weźcie!” Zycie Jennifer Matthews wspominano na dwóch nabożeństwach: w jej rodzinnym kościele we Fredericksburgu w Wirginii i w małym ceglanym kościółku koło Harrisburga w Pensylwanii, gdzie uczęszczała w dzieciństwie do szkółki niedzielnej. W nabitym po brzegi kościele we Fredericksburgu zapadła cisza, kiedy najstarsza pociecha Matthews, dwunastoletnia dziewczynka, wstała, żeby zaśpiewać doskonałym sopranem fragment z Nędzników, ulubionego musicalu mamy. Czas gotować się na śmierć i życie czas w ofierze dać - śpiewała.

Mindy Lou Paresi, zgodnie z życzeniem męża, zorganizowała pochówek Danea Paresiego na tym samym cmentarzu weteranów Willamette w Portland, gdzie Dane jako chłopiec bawił się w żołnierza. Ciało, ubrane w mundur Zielonych Beretów i buty komandosa, które Mindy przywiozła ze sobą do Bazy Sił Powietrznych w Dover, odbyło swoją ostatnią podróż przez kraj w metalowej trumnie. Przyjęcie dla najbliższej rodziny i wąskiego grona przyjaciół miało odbyć się przy zamkniętej trumnie, ale zanim się zaczęło, wdowa poprosiła, by zostawiono ją na chwilę samą z jego ciałem. Modliła się cicho przez kilka minut, a potem podeszła do trumny i ostrożnie uchyliła wieko. Twarz Danea była owinięta gazą, a na ręce założono mu białe rękawiczki.

Mindy Lou pragnęła zrozumieć dogłębnie to, co stało się udziałem męża, dlatego zmusiła się do dotknięcia jego porozrywanego ciała. Głaskała jego opuchniętą, zawiniętą w całun twarz. Wyczuła puste miejsca

rękawiczki, gdzie brakowało palców. Przesunęła dłonią wzdłuż jego munduru, wyczuwając przez tkaninę połamane kości.

Pocałowała męża ten ostatni raz, po czym zamknęła wieko.

5 lutego rodziny zabitych oficerów i setki ich kolegów z CIA zgromadziły się w Langley, by po raz ostatni oddać im hołd. Gdy podjeżdżały kawalkady z elitami waszyngtońskiej społeczności pracowników bezpieczeństwa narodowego, od Pentagonu przez Kongres po Biały Dom, nad stolicą szalała potężna burza śnieżna. W marmurowym holu CIA na składanych krzesłach przed podium usiadła duża grupa rodziców, małżonków i małych dzieci. Zespół smyczkowy grał utwór adagio, a z podwyższenia patrzył na nich prezydent Obama z Panetta po jednej i Kappesem po drugiej stronie.

Prezydent zabrał głos jako pierwszy, w pewnym momencie zwracając się do dzieci w pierwszych rzędach.

„Wiem, że musi to być strasznie trudne i niezrozumiałe, proszę was jednak, pamiętajcie zawsze, że waszej mamie albo tacie nie było łatwo opuścić dom - mówił Obama. - Ale wyjechali do innego kraju bronić naszego kraju. Oddali życie w obronie waszej ojczyzny.

Służyli w tajemnicy, ale dziś każdy Amerykanin może zobaczyć to, co po sobie zostawili - ciągnął. - Gdyż ich zasługi widać wszędzie wokół nas. Spójrzcie, ilu wyeliminowali ekstremistów, którzy już nam nie zagrażają. Spójrzcie, do ilu nie doszło ataków - ponieważ je udaremnili”9.

Słowa Panetty były skierowane głównie do rodzin poległych oficerów CIA.

„Jesteśmy na linii frontu - zaczął. - Przeniesiemy tę walkę na terytorium nieprzyjaciela”.

Tajne depesze Agencji początkowo donosiły o sukcesach w północnym Pakistanie, lecz w ostatnich dniach znowu zanosiło się na burzę: pojawiły

się ostrzeżenia przed nowymi groźbami ze strony komórek Al-Kaidy od Afryki Wschodniej po Półwysep Arabski i oznaki regeneracji sił przywódców Al-Kaidy. Agencja potwierdziła, że Hakimullah Mehsud ledwie uszedł przed zamachem na swoje życie i ponownie groził zajadle, że znajdzie sposoby, żeby zabijać Amerykanów. Osama Bin Laden dał o sobie znać nowym nagraniem audio, w którym chwalił próbę zamachu na lecący do Detroit pasażerski odrzutowiec w Boże Narodzenie i pouczał Amerykanów, że „nie mają co marzyć o pokoju”. Szejk Said al-Masri, uboższy o jednego ochroniarza, żył gdzieś pośród pakistańskich wzgórz i wsłuchując się w buczenie predatorów, planował swój następny ruch. Wojna bynajmniej się nie skończyła.

„Nasza determinacja nie słabnie - ciągnął Panetta - a nasza energia się nie zmniejsza”.

Po przemówieniach oficer CIA odśpiewał pełną smutku balladę, a zebrani wyszli powoli z budynku centrali. Było już po zmroku i zaczynały spadać pierwsze, zbite w grudki grube płatki śniegu.

ROZDZIAŁ 18
DZIEŃ PAMIĘCI

Arlington, Wirginia - 21 maja 2010

Elizabeth Hanson nie mogła doczekać się stosownego pochówku od prawie pięciu miesięcy, ale w końcu przyszedł nań czas[121]. Były przeszkody do pokonania, między innymi opór Pentagonu wobec grzebania na najbardziej prestiżowym cmentarzu wojskowym w kraju oficerów CIA, którzy nie byli weteranami. Leon Panetta, przyzwyczajony do radzenia sobie z przeszkodami natury biurokratycznej, odwiedził starego przyjaciela Roberta Gatesa, byłego dyrektora CIA, a obecnie sekretarza obrony w administracji Obamy. Sprawa została szybko załatwiona: Hanson, choć była cywilem, miała zostać pochowana w Arlington zgodnie z życzeniem rodziny. Datę tego ostatniego z pochówków ofiar z Chostu ustalono na 21 maja, a Panetta jak zawsze zapowiedział, że weźmie w nim udział.

Jednak w tym dniu kierownictwo Agencji było wyjątkowo podenerwowane. Rankiem dyrektor CIA wrócił po dwóch dniach pilnych spotkań z członkami pakistańskiego rządu w Islamabadzie. Panetta i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James L. Jones udali się tam razem, aby podzielić się informacjami o młodym Amerykaninie pakistańskiego pochodzenia oskarżonym o próbę zdetonowania 1 maja bomby ukrytej w samochodzie na nowojorskim Times Square. Podejrzany, bezrobotny analityk finansowy nazwiskiem Faisal Shahzad, przyznał się

policji, że do zamachu przygotowało go szkolenie, które odbył w 2009 roku, podczas podróży do pakistańskiego regionu przygranicznego. W końcu pojawiło się nagranie wideo, na którym podejrzany z Bridgeport w Connecticut obejmuje swojego pakistańskiego sponsora Hakimullaha Mehsuda.

Bomba w samochodzie na szczęście nie wypaliła, ale amerykański wywiad odkrył z najwyższym zdziwieniem, że cały spisek nosił wyraźne piętno Mehsuda. Rok wcześniej Hakimullah Mehsud był nikomu bliżej nieznanym pomocnikiem plemiennego gangstera - półanalfabety żyjącego w dalekich górach północnozachodniego Pakistanu. Teraz, błyskawicznie wyniesiony do rangi przywódcy talibów za sprawą śmierci kuzyna Bajtullaha w ataku rakietowym CIA, Hakimullah zdołał zagrozić Amerykanom w sercu największego amerykańskiego miasta. Czy to właśnie miał na myśli, kiedy ostrzegał, że jego bojownicy „przeniknęli do terrorystycznej Ameryki”? Ilu jeszcze zamachowców jest w drodze, a może nawet już na miejscu?

Panetta miał jednak większe zmartwienia na głowie, kiedy wsiadał do limuzyny, która zawiozła go na nabożeństwo żałobne przy grobie Hanson. Jego doradcy wydzwaniali do niego całe rano w związku z potencjalnie doniosłym odkryciem, czymś niespodziewanym, co wyniknęło tego dnia w toku poszukiwania podejrzanych o terroryzm. Obraz z pakistańskich terenów plemiennych ciągle jeszcze się klarował, ale targeterzy Agencji byli przekonani, że zlokalizowali poszukiwanego od dawna człowieka Al-Kaidy[122].

Chodziło o szejka Saida al-Masriego, przywódcę terrorystycznego numer trzy, człowieka, który nadzorował zamach samobójczy Al-Balawiego w Choście.

Panetta, ciągle jeszcze wyczerpany po całonocnym locie, nagle się ożywił i zasypał pytaniami szefa wydziału antyterrorystycznego. Co wiemy? Jak go znaleźliśmy? Jaką ma pan pewność?

Odpowiedź z Langley: Jeszcze niewystarczającą.

W samochodzie przemyśliwał możliwe implikacje. Szejk Said al-Masri - jeśli to on - byłby jedną z najważniejszych figur terrorystycznych kiedykolwiek namierzonych przez CIA. W tym momencie był najbardziej prominentnym przywódcą Al-Kaidy po Bin Ladenie i az-Zawahirim. Z praktycznego punktu widzenia miał większe wpływy od nich.

Kiedy wielki czarny samochód wjeżdżał powoli na Arlingtoński Cmentarz Narodowy, samoloty roboty CIA czekały przyczajone nad domem w pobliżu Miranszahu. Cóż za zdumiewające zakończenie prawdziwie okropnego rozdziału w historii Agencji, pomyślał Panetta.

Tylko czy to na pewno jest al-Masri?

Panetta zatelefonował do Białego Domu, aby przekazać najnowsze wiadomości Rahmowi Emanuelowi, szefowi kancelarii prezydenta.

„Misja jeszcze nie dostała zielonego światła” - powiedział.

Śledztwo zaczęło się, zanim jeszcze w Choście opadł pył. Jak mogło do tego dojść? Oficerowie w Choście, którzy przeżyli, przekazali znane fakty w ciągu kilku godzin od eksplozji, a zespół Sił Specjalnych w bazie opracował własny, osobny raport podsumowujący to, co było widoczne na pierwszy rzut oka. Podwójny agent CIA - w istocie potrójny - zdołał dostać się do bezpiecznej bazy Agencji z przymocowaną do ciała niesłychanie potężną bombą. Udało mu się podejść na odległość kilkunastu metrów do grupy szesnaściorga pracowników wywiadu, po czym wysadzić się w powietrze. Błyskawiczna interwencja doświadczonych lekarzy oraz chirurgów wojskowych uratowała kilka istnień, ale zginęło dziesięć osób, w tym zamachowiec i afgański kierowca wyszkolony przez CIA.

Rozpracowywanie trudnych pytań miało potrwać znacznie dłużej. Wyżsi rangą podwładni Panetty koncentrowali się na kluczowych decyzjach i zaczęli cofać się do początku - z Chostu przez Kabul po Amman i - jak było do przewidzenia - Langley. Panetta podzielił się tym, co wiedział, z doradcami z Białego Domu, między innymi z szefem kancelarii Białego Domu Rahmem Emanuelem i z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Jamesem L. Jonesem. Razem ze Steve'em Kappesem zdawali relacje na odbywanych za zamkniętymi drzwiami posiedzeniach komisji senackich i Izby Reprezentantów. Ustawodawcy byli przychylni, ale też zaniepokojeni tym, co omal nie wydarzyło się na niebie nad Detroit w Boże Narodzenie. Postanowiono nie wszczynać formalnego śledztwa Kongresu w sprawie tych wydarzeń.

Panetta, z błogosławieństwem Białego Domu, zdecydował się wszcząć dwa własne dochodzenia. Jedno miał prowadzić specjalnie powołany zespół wytrawnych oficerów CIA z doświadczeniem w pracy antyterrorystycznej i kontrwywiadowczej. Drugie, niezależne śledztwo powierzono dwóm długoletnim waszyngtońskim specom[123] znanym i szanowanym w środowisku oficerów wywiadu - byłemu ambasadorowi przy ONZ Thomasowi Pickeringowi i Charlesowi E. Allenowi, który pełnił niegdyś szereg kierowniczych stanowisk w CIA, między innymi jako szef wywiadu Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego za czasów drugiej kadencji Georgea W. Busha. Obydwa zespoły przeanalizują tysiące tajnych depesz, notatek służbowych oraz emaili i przeprowadzą rozmowy z oficerami CIA, którzy przeżyli zamach, a także z ich współpracownikami i przełożonymi od Chostu przez Kabul, Islabamad i Amman aż po Langley.

Minął prawie rok, zanim oba zespoły ukończyły swoje raporty. W międzyczasie dziesiątki byłych pracowników wywiadu i ekspertów w dziedzinie terroryzmu oferowało swoje opinie w oparciu o skąpe dostępne

źródła. W artykułach prasowych, wstępniakach i na blogach komentatorzy skupiali się na dwóch domniemanych błędnych posunięciach, które miały przyczynić się do katastrofy w Choście, a jednocześnie odsłaniały głębsze wady głównej agencji wywiadowczej kraju. Kilku emerytowanych członków kierownictwa CIA wskazywało jako winną szefową bazy w Choście Jennifer Matthews i szerzej - szefostwo Agencji w Langley, które zatwierdziło jej awans na frontowe stanowisko mimo braku doświadczenia w strefie działań wojennych. Inni obserwatorzy dowodzili, że fatalne błędy w ocenie sytuacji w Choście wynikały z rosnącej awersji Agencji do podejmowania ryzyka. Nawet w Iraku czy w Afganistanie - zauważali ci krytycy - wielu oficerów CIA mieszkało w bezpiecznych kompleksach, gdzie nigdy nikomu nie działa się krzywda, zaś brudną robotę odnajdywania i eliminacji zagrożeń terrorystycznych pozostawiali zdobyczom techniki albo zagranicznym sojusznikom. Gdzieś po drodze kompletnie zapomniano o podstawowych zasadach sztuki szpiegowskiej, między innymi o uświęconych tradycją procedurach oceny oraz prowadzenia informatorów i podwójnych agentów.

Krytyka ta dotykała rzeczywistych problemów w CIA, ale nie dawała wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, co zaszwankowało w Choście na kilka godzin przed sylwestrem.

Analiza wydarzeń w bazie Chost przeprowadzona przez Agencję potwierdziła liczne błędy. Wniosek był taki, że Jennifer Matthews i jej zespół - przy wsparciu wyższych urzędników w Choście i w Langley - nie dopełnili standardowych procedur bezpieczeństwa przy spotkaniu z Al-Balawim, prawdopodobnie na skutek zbyt gorliwego dążenia do pozyskania współpracy informatora. Śledczy wywnioskowali, że ostrzeżenia, które mogły uświadomić CIA podstęp Al-Balawiego, nie zostały przekazane dalej częściowo dlatego, że nie do końca im ufano. Nie podzielono się

krytycznymi uwagami z decydentami, gdyż wyrażano je w prywatnych emailach oraz w wiadomościach tekstowych, które nie należały do agencyjnych zasobów wiedzy na temat Humama Al-Balawiego. Jednocześnie rozbudzono nadzieje na spotkaniach na wysokim szczeblu w Waszyngtonie, zanim poznano kluczowe fakty.

W rezultacie zarówno Matthews, jak i kierownictwo w Langley uwierzyli, że Al-Balawi jest zaufanym jordańskim agentem - ustalili śledczy - a zastrzeżenia podnoszone przez tych, którzy znali go najlepiej - Alego bin Zeida i Darrena LaBonte - bladły wobec „twardych dowodów", które oficerowie mogli zobaczyć na własne oczy: słów i obrazów emailowanych przez Al-Balawiego z obozu Al-Kaidy.

„Wszystko, co zobaczyli i przeczytali, a dodatkowo presja dotarcia do najwyższego przywództwa Al-Kaidy, doprowadziły do sytuacji, w której główną troską było zdrowie i bezpieczeństwo człowieka gotowego zostać zamachowcem samobójcą" - podsumował ambasador Thomas Pickering, współprowadzący niezależne dochodzenie[124].

Śledczy Agencji zarekomendowali znaczące reformy, z których kilka zostało szybko wprowadzonych w życie przez Panettę i jego zespół. Agencja podniosła standardy szkolenia i doświadczenia dla szefów misji zagranicznych, mimo że śledztwo wykazało, iż brak doświadczenia nie był rozstrzygającym czynnikiem w Choście. Funkcjonariusze CIA zaostrzyli też procedury bezpieczeństwa dla swoich zagranicznych baz i założyli system „czerwonych zespołów", które sondują zabezpieczenia Agencji tak, jak robiłby to wróg, jak również kontroli wewnętrznych w celu ochrony przed podwójnymi agentami i szpiegami.

Śledczy ustalili, że winnym tragedii w bazie Chost nie była jedna konkretna osoba ani błąd, jednak tak samo jak przed atakami z 11 września

kierownictwo na każdym szczeblu nie zauważyło znaków ostrzegawczych i problemów, które z perspektywy czasu wydawały się absolutnie oczywiste.

Po 11 września dwupartyjna komisja próbowała w jednym raporcie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tyle departamentów rządu nie zdołało udaremnić terrorystycznego planu zamienienia komercyjnych odrzutowców w pociski skierowane na Pentagon i World Trade Center. Komisja 9/11 zidentyfikowała dziesiątki taktycznych błędów CIA, FBI i innych, ale stwierdziła, że większym uchybieniem była niezdolność obu tych agencji do wyobrażenia sobie niewyobrażalnego.

„Najważniejszym błędem był brak wyobraźni” - uznał panel w raporcie z 2004 roku[125].

Atak samobójczy w bazie Chost, wprawdzie nieporównywalny pod względem skali, miał tę samą przynajmniej jedną głęboką przyczynę. Przed 30 grudnia 2009 roku nikomu w CIA nie przeszło przez myśl, że informator mógłby zaaranżować spotkanie ze swoimi zwierzchnikami po to, żeby móc zabić ich i przy okazji siebie. Na przestrzeni sześćdziesięciu dwóch lat istnienia CIA rzesze podwójnych agentów, informatorów i szpiegów kłamały, defraudowały, zdradzały, kradły pieniądze albo zwiewały z miasta. Nikt nie wysadził się w powietrze.

Al-Balawi za sprawą sfabrykowanych przez siebie dowodów wszedł na ścieżkę, która musiała doprowadzić do konfrontacji. Większa przezorność mogła ograniczyć liczbę ofiar, ale nawet najuważniejszy i najbardziej przewidujący obserwator nie mógł zahamować dwóch wyjątkowych sił, które zderzyły się w Choście w gasnącym świetle dnia 30 grudnia 2009 roku.

Jedna z nich to umysł Humama Al-Balawiego, człowieka, który płynął z wiatrem i przemykał między potężnymi falami, niepewny celu swojej podróży i nigdy do końca taki, jakim się wydawał.

Druga to zapał znużonych wojną szpiegów, którzy ujrzeli miraż i rozpaczliwie chcieli, żeby był prawdą.

Marmurowe kamienie nagrobne w Arlington leżały pod grubą warstwą śniegu, kiedy Leon Panetta przyjechał tam w styczniu, aby przewodniczyć pochówkom Jennifer Matthews i Darrena LaBonte. Teraz cmentarz płonął kolorami - karmazynem tulipanów, różem kwiatów derenia, szmaragdową zielenią młodej trawy, skąpanymi w lśniącym blasku słońca. Ponad trzysta osób, w tym spora delegacja przyjaciół Elizabeth Hanson z CIA, przeszło cicho między rzędami nagrobków, żeby stanąć z jej rodzicami i bratem u jej grobu. Dwóch z nich szło o kulach z powodu ran nóg odniesionych w zamachu w Choście.

Tłum zgromadził się pod ogromnym dębem ocieniającym miejsce, gdzie w mahoniowej skrzynce z pieczęcią CIA miały spocząć prochy Elizabeth. Kompania honorowa złożyła amerykańską flagę, którą wręczono matce zmarłej. „Strzegła flagi, a teraz flaga będzie strzec jej na wieki” - powiedział kapelan.

W czasie mów pogrzebowych szef sztabu Panetty Jeremy Bash stał na tyłach tłumu, zerkając na swój wyciszony telefon komórkowy. Oczekiwanie prawie się skończyło. Przyszedł czas podjąć decyzję, trudniejszą niż większość innych.

W pobliżu pakistańskiego miasta Miranszah dwa drony Agencji od kilku godzin monitorowały budynek z cegły mułowej, wypatrując jakichkolwiek oznak ruchu. Wewnątrz miał znajdować się szejk Said al-Masri, ale w istocie Agencja nie była tego do końca pewna. Kilka tygodni wcześniej targeterzy CIA byli tużtuż, ale szejk zdążył się wymknąć, zanim predatory dotarły na miejsce. Tym razem cynk zaprowadził Agencję do skupiska budynków kilka kilometrów na północny zachód od Miranszahu. Znajdowały się pod obserwacją od kilku dni, w czasie których oficerowie

wydziału antyterrorystycznego ustalili, gdzie dokładnie przebywa al-Masri i kto jeszcze z nim się tam znajduje.

CIA wiedziała, że w kompleksie są osoby cywilne, ponieważ widziano wchodzące co najmniej dwie kobiety i kilkoro dzieci. Ryzyko tym razem było poważne, ale potencjalna nagroda olbrzymia: trzeci pod względem ważności dowódca Al-Kaidy, i to akurat w taki dzień.

O ile rzeczywiście był to on.

Nabożeństwo zakończyło się bez dalszych wieści z Pakistanu. Panetta złożył rodzinie Hanson kondolencje i czarny samochód dyrektora CIA wyjechał z cmentarza i skierował się na północ, dalej od Waszyngtonu, w kierunku Baltimore. Panetta był umówiony w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - elektronicznych rządowych służbach podsłuchowych - lecz polowanie na al-Masriego nie dało mu o sobie zapomnieć.

Ledwie zdążył dotrzeć do siedziby Agencji, kiedy wezwano go do telefonu. Szef wydziału antyterrorystycznego CIA przekazał mu za pośrednictwem bezpiecznych łączy najświeższe wiadomości, nie wszystkie dobre.

„Chyba mamy tego gościa, ale mogą być ofiary cywilne” - mówił do Panetty, mając na myśli kobiety i dzieci, które jak sądzono, przebywały w budynku obserwowanym przez drony.

Panetcie zamarło serce. W tej sprawie nic nie przychodziło łatwo. Zadzwonił jeszcze raz do biura Emanuela. W Białym Domu też panowała nerwówka.

„To twoja decyzja” - usłyszał.

Dyrektor CIA siedział przez chwilę w milczeniu, odtwarzając ponownie w głowie wydarzenia tego dnia. Jeszcze raz wziął telefon i zadzwonił do dyrektora wydziału antyterrorystycznego.

„Słuchaj, muszę wiedzieć, jaką masz pewność co do celu - zaczął. - To naprawdę ważne”.

„Osiemdziesiąt procent - oszacował szef antyterrorystów. - Może dziewięćdziesiąt, znaczy, że mamy właściwy cel”.

Nie taką liczbę miał nadzieję usłyszeć Panetta. Ale też Agencja mogła nigdy więcej nie trafić na taką szansę.

„Nie wiem, czemu miałbym tego nie zrobić - powiedział w końcu. - Zaczynajcie”.

Rozłączył się i spróbował skoncentrować się na zebraniu. Pod wieczór odebrał raporty o śmiertelnym locie pocisków i całkowitym zniszczeniu wyznaczonego budynku. Dowiedział się o odnalezieniu ciał i usłyszał - z wielkim bólem - że wśród zabitych były dwie kobiety i dziecko. Jeśli chodzi o los samego al-Masriego, poza Pakistanem było na ten temat cicho. Do końca dnia nie wyjaśniło się nic więcej, nazajutrz rano i jeszcze następnego dnia też nie.

Dopiero w Dzień Pamięci sieć monitorująca Agencji wychwyciła pierwszy strzęp rozmowy sugerujący doniosłą zmianę w najwyższych szeregach Al-Kaidy. Organizacja straciła jednego z przywódców. Wkrótce zamieszczono oficjalny komunikat na jednej ze stron internetowych bojowników dżihadu. Al-Masri, dowódca operacyjny, 21 maja stał się celem pocisku CIA w swojej kryjówce koło Miranszahu i nie przeżył.

Panetta natychmiast chwycił telefon i zadzwonił do swojego przyjaciela Emanuela w Białym Domu.

„Rahm - powiedział - właśnie załatwiliśmy numer trzy”. Miejsca pobytu numeru jeden - Bin Ladena, i numeru dwa - az-Zawahiriego, pozostawały nieznane.

EPILOG 1 maja 2011 roku to samo gorące pragnienie pomszczenia 11 września, które doprowadziło do strasznego błędu w ocenie w Choście,

przyniosło długo oczekiwane zwycięstwo. Niespełna rok po potwierdzeniu śmierci al-Masriego zakończyło się też polowanie na Bin Ladena.

Bin Laden, jak przekonała się CIA, ukrywał się wcale nie w pylistych rejonach granicznych między Afganistanem a Pakistanem, tylko w położonym w zielonej dolinie pakistańskim miasteczku o nazwie Abbottabad, znanym z przyjemnej pogody, centrów handlowych i pierwszorzędnego poła golfowego. Tam, pół dnia drogi od granicy afgańskiej, jego stronnicy zbudowali dla szefa Al-Kaidy pałacowy kompleks, z dala od brzęczących dronów CIA, odgrodzony od sąsiadów ponad trzy i pół metrowymi murami zwieńczonymi drutem kolczastym.

Bin Laden wprowadził się tam w 2005 roku z trzema ze swoich pięciu żon i z co najmniej dwojgiem ze swoich osiemnaściorga dzieci[126]. W domu nie było telefonu ani internetu, był za to cienistyogród doskonały na poranne spacery oraz balkon z własną ponad dwumetrową ścianą zapewniającą prywatność, by mózg operacji terrorystycznych mógł wygrzewać się na słońcu w zaciszu własnego domu. Okno jego sypialni na drugim piętrze miało widok na zagony kapusty, pasące się bydło i skaliste wzgórza, a telewizja satelitarna serwowała mu codzienną papkę w postaci arabskich telenowel i wiadomości. W marcu 2011 roku, już szósty rok w ukryciu, Bin Laden dyskretnie obchodził swoje pięćdziesiąte czwarte urodziny - coraz grubszy w pasie i z siwiejącymi kędziorami. Jego niegdyś nieposkromione ambicje były teraz ograniczone do przestrzeni mniejszej niż boisko piłkarskie.

Nie wiedział o tym, że nawet ten mały azyl miał wkrótce zniknąć. Tysiące kilometrów dalej, na innych zielonych przedmieściach, skrawki informacji, zebrane i przestudiowane przez dziesiątki różnych osób na przestrzeni prawie dekady, a następnie ułożone niczym gigantyczne puzzle, odsłoniły możliwą odpowiedź na jedną z najbardziej dokuczliwych zagadek

stulecia. Pierwszy raz od ataków z 11 września 2001 CIA była przekonana, że wie, gdzie znaleźć Bin Ladena.

Trop ciągnął się przez trzy kontynenty. Zaczął się w Pakistanie, gdzie siły bezpieczeństwa ujęły parę agentów Al-Kaidy średniego szczebla, znających wewnętrzne mechanizmy działania organizacji. Zaczepił o tajne więzienie CIA w Europie Wschodniej, gdzie przesłuchanie jednego z tych mężczyzn przyniosło rezultat w postaci niepełnej nazwy. Zagęścił się w Langley w Wirginii, gdzie Jennifer Matthews i jej koledzy ze specjalnej jednostki CIA studiowali nowe dane w poszukiwaniu schematów i powiązań. W 2007 roku trafił do biura ówczesnego dyrektora CIA Michaela V. Haydena, który pewnego ranka został poinformowany przez swoich wyższych doradców antyterrorystycznych o potencjalnie doniosłym odkryciu: poznali nazwisko zaufanego kuriera Al-Kaidy, który służył Bin Ladenowi jako jego osobisty łącznik ze światem. Pozostawało tylko znaleźć mężczyznę, który zaprowadzi ich pod drzwi terrorysty.

„Sądzimy, że znaleźliśmy drogę” - powiedział jeden z nich do Haydena[127].

Hayden wiedział, że znalezienie kuriera Bin Ladena może potrwać kilka miesięcy, nawet lat, ale uznał to odkrycie za wystarczająco ważne, aby zaprezentować je podczas jednego z jego regularnych spotkań z prezydentem Georgeem W. Bushem i jego doradcami do spraw bezpieczeństwa narodowego. Owszem, były inne obiecujące tropy - niektóre w pojęciu Haydena bardziej przypominające doniesienia o pojawieniu się Elvisa Presleya niż wskazówki wywiadowcze. Ten wydawał się bardziej przekonujący niż większość innych, ale Hayden ostrzegał, że to jeszcze nie przełom.

„Rzadko następuje nagłe olśnienie - wspominał Hayden. - Raczej zbieramy ziarnko do ziarnka”.

Poszukiwanie kuriera rzeczywiście postępowało nieznośnie wolno. Człowiek ten po raz pierwszy zwrócił uwagę CIA niedługo po atakach 11 września, kiedy wywiad dowiedział się, że Bin Laden woli wykorzystywać do przesyłania wiadomości osobistych kurierów zamiast polegać na emailach czy telefonach, które można wyśledzić elektronicznie. Ujęci afgańscy bojownicy mówili o kurierze, którego Bin Laden darzył szczególną sympatią - młodym pasztuńskim biznesmenie znanym w kręgach Al-Kaidy pod dżihadystowskim pseudonimem „Abu Ahmed alKuwajti". CIA potrzebowała jednak kilku lat i serii szczęśliwych zbiegów okoliczności - między innymi aresztowań dwóch agentów Al-Kaidy w Pakistanie w latach 2004 i 2005 - żeby poznać jego prawdziwe nazwisko: szejk Abu Ahmed. Amerykański wywiad wciąż jednak nie wiedział, gdzie go szukać.

W 2007 roku, z Haydenem u steru, CIA wyruszyła na szeroko zakrojone poszukiwania tajemniczego kuriera. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, ze swoimi sieciami komputerowymi i globalnymi możliwościami podsłuchowymi, przeczesywała linie telefoniczne i łącza internetowe w poszukiwaniu nazwiska. W Centrum Antyterrorystycznym CIA zespół targeterów kierowany przez Elizabeth Hanson skompilował profil tego człowieka i wyszukiwał w protokołach z przesłuchań wskazówki, które mogły doprowadzić do członka rodziny, nazwy firmy bądź miasta rodzinnego. Poszukiwania wciąż trwały w ostatnich tygodniach 2009 roku, kiedy Matthews i Hanson, wtedy już w Choście, koncentrowały uwagę na innym możliwym sposobie dotarcia do grona najbliższych współpracowników Bin Ladena, jordańskim agencie Humamie Al-Balawim.

Kilka tygodni po pogrzebie Elizabeth Hanson CIA w końcu trafiła w dziesiątkę. Na początku lata 2010 roku, kiedy Agencja Bezpieczeństwa

Narodowego prowadziła rutynową inwigilację telefoniczną domniemanego pakistańskiego terrorysty, zadzwonił do niego człowiek nazwiskiem szejk Abu Ahmed. W kilka dni CIA wytropiła Abu Ahmeda w pakistańskim Peszawarze i zidentyfikowała jego samochód oraz tablice rejestracyjne. W sierpniu zaś agenci CIA, śledząc go, dotarli do jego głównego miejsca pobytu, podejrzanie dużego i dobrze zabezpieczonego kompleksu w Abbottabadzie, z wysokimi murami zakończonymi drutem kolczastym. Wiele cech tego miejsca wydawało się dziwnych, między innymi brak połączenia telefonicznego czy internetowego oraz to, że właściciel miał zwyczaj palić swoje śmieci, zamiast wynosić je na ulicę. W trzykondygnacyjnym budynku głównym mieszkały, jak się zdawało, co najmniej trzy rodziny, wśród nich wysoki brodacz, który - co ciekawe - nigdy nie był widywany poza jego murami.

Od tego miesiąca CIA skupiła całą swoją uwagę na ustalaniu tożsamości brodacza.

Jesienią i zimą, w toku akcji śledzonej pilnie przez dyrektora Leona Panettę i jego najwyższych doradców, Agencja studiowała to miejsce, wykorzystując satelity, zaawansowany sprzęt podsłuchowy oraz szpiegów w terenie. Niejeden raz kamery CIA uchwyciły obraz tajemniczego mężczyzny przechadzającego się w obrębie murów kompleksu. Wydawał się pasować do opisu Bin Ladena, ale nie było widać wyraźnie jego twarzy.

W okolicach urodzin Bin Ladena, w marcu 2011 roku, Panetta przedstawił zespołowi do spraw bezpieczeństwa narodowego Białego Domu pierwszy z kilku referatów. Przyznał, że nie ma twardych dowodów, iż mieszkaniec rezydencji w Abbottabadzie to przywódca terrorystów. Sam oceniał takie prawdopodobieństwo na nie więcej niż 60 do 80 procent.

To jednak, argumentował, wystarczająco dużo.

„Jeśli to wszystko razem poskładać - wspominał później swoje słowa skierowane do urzędników Białego Domu - to mamy najlepsze dowody od czasu Tora Bora. Z tego wynika jasno, że mamy obowiązek działać“[128].

„Przypuszczalnie nigdy - kontynuował - nie uzyskamy lepszych danych wywiadowczych”.

2 maja tuż po północy czasu miejscowego, w ciepłą, wilgotną noc z ledwie widocznym sierpem księżyca dwa specjalnie zmodyfikowane amerykańskie śmigłowce MH-60 prześlizgnęły się przez granicę w drodze do Abbottabadu. W mgnieniu oka pokonały sto dziewięćdziesiąt kilometrów Pakistanu, muskając wierzchołki drzew i przelatując jak najniżej nad grzbietami górskimi, by nie wykryły ich pakistańskie radary. O locie wiedziało tylko kilkudziesięciu Amerykanów i wielu z nich siedziało o tej porze wokół stołu konferencyjnego w pokoju dowodzenia Białego Domu, obserwując z niepokojem przebieg misji na dużych ekranach telewizyjnych. Na osobnym ekranie widoczny był Panetta, który komentował wydarzenia na bieżąco z centrum dowodzenia po drugiej stronie rzeki Potomak, w Langley.

Prezydent Obama, w rozpiętej pod szyją koszuli frakowej i luźnej marynarce, pochylił się do przodu na krześle z łokciami opartymi na kolanach. Krzywił się, patrząc na ekran, i prawie nic nie mówił, kiedy Panetta kolejny raz analizował możliwy przebieg misji, a także związane z nią ogromne ryzyko. Obama rozumiał je dobrze - trzy dni wcześniej w tym samym pokoju prezydencki zespół doradców do spraw bezpieczeństwa narodowego przedstawił mu długą listę możliwych skutków. Wiele z nich napawało przerażeniem. Obama usłyszał, że jeśli ma dojść do ataku na kompleks, bezpieczniej dla Amerykanów będzie zrzucić pocisk z predatora albo z bombowca niewidocznego dla radarów. Prawie na pewno zabije on kobiety i dzieci, rozwścieczy Pakistańczyków i wcale nie da Amerykanom

pewności, że trafili w zamierzony cel. Z drugiej strony - jeśli wyślą tam amerykańskich żołnierzy, może to okazać się jeszcze niebezpieczniejsze. Amerykańscy żołnierze mogliby zostać wzięci do niewoli albo zabici przez Al-Kaidę, wciągnięci w strzelaniny z udziałem miejscowych cywilów albo zestrzeleni przez pakistańskie odrzutowce wojskowe, których piloci nie mieli pojęcia o tajnej amerykańskiej misji. Mogło się też zdarzyć, że po dotarciu do rezydencji w Abbottabadzie Amerykanie przekonają się, iż pochwycili innego wysokiego mężczyznę w średnim wieku, tylko trochę podobnego do Bin Ladena.

Obama rozważył za i przeciw przez noc w prywatnych apartamentach Białego Domu, zanim zdecydował się rzucić kostkę. Wyśle Navy SEAL, świetnie przeszkolonych komandosów pochodzących z bazy w Virginia Beach, tej samej, w której stacjonował kiedyś ochroniarz Blackwater Jeremy Wise.

W pokoju dowodzenia zapadła nerwowa cisza, a prezydent i jego doradcy śledzili ruch dwóch helikopterów Black Hawk na ekranach telewizyjnych. Śmigłowce, z około dwoma tuzinami komandosów oraz członków załogi na pokładzie, nadleciały z hukiem nad Abbottabad zgodnie z planem tuż po pierwszej w nocy, ale od razu wpadły w tarapaty. Jeden z helikopterów miał unosić się nad głównym domem, a komandosi mieli schodzić po linach na dach. Helikopter uległ jednak awarii i wylądował twardo na zewnętrznym dziedzińcu, ze śmigłem ogona kompletnie zniszczonym po uderzeniu w ścianę podczas schodzenia do lądowania.

Komandosi z obu maszyn wspięli się następnie po ścianach na główny dziedziniec i natychmiast znaleźli się w ogniu z automatu. Jeden ze strażników Bin Ladena, który mieszkał na terenie jego rezydencji, słysząc zgiełk, zerwał się z łóżka i zaczął strzelać w kierunku odzianych w czerń postaci spełzających ze ścian w ciemnościach.

Amerykanie, wyposażeni w sprzęt noktowizyjny, szybko zyskali przewagę, zabijając strzelca oraz kobietę, która dostała się w krzyżowy ogień. Dwaj inni mężczyźni zginęli, kiedy komandosi przypuścili szturm na budynek główny - jednego z nich amerykańscy urzędnicy opisali później jako dorosłego syna Bin Ladena.

Mijały minuty, a komandosi wciąż nie widzieli śladu człowieka, którego szukali. Przeczesywali teren kompleksu w dwóch zespołach, z których jeden zaczął metodycznie sprawdzać pokoje na każdej kondygnacji głównego domu. Od tego momentu przez długie godziny, jak się wydawało, na monitorach telewizyjnych w pokoju dowodzenia widać było w zasadzie tylko ciemność.

„Kiedy te zespoły znalazły się w kompleksie, przyznam, że był taki przedział czasowy, około dwudziestu, dwudziestu pięciu minut, gdy naprawdę nie wiedzieliśmy, co się dokładnie dzieje - wspominał później Panetta. - Było parę bardzo nerwowych momentów”[129].

Minęło kilka dni, zanim poznano szczegóły krwawej walki, jaka się wywiązała na drugim piętrze rezydencji. Bardzo powoli, by uniknąć bomb pułapek, jeden z zespołów SEAL pokonał istny labirynt barier na klatce schodowej i znalazł się przed wejściem do ostatniego z trzech mieszkań. Po wyważeniu drzwi dwaj pierwsi komandosi wpadli do pokoju i zobaczyli zbliżającą się postać w ciemnychszatach. Jeden wystrzelił serię, a postać - kobieta - padła na podłogę, ranna w nogę. Za nią w mętnym świetle Amerykanie dostrzegli wysokiego mężczyznę o długiej brodzie przetykanej siwizną, w luźnych spodniach od piżamy w pakistańskim stylu i tunice kamiz. Mężczyzna nie kulił się ze strachu, ani też nie był uzbrojony, za to stał i patrzył na nich buńczucznie. Zasady szkolenia SEAL nakazywały decydować w ułamku sekundy. Mężczyzna nie zdradzał oznak tego, że chce się poddać. Czyżby miał na sobie bombę?

Pierwszy strzał dosięgł klatki piersiowej brodacza. Następny trafił go w skroń w pobliżu brwi, rozrywając przód czaszki.

Słuchacze w Białym Domu i w Langley nie byli w stanie zinterpretować stłumionych odgłosów walki. Minęły kolejne minuty bez żadnego sygnału, aż wreszcie z głośnika dobiegł męski głos.

Visual on Geronimo - powiedział, używając wcześniej ustalonego szyfru. Tożsamość Bin Ladena została potwierdzona.

W parę minut komandosi SEAL bezpiecznie znaleźli się w śmigłowcach - przysłano trzeci, by zastąpić nim ten zepsuty - z dużym składem sprzętu komputerowego zabranego z kompleksu oraz z zakrwawionymi zwłokami Bin Ladena.

Operacja trwała w sumie czterdzieści minut. Kilka chwil później, kiedy śmigłowce wleciały w afgańską przestrzeń powietrzną i znalazły się poza zasięgiem pakistańskich myśliwców przechwytujących, w pokoju dowodzenia zerwał się huragan spontanicznych braw.

„Mamy go” - powiedział w końcu Obama.

Nazajutrz rano, kiedy miliony Amerykanów po obudzeniu dowiedziały się o śmierci Bin Ladena, Panetta zrobił sobie przerwę w biurze w Langley, żeby ułożyć krótką wiadomość, która miała zostać przekazana tego dnia pracownikom CIA na całym świecie. Była to w dużej części notka gratulacyjna, pochwała za osiągnięcie celu, który wymykał się od prawie dekady.

„Dzisiaj uwolniliśmy świat od najbardziej osławionego terrorysty naszych czasów” - zaczął Panetta[130].

Następnie, zmieniając ton na bardziej uroczysty, oddał specjalny hołd oficerom CIA, którzy nie dożyli chwili, kiedy ich praca przyniosła owoce. „Nasi bohaterowie w Choście - napisał - są z nami, duchem i w naszej pamięci, w tym radosnym momencie”.

Panetta wiedział, że walka jeszcze się nie skończyła. Al-Kaida będzie miała nowy numer jeden. Było przesądzone, że dojdzie do ataków odwetowych, może nawet większych. Ale nie tego dnia.

Był łagodny majowy poranek z lśniącymi smugami słońca, taki jak ten rok wcześniej w Arlington, a Panetta pozwolił sobie przez chwilę rozkoszować się tym sukcesem. Świat mógł czuć się odrobinę bezpieczniej, przynajmniej przez jakiś czas, a ciche przyrzeczenia złożone nad ośmioma grobami, amerykańskimi i jordańskim, zostały spełnione.

„Obietnica - napisał Panetta - została dotrzymana”.

PODZIĘKOWANIA

Tego rodzaju przedsięwzięcie jest zawsze owocem współpracy, ale w tym wypadku wiele jest konkretnych osób, bez których ta książka - w całkiem dosłownym sensie - nie mogłaby powstać. Należą do nich szczodrzy koledzy, którzy pomagali mi w Afganistanie, Pakistanie i na Bliskim Wschodzie, niekiedy z narażeniem życia, a także obecni i byli wysocy urzędnicy państwowi, którzy wierzyli w wagę tej historii tak samo jak ja. Również krewni i małżonkowie poległych oficerów, którzy obdarzyli mnie zaufaniem i podzielili się ze mną cennymi, często bolesnymi wspomnieniami. Kilka osób z dwóch ostatnich grup hojnie darowało mi swój czas i spostrzeżenia, spotykając się ze mną po kilkanaście razy. Niektórych nigdy nie będę mógł wymienić z nazwiska, ponieważ zasady zachowania tajemnicy bądź klauzule poufności zabraniają im wypowiadania się publicznie. Każdej z tych osób winien jestem ogromną wdzięczność.

W ostatnich czternastu latach miałem zaszczyt pracować dla światowej klasy organizacji informacyjnej, która czuwa nad dziennikarzami i wspiera ich rozwój zawodowy. Jestem wdzięczny „The Washington Post” i jego wydawcom za udzielenie mi urlopu na czas pracy nad książką oraz za otuchę i wsparcie, jakie oferowali mi na niezliczone inne sposoby. Specjalne podziękowania należą się prezesowi zarządu The Washington Post Company Donaldowi E. Grahamowi oraz wydawczyni Katharine Weymouth, która osobiście dodawała mi otuchy po drodze, jak również

redaktorowi naczelnemu Marcusowi Brauchliemu, redaktor prowadzącej Liz Spayd oraz redaktorowi ogólnokrajowemu Kevinowi Meridzie. Jestem szczególnie wdzięczny mojemu bezpośredniemu przełożonemu Cameronowi Barrowi oraz redaktorowi Jasonowi Ukmanowi za życzliwość, cierpliwość i rady. Wspomagało mnie w tej podróży bardzo wielu obecnych i byłych kolegów z „The Washington Post", ale szczególne wyrazy wdzięczności niech przyjmą: David Hoffman, Peter Finn, R. Jeffrey Smith, Ellen Nakashima, David Ignatius, Greg Miller, Karen DeYoung, Steve Coll, Bob Woodward, Jeff Stein, Walter Pincus, Robert Miller, Michel du Cille, Rajiv Chandrasekaran, Karin Brulliard, Josh Partlow, Dana Priest, Glenn Kessler, Mary Beth Sheridan, John Pomfret oraz David Finkel. Kilkoro kolegów po fachu oraz przyjaciół przeczytało część lub całość maszynopisu i zaoferowało pomocne sugestie oraz opinie, między innymi Cameron Barr, David Rowell, Jeff Leen oraz przyjaciel z tajnego świata, którego fachowe rady, niesłabnący entuzjazm i nadzwyczajna życzliwość podtrzymywały mnie na niejednej trudnej drodze. Wiele innych osób dostarczyło mi niezbędnej pomocy i wiedzy technicznej, między innymi Rita Katz z SITE Intelligence Group, Ben Venzke z IntelCenter, Jarret Brachman oraz wielu obecnych i byłych członków agencji wywiadowczych i obronnych ze Stanów Zjednoczonych, Jordanii i Pakistanu. Suzanne Kelly, utalentowana autorka i producentka CNN, która fascynowała się tą historią tak samo jak ja, niech przyjmie podziękowania za pomysły, inspirację i bezinteresowną hojność.

Miałem szczęście korzystać z pomocy kilku wybitnie utalentowanych, pracowitych asystentów i współpracowników zarówno w Waszyngtonie, jak i za granicą. W Jordanii pomagał mi - kompetentnie jak zawsze - pomysłowy dziennikarz, tłumacz, „złota rączka" i okazjonalny hotelarz Ranya Kadri, w Turcji Mahmut Kaya, w Afganistanie Hazrat Bahar, a w

Pakistanie niezmordowany Hak Nawaz Chan i inny pakistański dziennikarz, którego nazwiska nie mogę ujawnić ze względów bezpieczeństwa. Skorzystałem niezmiernie na przyjaźni i pomocy jednej ze wspaniałych specjalistek od wiadomości prasowych, niezrównanej dziennikarki Julie Tate. Moja cudowna agentka Gail Rose, wraz ze swoim partnerem Howardem Yoonem, dostrzegła potencjał w mojej kiepsko napisanej propozycji wydawniczej i z wdziękiem i humorem przeprowadziła mnie przez pierwszą, niespokojną podróż do świata wydawniczego.

Wydawnictwo Doubleday i jego pracownicy przyjęli mój projekt z energią i entuzjazmem i pracowali niestrudzenie wiele miesięcy, by wydał owoce. Jestem ogromnie wdzięczny redaktorowi naczelnemu Williamowi J. Thomasowi, młodszej redaktorce Stephanie Bowen oraz wielu innym osobom, które służyły mi niezbędną pomocą przy redagowaniu tekstu i marketingu, a także udzielały porad prawnych. Na czas tej podróży dostałem jeden z najwspanialszych darów, o jakich może marzyć pisarz: naprawdę wspaniałego redaktora. Kris Puopolo wniosła w to przedsięwzięcie swój niezwykły talent i była dla mnie prawdziwym partnerem i współpracownikiem na każdym jego etapie. Jej wizja i pasja niezmiernie ulepszyły tę książkę, a jej cierpliwość i poczucie humoru pomogły mi nie zwariować w długich tygodniach pisania.

Jestem dozgonnie wdzięczny mojej rodzinie i przyjaciołom, których wiara i wsparcie dodawały mi sił. Spośród przyjaciół winien jestem specjalne podziękowanie Paulowi Scicchitanowi za słowa otuchy i znajomość świata wydawniczego. Moi rodzice, Eugene i Barbara Warrick, siostra Gena Fisher oraz teściowa Theresa Jordan z niezmordowanym entuzjazmem pomagały mojej rodzinie podczas moich wyjazdów za granicę. Moja żona Maryanne pogodnie znosiła wiele dodatkowych

obciążeń w roku mojego projektu i była nieocenioną partnerką, muzą i doradczynią na najwcześniejszym etapie, kiedy pomysł nabierał kształtów, a także służyła mi pomocą badawczą i logistyczną oraz niezliczonymi wnikliwymi sugestiami co do struktury maszynopisu. Moje dzieci Victoria i Andrew wyrozumiale i łaskawie tolerowały moją nieobecność, moją wirtualną nieobecność, swoje skrócone wakacje, przegapione przeze mnie recitale i mecze oraz moje ogólne roztargnienie. Mamy wiele do nadrobienia.

O ŹRÓDŁACH

Książka ta jest owocem roku rozmów z ludźmi, którzy z definicji żyją i pracują, pozostając w cieniu. Ogromna część osób, które dostarczały mi informacji z pierwszej ręki, to albo czynni pracownicy wywiadu - przede wszystkim Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz jordańskiego Generalnego Departamentu Wywiadu, ale nie tylko - lub członkowie wojskowych jednostek Sił Specjalnych. Z niektórymi zaufanymi osobami nawiązałem kontakt przez lata pisania dla „The Washington Post" o sprawach związanych z wywiadem. Jeszcze inni to obecni lub byli wyżsi urzędnicy agencji wywiadowczych, którzy zgodzili się porozmawiać o tragedii w Choście i ogólniej - o wojnie z terroryzmem, pod warunkiem że nie będę cytował ich słów ani nie podam szczegółów umożliwiających ich identyfikację. Ten nacisk na anonimowość, co prawda niezbyt dla mnie fortunny, można uzasadnić tajną naturą tych wydarzeń oraz programów o kluczowym znaczeniu dla tej opowieści. Baza Chost, główne miejsce akcji, a nawet tożsamość wielu jej pracowników, są chronione zgodnie z amerykańskim prawem. Ponadto - choć wiadomo o tym w obu krajach - wykorzystanie przez Amerykanów samolotów bezzałogowych do atakowania celów terrorystycznych w Pakistanie oficjalnie pozostaje tajnym programem i ani CIA, ani urzędnicy Białego Domu nie mogą publicznie potwierdzić jego istnienia. Wreszcie, oprócz źródeł rządowych, kilkoro krewnych poległych oficerów poprosiło o to, abym nie łączył ich nazwisk z określonymi anegdotami czy faktami. Motywem tych próśb była

obawa, że mówiący mógłby nieświadomie zdradzić informacje szczególnie chronione albo skomplikować swoje kontakty z agencjami wywiadowczymi.

Ponieważ tak wiele źródeł jest anonimowych, dołożyłem wszelkich starań, aby potwierdzić z osobna każdy z istotnych dla tej narracji faktów, i przeprowadziłem ponad dwieście wywiadów w miejscach, gdzie rozegrały się te wydarzenia - w Afganistanie, Jordanii i Turcji - jak również w Stanach Zjednoczonych. Wspomnieniami i dokumentami, w tym treścią prywatnych emaili i esemesów, podzielili się ze mną urzędnicy i agenci wywiadu z trzech krajów. Innych wspomnień i ważnych szczegółów kontekstualizujących dostarczyli mi obecni i byli członkowie administracji Georgea W. Busha i Baracka Obamy, jak również dyplomaci i członkowie amerykańskiego personelu wojskowego, którzy służyli w Choście bądź też byli kolegami z pracy lub przyjaciółmi poległych oficerów. Krewni oraz przyjaciele każdej z osób zabitych w ataku dostarczyli mi niezmiernie ważnego, a często entuzjastycznego wsparcia. Starając się zrozumieć myśli i motywy Humama Al-Balawiego, opierałem się na rozmowach z członkami jego rodziny i byłymi kolegami z przychodni Marka oraz innych miejsc, a także na obszernych materiałach w postaci wywiadów, esejów i nagrań wideo samego Al-Balawiego. Rozmawiałem też bezpośrednio lub przez asystentów w Pakistanie i Afganistanie z członkami ruchu talibów i innych dżihadystowskich ugrupowań, którzy bądź to spotkali się z Al-Balawim, bądź osobiście byli informowani o jego poczynaniach w ciągu dziesięciu miesięcy pobytu Jordańczyka na pakistańskich terenach plemiennych.

Mimo wielości punktów widzenia w większości wypadków źródła zgadzały się co do najważniejszych szczegółów. W rzadkich sytuacjach, kiedy ich relacje były na tyle rozbieżne, że nie można ich było pogodzić,

dokonywałem wyboru w oparciu o to, które ze źródeł wydawało się mieć jaśniejszy obraz faktów, o jakich była mowa. W sytuacjach kiedy nie mogłem podać nazwiska danego źródła w tekście lub w przypisach, starałem się wyjaśnić związek źródła z bohaterami oraz wydarzeniami tak jasno, jak było to możliwe, jednocześnie zgodnie z danymi obietnicami nie zdradzając szczegółów pozwalających na jego identyfikację.

[1] Szczegółów operacji CIA przeciwko alKiniemu dostarczyły autorowi jego wywiady z dwoma obecnymi i dwoma byłymi urzędnikami Agencji mającymi bezpośrednią wiedze o tych wydarzeniach.

[2] Wywiad autora z byłym amerykańskim urzędnikiem państwowym obecnym na spotkaniu w Białym Domu.

[3] Tamże.

[4] Podstawy nowej amerykańskiej polityki opisali autorowi w wywiadach dwaj byli wyżsi urzędnicy wywiadu, którzy uczestniczyli w debatach nad nią. Potwierdził je niezależnie urzędnik Kongresu powiadomiony w tamtym czasie o zmianie polityki.

[5] Szczegóły tego ataku można znaleźć w artykule B. Roggio: Bombing at Islamabad Marriott Latest in String of Complex Terror Attacks, „The Long War Journal", 21 września 2008, dostępnym na stronie internetowej: http://www.longwarjournal.org/archives/2008/09/bombingatislamabad.php (dostęp: 5 września 2012).

[6] Szczegóły dotyczące zwiększenia roli al-Masriego w Al-Kaidzie od 2007 roku, jak również rywalizacji między przywódcami, uzyskał autor w wywiadach z jednym byłym i dwoma obecnymi oficerami CIA uczestniczącymi w operacjach antyterrorystycznych w tamtym czasie.

[7] Sceny te opisali autorowi w wywiadach dwaj oficerowie wywiadu, którzy byli świadkami tej rozmowy.

[8] Szczegółów na temat doświadczeń Matthews w Londynie i jej wcześniejszej pracy w centrali CIA i w Tajlandii dostarczyły autorowi wywiady z ośmioma byłymi kolegami Matthews z Agencji, a także z dwojgiem krewnych, którzy byli z nią w częstym kontakcie w tych okresach.

[9] Osobne relacje na temat tego ataku uzyskał autor z rejestrów zdarzeń Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) dotyczących wschodniego dystryktu Afganistanu 19 stycznia 2009 roku oraz z wywiadu z dowódcą policji prowincji Chost, który badał ten incydent. Dokumenty ISAF zostały ujawnione po raz pierwszy na stronie internetowej WikiLeaks w lipcu 2010 roku.

[10] Szczegóły zredagowanego raportu można znaleźć na stronie Biura Inspektora Generalnego CIA w artykule Report on CIA Accountability with Respect to the 9/U Attacks, czerwiec 2005, http://www.foia.cia.gov/docs/DOC-0001499482/DOC-0001499482.pdf (dostęp: 24 września 2012).

[11] Pełniejszy opis narad CIA dotyczących kwestii ujawniania lub nieujawniania nazwisk można znaleźć w zakładce „CIA OIG [Biuro Inspektora Generalnego] Timeline", na stronie

HistoryCommons.com, http://www.historycommons.Org/timeline.jspTinvestigations:-adetailed -look=complete-911-timelineciaoig-9-llreport&timeline=complete-911timeline (dostęp: 24 września 2012).

[12] Wywiad autora z byłym wysokim urzędnikiem CIA.

[13] Szczegółów aresztowania, zatrzymania oraz przesłuchań Humama al-Balawiego dostarczyły autotorowi wywiady z dwojgiem członków rodziny obecnych przy tych wydarzeniach, trzema obecnymi oficerami jordańskiego wywiadu i jednym byłym oficerem wywiadu, którzy byli świadkami tych wydarzeń albo wysłuchali szczegółowych sprawozdań, oraz oficerem CIA, który wysłuchał podobnego raportu. Dodatkowe szczegóły zaczerpnięto ze sfilmowanych zeznań al-Balawiego na temat jego aresztowań, udostępnionych autorowi przez SITE Intelligence Group, prywatną organizację monitorującą strony internetowe powiązane z ugrupowaniami ekstremistycznymi i dostarczającą wyniki swoich analiz agendom rządowym, mediom i innym klientom na zasadzie ograniczonego dostępu.

[14] Angielskich tłumaczeń fragmentów blogów internetowych Al-Balawiego prowadzonych pod pseudonimem „Abu Dudżana al-Chorasaani" dostarczył autorowi wraz z komentarzem Jarret Brachman, ekspert do spraw terroryzmu, autor i konsultant rządowy.

[15] Analizę wpływu Al-Balawiego jako blogera ózihadu można znaleźć w przygotowywanej do publikacji monografii J. Brachmana Abu Dujana al-Chorasani.

[16] Wglądu w dynamikę rodziny Balawich dostarczyły autorowi wywiady z Defne Bayrak, między innymi wywiad dla telewizji AlDżazira wyemitowany w programie Wywiad dnia 5 lutego 2010. Angielskie tłumaczenia dzięki uprzejmości SITE Intelligence Group. Dodatkowo potwierdziły go wywiady autora z dwoma innymi dziennikarzami, kolegami Defne Bayrak, przeprowadzone w Stambule.

[17] Więcej o imienniku Al-Balawiego można znaleźć w artykule: Abu Dujana, Stories oj the Sahaba, zamieszczonym pod adresem: http://www.articlesbase.com/spiritualityarticles/abudujanastoriesofthesahaba-1532056.html (dostęp: 25 września 2012).

[18] Potoczna nazwa wielozadaniowego samochodu terenowego amerykańskiej armii (przyp. tłum.).

[19] Rzetelny opis należącej do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego tajnej sieci gromadzącej dane znajduje się w: J. Bamford, The Shadow Factory, New York 2008.

[20] Szczegółami z biografii Alego bin Zeida i jego stosunku do sprawy Al-Balawiego podzieliło się z autorem w wywiadach troje członków rodziny bin Zeida i dwóch jego kolegów z Muchabaratu.

[21] Wywiad autora z byłą pacjentką Al-Balawiego, obóz dla uchodźców Marka, Amman, Jordania.

[22] Wywiad autora z J. Brachmanem.

[23] Szczegóły zamachów na hotele w Ammanie można znaleźć w artykule H. Fattaha i M. Slackmana Hotels Bombed in Jordan; at Least 57 Die, „The New York Times", 10 listopada 2005.

[24] Więcej na temat radykalizacji poglądów azZarkawiego i jego późniejszych wyczynów można znaleźć w artykule L. Teslika: Profile. Abu Musab alZarakwi, na stronie internetowej Council on

[25] Oprócz podstawowych źródeł dotyczących przesłuchania Al-Balawiego, przedstawionych w przypisach do rozdziału 3, dalszej wiedzy o ośrodku przesłuchań i procedurach postępowania Muchabaratu dostarczyły autorowi wywiady z dwoma byłymi oficerami tych służb oraz z dżihadystą z Ammanu, który zrelacjonował własne doświadczenia podczas wielokrotnych pobytów w więzieniu i przesłuchań.

[26] Al-Balawi opisuje wspomnienie swojego snu w areszcie Muchabaratu w sfilmowanym wywiadzie z 26 grudnia 2009 roku, pozyskanym przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[27] Okoliczności zwolnienia Al-Balawiego opisują w wywiadach przeprowadzonych przez autora w Ammanie dwaj członkowie rodziny Balawich.

[28] Raport opisali autorowi w wywiadach dwaj oficerowie wywiadu, jordański i amerykański, którzy recenzowali jego treść.

[29] Kontakty Balawich z IBDAC opisali autorowi dwaj koledzy z pracy Defne Bayrak, którzy wiedzieli o związkach pary z tą organizacją w tamtym czasie. Więcej na temat tego ugrupowania można znaleźć pod adresem: http://www.globalsecurity.org/military/world/para/easternraiders. htm (dostęp: 26 września 2012).

[30] Wywiad D. Bayrak dla telewizji AlDżazira, wyemitowany w programie Wywiad dnia 5 lutego 2010 roku.

[31] Więcej o tym zjawisku w artykule: D. Lloyd, Smart Bombers. Do Universities Breed Terrorists?…Politics Daily", styczeń 2010, http://www.politicsdaily.com/2010/01/19/smartbombersdouniversities - breedterrorists/ (dostęp: 26 września 2012).

[32] Na podstawie wywiadu autora z przyjacielem rodziny Balawich przeprowadzonego w Stambule.

[33] Punkt widzenia osoby dobrze poinformowanej w kwestii pierwszych priorytetów administracji można znaleźć w przemówieniu doradcy antyterrorystycznego Białego Domu Johna Brennana: „A New Approach to Safegurading Americans", 6 sierpnia 2009, wygłoszonego w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych i opublikowanego na stronie internetowej Białego Domu, WhiteHouse.gov, http://www.whitehouse.gov/thepressoffice/RemarksbyJohnBrennanattheCenterforStrategicandInternationalStudies (dostęp: 5 października 2012).

[34] Szczegóły poczynań Al-Balawiego w ostatnich tygodniach w Ammanie opisali autorowi w rozmowach dwaj członkowie rodziny oraz kolega z przychodni Marka.

[35] Al-Balawi opisuje swoje spotkania i dyskusje z bin Zeidem w wywiadzie z 26 grudnia 2009 roku, pozyskanym przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[36] Pożegnanie na lotnisku opisało autorowi w rozmowach dwóch członków rodziny Balawich.

[37] To niewspomniane w mediach zdarzenie opisało autorowi w wywiadach dwóch wysokich urzędników wywiadu oraz jeden z urzędników administracji Obamy, wszyscy czynnie zaangażowani w odpowiedź na to zagrożenie.

[38] Wywiad autora z amerykańskim urzędnikiem obecnym podczas rozmowy o kandydaturze Panetty.

[39] P. Finn, J. Warrick, Under Panetta, a More Aggressive CIA, „The Washington Post", 21 marca 2010.

[40] Możliwości zaawansowanej broni wykorzystywanej przez predatory opisali autorowi w wywiadach dwaj obecni i jeden były wyższy funkcjonariusz wywiadu.

[41] Tamże. Alternatywne dane na temat ofiar cywilnych można znaleźć w: P. Bergen K Tiedemann, Reyenge ofthe Drone, New America Foundation, 19 października 2009, http//wwwnewamerica.net/files/appendixl.pdf (dostęp: 5 października 2012).

[42] Osobiste poglądy i doświadczenia Panetty zrelacjonowali autorowi w wywiadach trzej wysocy urzędnicy wywiadu oraz urzędnik administracji Obamy, którzy uczestniczyli w dyskusjach nad tymi kwestiami.

[43] Obowiązki zawodowe, osobowość i charakter Hanson opisali autorowi w licznych wywiadach jej byli koledzy z Agencji oraz dwoje członków rodziny.

[44] Nowych szczegółów na temat podróży doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Jamesa L. Jonesa do Pakistanu dostarczyły autorowi wywiady z dwoma wyższymi urzędnikami wywiadu zaangażowanymi w przygotowania do tej wizyty.

[45] Mehsud twierdził, że nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Benazir Bhutto, ale dane wywiadowcze wskazywały, że wiedział o planowanym zamachu. Zob. J. Warrick, CIA Places Blame for Bhutto Assassination, „The Washington Post", 17 stycznia 2008, http://www.washingtonpost.com/wpdyn/content/article/2008/01/17/AR2008011703252.html (dostęp: 5 października 2012).

[46] Szczegóły operacji z 23 czerwca 2009 roku opisało autorowi w rozmowach dwóch oficerów wywiadu, którzy wysłuchali raportów na temat tych wydarzeń. Więcej informacji o tych atakach można znaleźć w: B. Roggio, Scores of Taliban Killed in Second US Strike in South Waziristan, „The Long War Journal", 23 czerwca 2003, http://www.longwarjournal.org/archives/2009/06/seventeentalibanki.php (dostęp: 5 października 2012).

[47] Niepodpisany nazwiskiem raport pracownika działu informacyjnego gazety „Dawn", Missile Attacks Kill 50 in South Waziristan, „Dawn", 24 czerwca 2009, http://news.dawn.com/wps/wcm/connect/dawncontentlibrary/dawn/news/pakistan/04-suspectedusdronestrikesswaziristanqs-03

[48] Informacji o pierwszych tygodniach pobytu Al-Balawiego w Pakistanie dostarczyły autorowi wywiady z trzema amerykańskimi i jednym jordańskim przedstawicielem służb wywiadowczych, którzy znali te wydarzenia z raportów.

[49] Słowa bin Zeida zacytowane przez Al-Balawiego w wywiadzie wideo z 26 grudnia 2009 roku, pozyskanym przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[50] Wyjaśnienie powodu wyjazdu do Pakistanu zacytowane przez D. Bayrak w wywiadzie dla Al-Dżaziry, wyemitowanym w programie Wywiad dnia 5 lutego 2010 roku.

[51] Fragmenty wywiadu opublikowane w tekście „Wywiad z szahidem", zamieszczonym na stronie internetowej AsSahab 28 lutego 2010; angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE Intelligence Group.

[52] Opis relacji Al-Balawiego z Mehsudem i początków jego kontaktów z pakistańskimi talibami na podstawie wywiadu z członkiem TehrikiTaliban oraz dwoma pakistańskimi oficerami wywiadu, którzy badali sprawę Al-Balawiego po zamachu w bazie Chost. Dodatkowe informacje zostały zaczerpnięte z relacji Al-Balawiego ze spotkań z szefem talibów.

[53] Opis tego incydentu można znaleźć w: B. Roggio, Taliban Feud Over Murder of Polish Hostage, „The Long War Journal", 11 lutego 2009, http://www.longwarjournal.org/archives/2009/02/taliban - feudovermu.php (dostęp: 5 października 2012).

[54] Więcej na temat terrorysty Imada Mughnijeha i okoliczności jego śmierci można znaleźć w: M. Levitt, D. Schenker, Who Was Imad Mughniyeh?, Washington Institute for Near East Policy online, 14 lutego 2008, http://www.washingtoninstitute.org/templateC05.php?CID=2716 (dostęp: 5 października 2012).

[55] Więcej na temat wpływowego duchownego i okoliczności jego śmierci: A. Baker, Who Killed Abdullah Azzam?, „Time", 18 czerwca 2009, http://www.time.com/time/specials/packages/article/0,28804,1902809-19028101905173.00.html (dostęp: 5 października 2012).

[56] Zob. J. Mayer, The Dark Side. The Inside Story of How the War on Terror Turned into a War, New York 2009.

[57] Cytat przytoczony w rozmowie z wysokim przedstawicielem Talików blisko związanym z Mehsudem.

[58] Szczegółowy opis ataku na Mehsuda dostarczyli autorowi w rozmowach trzej urzędnicy amerykańskiego wywiadu zaangażowani w planowanie lub nadzorowanie operacji.

[59] Taliban Ask Gov't to Prove Mehsud Death Rumors, AFP/Reuters, „The Nation" online, 11 sierpnia 2009, http://www.nation.com.pk/pakistannewsnewspaperdailyenglishonline/Politics/llAug-2009/Tal ibanaskgovttoproveMehsuddeath (dostęp: 22 października 2012).

[60] Szczegółów przedstawionej przez CIA propozycji nasilenia kampanii przeciwko Al-Kaidzie, a także ogólny zarys reakcji Białego Domu na ten plan dostarczyły autorowi wywiady z dwoma wyższymi urzędnikami wywiadu i jednym urzędnikiem administracji, którzy brali udział w spotkaniach przygotowawczych albo w prezentacji.

[61] Omówienie pakistańskiej ofensywy w Południowym Waziristanie, od niepewnego początku w czerwcu 2009 do jej ostatniej fazy w październiku, można znaleźć w: B. Roggio, What Lies Ahead in Waziristan, „The Long War Journal", 17 października 2009, http://www.longwarjournal.org/archives/2009/10/analysiswhatliesa.php (dostęp: 22 października 2012).

[62] „The Wall Street Journal" online, 10 sierpnia 2009, http://online.wsj.com/article/ PRESJA.

[63] B. Woodward, Why Did Violence Plummet? It Wasn't Just the Surge, „The Washington Post", 8 września 2008, http://www.washingtonpost.com/wpdyn/content/article/2008/09/07/AR2008090701847.html (dostęp: 22 października 2012).

[64] Wywiad G. Stephanopoulosa z sekretarzem obrony R. Gatesem w programie This Week w ABC News, 5 grudnia 2009, http://blogs.abcnews.com/george/2009/12/whereisbinladensecretary—gatessaysnointelinyears.html (dostęp: 22 października 2012).

[65] Szczegóły dyskusji i działań CIA podczas sześciu lat poszukiwania kuriera Bin Ladena opisali w wywiadach dwaj obecni i dwaj byli urzędnicy wywiadu, którzy mieli bezpośrednią wiedzę o tych wydarzeniach.

[66] Autorytatywny opis porażek w ściganiu Al-Kaidy przed 11 września można znaleźć w ostatecznym raporcie tak zwanej Komisji 9/11, oficjalnie The National Commission on Terrorist Attacks upon the United States, http://govinfo.library.unt.edu/911/report/index.htm (dostęp: 23 października 2012). Raport upubliczniony w lipcu 2004 roku.

[67] Słowa byłego szefa wydziału kontrterrorystycznego CIA Cofera Blacka w takiej formie, w jakiej zapamiętał je były oficer CIA, przytoczone w: J. Kiriakou, M. Ruby, The Reluctant Spy, New York 2010.

[68] Relacji z pierwszych dni obecności CIA w Choście dostarczyli autorowi w wywiadach jeden obecny i jeden były oficer Agencji, obecni w Choście podczas tych wydarzeń.

[69] Opis pierwszych lat Matthews w CIA zaczerpnięto z wywiadów z sześciorgiem kolegów, którzy znali ją w tym okresie zawodowo i prywatnie. Dodatkowych spostrzeżeń dostarczyli w rozmowach członkowie rodziny.

[70] Zob. G. Berntsen, Kryptonim Jawbreaker. Polowanie na Osamę Bin Ladena, tłum. K. Mazurek, Katowice 2006.

[71] Szczegółowego opisu przeżyć i rozmów Matthews w pierwszych tygodniach pobytu w Choście dostarczyło autorowi w wywiadach ośmiu byłych kolegów z Agencji, a także dwoje krewnych, którzy kontaktowali się z nią często we wspomnianym okresie.

[72] Ocenę roli Zubajdy w Al-Kaidzie można znaleźć w: P. Finn, J. Warrick, Detainee's Harsh Treatment Foiled No Plots; Waterboarding; Rough Interrogation of Abu Zubaida Produced False Leads, Officials Say, „The Washington Post", 29 marca 2009.

[73] Więcej o Chapmanie na poświęconej mu stronie internetowej Sił Specjalnych, pod adresem: http://www.quietpros.com/Afgan/chapmannathanross5sfg.htm (dostęp: 23 października 2012). 11 Wyczerpująca historia siatki i jej założyciela znajduje się w: J. Dressler, The Haąąani Network, Afghan Report No. 6, Institute for the Study of War, październik 2010, http://www.understandingwar.org/report/haqqaninetwork (dostęp: 23 października 2012). Kontrterrorystycznych Zespołach Pościgowych pisze B. Woodward w: Obamas Wars, New York 2010.

[74] Reakcja bin Zeida na rzekomy szpiegowski sukces Al-Balawiego tak jak opisał ją Al-Balawi 26 grudnia 2009 w sfilmowanym wywiadzie roku, pozyskanym przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[75] Opisy pomocy udzielanej przez Al-Balawiego targeterom CIA jesienią 2009 roku uzyskał autor z wywiadów z trzema wysokimi urzędnikami amerykańskiego wywiadu i jednym urzędnikiem wywiadu jordańskiego.

[76] Wywiad z emerytowanym instruktorem CIA, który prowadził kursy i ćwiczenia dla oficerów CIA w Camp Peary koło Williamsburga w Wirginii.

[77] Oficjalny opis osiągnięć wywiadowczych podwójnego agenta pułkownika Pieńkowskiego podczas zimnej wojny oraz jego egzekucji w ZSRR dokonanej przez KGB znajduje się w jego oficjalnym profilu CIA pod adresem: https://www.cia.gov/newsinformation/

[78] Szczegóły załącznika wideo al-Balawiego i reakcji CIA opisali w rozmowach z autorem trzej obecni wysocy urzędnicy CIA, którzy brali udział w dyskusjach na temat tego materiału i jeden były urzędnik amerykańskiego wywiadu, który oceniał wewnętrzne notatki służbowe i inne zapiski dotyczące tych wydarzeń. w krótkiej wiadomości wysłanej do bin Zeida. Napisał, że wrócił i że ma prezent, na który z pewnością warto było czekać.

Prezentem owym był mały plik wideo, kilkusekundowy film niskiej jakości nakręcony z ręki kamerą z rodzaju tych, które można kupić za kilkaset dolarów w każdym sklepie z elektroniką. Film ukazywał niewielką grupę mężczyzn w tradycyjnych pasztuńskich strojach, rozmawiających w słabo oświetlonym pokoju. Młody mężczyzna na pierwszym planie był widoczny właściwie tylko w zarysie, ale gdy odwrócił się bokiem, stało się jasne, że to Al-Balawi. Obok niego siedział szczupły, nieco ponad czterdziestoletni mężczyzna z ciemną brodą, i to on mówił najwięcej. Eksperci antyterrorystyczni Agencji rozpoznali jego twarz natychmiast, choć żaden z amerykańskich oficerów nie widział go od ośmiu lat. Był to Atija Abd al-Rahman, jeden z najbliższych żyjących współpracowników Osamy Bin Ladena.

[79] Więcej o Atiji Abd Al-Rahmanie można znaleźć w: C. Whidock, M. Ladaa, AlQaeda's New Leadership, specjalny raport „The Washington Post" dostępny w internecie pod adresem: http://www.washingtonpost.com/wpsrv/world/specials/terror/rahman.html (dostęp: 23 października 2012).

[80] Szczegółowy opis ugrupowania terrorystycznego można znaleźć w dziale „Jemaah Islamiyah" na stronie HidtoryCommons.com, pod adresem: http://www.historycommons.org/entity.jsp?entity=jemmahislamiyah (dostęp: 23 października 2012).

[81] Szczegóły emaili Al-Balawiego dotyczących jego kontaktów z az-Zawahirim, jak również reakcję wewnątrz CIA na jego wiadomości opisali autorowi w wywiadach urzędnicy amerykańskiego wywiadu, którzy brali udział w omawianiu tych emaili, oraz jeden urzędnik amerykańskiego wywiadu oceniającego wewnętrzne notatki służbowe i inne zapiski dotyczące tych wydarzeń.

[82] Czy Al-Balawi mógł zostać największym podwójnym agentem w historii? featuredstoryarchive/2010-featuredstoryarchive/colonelpenkovsky.html (dostęp - 23 października

2012).

[83] Słowa D. LaBonte, informacje biograficzne i przyjaźń z bin Zeidem opisało w wywiadzie z autorem dwóch jego kolegów z CIA, jak również członkowie rodzin bin Zeida i LaBonte.

[84] Opis nieudanej próby zamachu na az-Zawahiriego można znaleźć w analizie B. Roggio, Zawahirland alQaedas Future Plans, „Tne Long War Journal", 15 stycznia 2006, w wersji opublikowanej pod adresem: http://threatswatch.org/analysis/2006/01/zawahinandalqaedasfuture—p/ (dostęp: 23 października 2012).

[85] Wywiad z autorem.

[86] Przebieg negocjacji z Al-Balawim dotyczących szczegółów jego spotkania z CIA oraz bin Zeidem przedstawiło autorowi w wywiadach dwóch jordańskich i trzech amerykańskich urzędników wywiadu.

[87] Słowa LaBonte i odpowiedź jego szefostwa tak, jak opisało je w wywiadach z autorem dwóch wysokich urzędników CIA, którzy wysłuchali raportu o tej wymianie zdań.

[88] Podjęta przez jordański wywiad próbę zastąpienia bin Zeida w roli oficera prowadzącego sprawę al-BaLiego potwierdził dyrektorCIA Leon Panetta na konferencu prasowe, 19 października 20l0 r.. Dodatkowe szczegóły wewnętrznych dyskusji oraz wydarzeń Według bin Zeida do Afganistanu opisało autorowi w wywiadach dwóch jordanskrch i dwóch amerykańskich urzędników wywiadu, a także rodziny bin Zeida i LaBonte.

[89] Szczegółów świątecznego tygodnia Matthews dostarczyło autorowi w wywiadach dwóch jej kolegów z CIA i dwoje członków rodziny.

[90] Plan Matthews i różne reakcje na niego opisało autorowi w wywiadach dwóch starszych urzędników amerykańskiego wywiadu, trzech jej kolegów z CIA oraz dwóch byłych oficerów Sił Specjalnych osobiście zaangażowanych we wspomniane wydarzenia.

[91] Wewnętrzny audyt w CIA, jak opisał go Panetta 19 października 2010 roku, potwierdził braki w dokonanej przez kontrwywiad analizie sprawy. Dodatkowych spostrzeżeń dostarczyło autorowi w wywiadach dwóch starszych urzędników wywiadu.

[92] Wywiad autora z T. Pickeringiem w Langley w Wirginii.

[93] Obawy LaBonte i bin Zeida w sprawie Al-Balawiego opisało w wywiadach z autorem dwóch ich kolegów z CIA oraz członkowie rodzin, z którymi oficerowie dzielili się w ostatnich dniach grudnia swoimi odczuciami.

[94] Słowa Hanson zostały przytoczone przez członka rodziny w wywiadzie z autorem.

[95] Opis przygotowania kamizelki dla Al-Balawiego znajduje się w: S. Yousafzai, R. Moreau, Inside Al Qaeda. Nine Years After 9/11, Osama bin Laden's Network Remains a Shadowy, Little - Understood Enemy, „Newsweek", 13 września 2010. Dodatkowych szczegółów dostarczył autorowi wywiad z przedstawicielem pakistańskich talibów.

[96] Dogłębniejszej wiedzy o aspektach medycznych zamachów bombowych dostarczają Almogy i in., Suicide BombingAttacks. Update and Modifications to the Protocol, „Annals of Surgery", t. 239, nr 3, marzec 2004.

[97] Szczegółów dostarczyły autorowi w wywiadzie dwie osoby związane z talibami oraz pakistański funkcjonariusz organu ochrony porządku publicznego.

[98] Szczegóły przeżyć Al-Balawiego na obozie szkoleniowym, w tym informacje o obrażeniach odniesionych przez niego w wypadku, jak również o sporze członków Al-Kaidy o jego wiarygodność uzyskał autor w wywiadach z dwoma przedstawicielami pakistańskich talibów.

[99] Przykład retoryki al-Masriego można znaleźć w jego „Przesłaniu do ludu pakistańskiego" z 26 marca 2009. Angielskie tłumaczenie dostarczone przez serwis www.nefafoundation.org.

[100] Wniosek wyciągnięty przez śledczych CIA prowadzących dochodzenie w sprawie ataku w Cnoscie opisali autorowi w wywiadach dwaj jego uczestnicy.

[101] Słowa wypowiedziane przez Al-Balawiego w sfilmowanym wywiadzie z 26 grudnia 2009 roku pozyskanym przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[102] Więcej o tym ataku można znaleźć w: B. Roggio, Al Qaeda Skadow Army Commander lhought Killed in Dec. UStrike, „The Long War Journal", 8 stycznia 2010, http://www.longwarjournal.org/archives/2010/01/alqaedashadowarmy-2.php#ixzzlAMkm70v c (dostęp: 23 października 2012).

[103] Słowa Al-Balawiego z eseju pod tytułem Ostatnie pisma Abu Dudżany al-Chorasaaniego, opublikowanego 26 lutego 2010 roku przez internetowe czasopismo Al-Kaidy „Strażnicy Chorasanu, angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE Intetligence Group.

[104] Słowa Al-Balawiego wypowiedziane po angielsku w sfilmowanym przesłaniu zamachowca samobójcy, umieszczonym w internecie 28 lutego 2010 przez ramię medialne Al-Kaidy, AsSahab. Film wideo dzięki uprzejmości B. Yenzkego oraz IntelCenter, http://www.intelcenter.com.

[105] Poglądy D. Paresiego na sprawę Al-Balawiego oraz życie w Choście opisali autorowi w wywiadach jego dwaj koledzy z Chostu, członek rodziny oraz były towarzysz z wojska, z którym Paresi rozmawiał w grudniu 2009 roku.

[106] Szczegóły przejazdu Al-Balawiego przez Pakistan do Chostu na podstawie wywiadów autora z trzema obecnymi i jednym byłym urzędnikiem amerykańskiego wywiadu.

[107] Oświadczenia Hakimullaha Mehsuda i Al-Balawiego we wspólnym komunikacie wideo wyemitowanym po raz pierwszy 9 stycznia 2010 roku w telewizji AlDżazira. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE Intelligence Group.

[108] Słowa Al-Balawiego z nagrania z 26 grudnia 2009 roku, pozyskanego przez SITE Intelligence Group. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE.

[109] Al-Balawi daje wgląd we własne niepokoje w związku z misją samobójczą w eseju Ostatnie pisma Abu Dudżany al-Chorasaaniego, opublikowanym 26 lutego 2010 roku przez internetowe czasopismo Al-Kaidy „Strażnicy Chorasanu", angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE Intelligence Group.

[110] Bezpośrednie następstwa eksplozji oraz pierwsze próby ratowania rannych opisało autorowi w wywiadach trzech amerykańskich urzędników wywiadu, którzy mieli dostęp do raportów z tego incydentu.

[111] Wywiad autora z dr. J. Alleyem. Więcej wspomnień Alleya z tego dnia na jego blogu pod adresem: http://www.joshalley.com/node/158 (dostęp: 23 października 2012).

[112] Reakcje na zamach bombowy w Choście opisało autorowi w wywiadach trzech urzędników wywiadu oraz jeden urzędnik administracji obecni wówczas w Langley.

[113] Okoliczności powiadamiania krewnych pracowników CIA oraz jordańskiego wywiadu opisali autorowi w wywiadach członkowie ich rodzin.

[114] Reakcja al-Masriego na zamach zawarta w oświadczeniu zamieszczonym na dżihadystowskich stronach internetowych 6 stycznia 2010 roku. Angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości SITE Intelligence Group.

[115] T. Cohen, Taliban Factions Competefor Credit in CIA Bombing Deaths, CNN online, 3 stycznia 2010.

[116] Słowa Hakimullaha Mehsuda z oświadczenia nagranego kamerą wideo 4 kwietnia 2010; angielskie tłumaczenie dzięki uprzejmości „The Long War Journal", http://www.longwarjournal.org/threatmatrix/archives/2010/05/fulltextofhakeemullahvideo.php (dostęp: 23 października 2012).

[117] Szczegóły ataków rakietowych pod koniec grudnia i w styczniu na podstawie wywiadów autora z dwoma starszymi urzędnikami Agencji, obecnymi na zebraniach, na których ataki te były omawiane.

[118] Hakimullah Feared Dead in SWA Drone Attack, „OnePakistan” online, 15 stycznia 2010, zob. http://paldstanUeaders.com.pWnews/hakimullahfeareddeadinswadroneattack (dostęp: 17 listopada 2012).

[119] Wydarzenia w Dover opisało autorowi dwóch urzędników CIA oraz czworo członków rodzin, którzy brali w nich udział.

[120] Prywatne nabożeństwa pogrzebowe opisali w rozmowach z autorem członkowie rodzin, którzy w nich uczestniczyli.

[121] Szczegóły przebiegu nabożeństwa na podstawie wywiadów autora z dwoma urzędnikami CIA oraz członkiem rodziny obecnymi podczas pochówku 21 maja 2010 roku.

[122] Próby namierzenia al-Masriego przez CIA opisali autorowi w rozmowach dwaj starsi urzędnicy Agencji wtajemniczeni w szczegóły.

[123] Wywiady autora z T. Pickeringiem i CE. Allenem.

[124] Wywiad autora z T. Pickeringiem.

[125] Raport Komisji Ml, http://govinfo.library.unt.edu/911/report/index.htm (dostęp: 23 października 2012).

[126] Opis kryjówki Bin Ladena i szczegóły rajdu Navy SEAL, który doprowadził do jego śmierci, zostały zaczerpnięte z oficjalnych oświadczeń Białego Domu oraz Departamentu Obrony, jak również z wywiadów z dwoma urzędnikami administracji Obamy poinformowanymi w obu sprawach.

[127] Szczegóły dyskusji oraz działań CIA w ciągu sześciu lat poszukiwań kuriera Bin Ladena na podstawie rozmów z dwoma obecnymi i dwoma byłymi urzędnikami wywiadu dobrze znającymi te wydarzenia.

[128] Wywiad J. Lehrera z L. Panetta w programie NewsHour PBS, wyemitowany 3 maja 2011 roku.

[129] Wywiad autora z L. Panetta, 3 maja 2011, oraz wywiad J. Lehrera z L. Panetta, dz. cyt.

[130] 2 maja 2011, email L. Panetty do pracowników CIA, przekazany autorowi.

This file was downloaded from Z-Library project

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library